tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 15 (1318)
7-13.04.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Smoleńsk – 15 lat kłamstw

Marek Bieńczyk: Grochów – ni to wieś, ni to miasto

Jan Truszczyński: Trumpizm to zjawisko stałe

Turcy w obronie Ekrema

GINĘLI TYSIĄCAMI

PAŃSTWO O NICH ZAPOMNIAŁO

Walki o Kołobrzeg, marzec 1945 r.

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311508 15

WARSZAWSKI

·TEATR· CAPITOL

GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

PRZEKŁAD Elżbieta WOŹNIAK
AUTOR Robin HAWDON
REŻYSERIA Jerzy BOŃCZAK

Prezent urodzinowy

GWIAZDORSKIE OBSADY • PIKANTNE FARSY • NAJLEPSZE KOMEDIE

CAPITALNE LATO

GRAMY PRZEZ CAŁE WAKACJE!

JUŻ W SPRZEDAŻY! • KUP BILET ·TEATR CAPITOL· • www.teatrcapitol.pl •

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 456f2a29e8

Jerzy Domański

Talibowie by go pokochali

Wielu widziało go już w Pałacu Prezydenckim. Pakujący walizki prezydent Duda zaczął nawet montować pakt na rzecz przyszłej koalicji PiS z Konfederacją. Zbyt szybko uwierzyli, że Sławomir Mentzen może być mężem opatrznościowym prawicy. Szło mu dobrze, dopóki jeździł po kraju na spotkania z wyznawcami Konfederacji. Przemyślana i sprawnie prowadzona kampania prezydencka przykrywała słabe punkty kandydata. Mentzen wygłaszał wyuczone teksty, robił sobie selfie. I jechał do kolejnego miasteczka, na rynek, gdzie już na niego czekali potencjalni wyborcy znający go dotąd z mediów społecznościowych. Taka kampania mogła się udać. Ale tylko wtedy, gdyby wokół Mentzena zbudowano mur jak na granicy. Szczelnie chroniący przed mediami. I nim samym. Bo największym problemem Mentzena są jego poglądy. Gdyby zmienił eleganckie ubranko na strój fanatycznych islamistów, talibowie by go pokochali. I to bardziej niż on zgwałcone dziewczynki i kobiety. Jego słowa o gwałcie jako „nieprzyjemności" są dowodem wyjątkowego zwyrodnienia człowieka, który ubiega się o najwyższy urząd w państwie. Słowa haniebne. Wykluczające ze wspólnoty obywatelskiej.

Są i pewno będą wokół nas podobni do niego. Równie bezwzględni i cyniczni. Zabiegający o władzę wszelkimi metodami.

Jaką mają ofertę dla Polaków? Całkowity zakaz aborcji. Płatne studia. Leczenie u felczerów i szeptuchy. Prawny zakaz rozwiązywania małżeństw sakramentalnych. Tyle Mentzen proponuje w pierwszym etapie szczerości. Sądzę, że to nie jest ostatnie słowo tego konfederaty. Ma tak silną pozycję, że żadna kobieta z jego obozu nie odpowiedziała publicznie na pytanie, co zrobić, gdy zgwałcona zostanie 14-, 15-latka. Kariera ponad dylematy moralne. I krzywdę ofiar. Mentzen jako kandydat do drugiej rundy wyborów i rywal Rafała Trzaskowskiego odpadł właśnie z wyścigu. Oby.

Z polskiej polityki jednak nie zniknie. Jest gwarancją, że będzie jeszcze gorzej. I brutalniej. Łajdactwo w nowoczesnym opakowaniu jest groźne. Tacy politycy jak Mentzen są szczególnie niebezpieczni dla otoczenia, bo lepiej od innych potrafią manipulować zachowaniami ludzi. Łowią zwolenników wśród najmłodszych. Najbardziej podatnych na demagogię i populizm. Zostawienie im młodych fatalnie wróży nam wszystkim. Brunatna przyszłość to koszmar, który nie może się powtórzyć. Trzeba ich zatrzymać, póki jeszcze są słabi. I póki mówią coś szczerze. To jest pole konfrontacji dla lewicy. Cywilizacja kontra polski taliban.

BĄKOWSKI

SZUKASZ PREZENTU?
Skorzystaj z wiosennej okazji
E-PRENUMERATA PRZEGLĄDU
10% TANIEJ
sklep.tygodnikprzeglad.pl
Z kodem WIOSNA2025 tylko do 13.04
Promocja łączy się z innymi rabatami!

eprasa.pl 456f2a29e8

W NUMERZE

KRAJ

8 **Smoleński kult, smoleński hochsztapler**
Już 15 lat kłamstw

11 **Co zrobić, gdy Ameryka odchodzi**
– rozmowa z Janem Truszczyńskim

14 **Tam, gdzie zawsze wygrywa PiS**
Podlasie o Polsce i polityce

18 **Igrzyska chaosu**
Pisowska impreza na wariackich papierach

HISTORIA

22 **Państwo o nich zapomniało**
Zdobyli Wał Pomorski, walczyli o Polskę

ZAGRANICA

28 **Projekt 2025 zmienia Amerykę**
Trump realizuje jego wytyczne

32 **Jak w raju**
Ile Unię i nas kosztuje omijanie podatków

36 **Czy wujek Ekrem naprawi turecką demokrację**
Kim jest aresztowany burmistrz Stambułu

38 **Zapomniana zagłada**
Korespondencja z Japonii

KSIĄŻKI

41 **Przełomowa papieska autobiografia**
Duchowy testament Franciszka

KULTURA

42 **Gryźć trawę i rozgryzać opowieści**
– rozmowa z Markiem Bieńczykiem

46 **Qulturalia**

66 **Anna Orbaczewska. Głośna cisza**

OBSERWACJE

48 **Cegły z ostatniego familoka**
Dać drugie życie symbolowi Śląska

52 **Zbicień z Augustowskiej Miodosytni**
Odtwarzanie dawnych smaków

56 **Warszawskie kolory Tytusa**
Miasto magiczne na muralach

ZDROWIE

58 **Spanie na medal**
Mikronawyki, które zmieniają jakość życia

ZWIERZĘTA

59 **Jak salamandra z podkowcem**
Zwierzęta polskich gór

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Talibowie by go pokochali

17 **Jan Widacki**
Husarze, szmalcownicy i zdrowy rdzeń narodu z przetrąconym kręgosłupem

21 **Andrzej Szahaj**
Epidemia autorytaryzmu to skutek uboczny neoliberalizmu

35 **Roman Kurkiewicz**
Jajecznica uczyni prezydentem?

47 **Tomasz Jastrun**
Mów mi wuju

55 **Wojciech Kuczok**
Prefuneralia rodzinne

36
ZAGRANICA

CZY WUJEK EKREM NAPRAWI TURECKĄ DEMOKRACJĘ

Kim jest aresztowany burmistrz Stambułu

56
OBSERWACJE

WARSZAWSKIE KOLORY TYTUSA

Miasto magiczne na muralach

59
ZWIERZĘTA

JAK SALAMANDRA Z PODKOWCEM

Zwierzęta polskich gór

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

eprasa.pl 456f2a29e8

Wszyscy chcą być populistami

Na podstawie jakich wypowiedzi Zandberga stwierdziliście, że chce być populistą? Skoro mówi wszystko to, co większości społeczeństwa nie odpowiada (albo nie chcą przyznać, że im odpowiada)? On mówi to nie dlatego, że nie potrafi być populistą, ale dlatego, że takie ma poglądy. Mówienie trudnej prawdy jest tym, co go odróżnia od wielu innych populistycznych polityków, głównie Mentzena, który wybrał łatwe i brudne kłamstwa.

WSZYSCY CHCĄ BYĆ POPULISTAMI

Dlaczego lewicy spada, a Konfederacji rośnie?

PROF. PRZEMYSŁAW SARNA

Aśka Łętocha-Sobala

•

A może by tak lewica wróciła do swoich wartości – pacyfizmu? To, że na wojnie korzystają bogaci, a tracą i giną biedni, wiadomo nie od dziś. Pisali o tym chociażby Konopnicka („A jak poszedł król na wojnę") i Tuwim („Do prostego człowieka"). Ludzie nie chcą wojny, ale są tak sterroryzowani przez mainstreamowe media, że boją się odezwać.

Joanna Wdzięczna

Marzenia, które zostały na granicy

MARZENIA, które utknęły na granicy

Kolumbia, Ameryka i ciężar odpowiedzialności

Tak zwani liberalni demokraci rządzący w Polsce robią to samo, co Amerykanie. Deportowani są Gruzini, rzekomo należący do gangów. Przecież jeśli popełnili przestępstwo w Polsce, powinni stanąć przed sądem i jeśli byli winni przestępstwa, ponieść adekwatną karę. Skoro tutaj popełnili przestępstwo, to tam, gdzie się ich deportuje, nie poniosą kary, bo tam tego przestępstwa nie popełnili. A jeśli nie popełnili jednak przestępstwa, to dlaczego w związku z ustawą są wydalani? Gdzie ta praworządność, którą rządzący mają na ustach?

Artur Kozłowski

Stanisław Filipowicz

Ołtarze tolerancji

Ołtarze tolerancji

Przecież problem tolerancji w Polsce dotyczy właśnie liberałów oraz ich wypustek medialnych, czyli całej tej poprawnej politycznie zgrai celebrytów, którzy w roli ekspertów wypowiadają się na tematy zupełnie im obce, a ich słowa przyjmowane są jak prawda objawiona. Przed trybunałem inkwizycji można było wdać się w polemikę, a z tymi pseudowolnymi mediami nie ma żadnej rozmowy. Lewica dała ciała. Miller mówi z sensem, tylko za późno, a media lewicowe sprzedane, zamknięte…

Grzesiek Witek

Żelazny elektorat to mit

Żelazny elektorat to mit

Policy wyborcy nie są wierni. Czekają na dobre propozycje

Rozmawiałam z sąsiadką, która od dawna była zagorzałą zwolenniczką Prawa i Sprawiedliwości. A teraz nie ma zamiaru głosować na kandydata tej partii. Chyba ujawnione działania PiS dały jej do myślenia – jest rozgoryczona.

Iwona Barabaś

ZDJĘCIE TYGODNIA

Prezydent Trump ogłosił nałożenie ceł na towary importowane do USA ze 180 krajów. Biały Dom, 2 kwietnia 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 456f2a29e8

Parlament Europejski uchylił immunitety Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Prokuratura będzie mogła przesłuchać pisowskich polityków i przedstawić im zarzuty.

•

Nie będzie aresztu dla Zbigniewa Ziobry. Sąd Okręgowy w Warszawie uznał, że komisja ds. Pegasusa zdawała sobie sprawę z tego, że Ziobro został zatrzymany i będzie skutecznie doprowadzony na posiedzenie.

•

Według rzecznika praw obywatelskich **w ciągu pięciu lat (2018-2023) w czasie interwencji albo na posterunkach policji zginęło 111 osób.**

•

Na imperium medialne Kościoła katolickiego w Polsce składa się **120 oficyn wydawniczych, 300 tytułów prasowych, 50 rozgłośni radiowych i ogólnopolska Telewizja Trwam.**

•

Minister sprawiedliwości **Adam Bodnar** wezwał osiem podmiotów do zwrotu nienależnie pobranych dotacji z Funduszu Sprawiedliwości. **Fundacja Profeto ks. Olszewskiego ma oddać 70 mln zł.**

•

Wyborcy PiS mogą być dumni z kariery **Małgorzaty Sadurskiej.** Od urzędniczki w Miejskim Urzędzie Pracy w Lublinie, przez szefową kancelarii prezydenta Dudy, do wiceprezes PZU. **Zarobiła** tam w latach 2017-2024 **skromne 10,4 mln zł.** Na odchodne w 2024 r. dostała jeszcze 676 tys. zł z tytułu zakazu konkurencji. To taki żarcik, bo nie znamy firmy, która chciałaby ją zatrudnić.

•

„Gazeta Wyborcza" ujawniła kosmiczne zarobki byłego prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich **Jacka Bromskiego**, który tylko od stycznia 2020 r. do 24 lutego 2024 r. **zarobił ponad 3,5 mln zł.** Jeszcze więcej zrobiła **dyrektorka biura SFP Ewa Szacha-Głuchowicz,** która dostała łącznie **prawie 5,6 mln zł.** Na alkohol wydano w tym czasie 1,245 mln zł.

•

109 generałów odeszło z zawodowej służby wojskowej w latach 2015-2024. Wielu mimo wysokich kompetencji zostało odwołanych przez ministrów Macierewicza i Błaszczaka. Obecna koalicja wymieniła 15 generałów, którzy w większości błyskawicznie awansowali za rządów PiS.

•

Gen. Dariusz Łukowski, szef BBN, ujawnił, że Polska ma niektórych rodzajów amunicji najwyżej na dwa tygodnie obrony.

•

W 2024 r. Ukraina zużyła 2,5 mln dronów, z czego 96% było własnej produkcji. Najnowszym osiągnięciem firm ukraińskich jest działo laserowe Tryzub do zwalczania dronów.

•

2753 gospodarstwa rolne w Polsce mieszczą się w przedziale **200-300 ha, 1019** ma **od 300 do 500 ha,** a **613** do **1000 ha.**

•

Przybywa dróg szybkiego ruchu, ale szału nie ma. Aktualnie mamy 5206 km, w tym **1885 km autostrad.**

•

Ponad **41% uczniów w Europie ma kłopoty z pisaniem ręcznie.** Finlandia usunęła pismo odręczne ze szkół, a Szwajcaria i kilka innych krajów ograniczyło do minimum jego naukę.

PRZEBŁYSKI

Senyszyn nie dała się pogrzebać

To nie był dobry dzień dla partyjki Czarzastego i Gawkowskiego. Myśleli, że grzebiąc SLD, wyeliminowali także sympatyków Sojuszu. Nic z tego. Spotkał ich lodowaty prysznic. Prof. Joanna Senyszyn złożyła w Państwowej Komisji Wyborczej 150 tys. podpisów popierających jej kandydaturę w wyborach prezydenckich. Choć startuje jako kandydatka niezależna, wszyscy wiedzą, że ma lewicowe poglądy. Dowiodła tego czynem setki razy. Silna osobowość. Niezależna, o czym mogli się przekonać liderzy SLD. A najbardziej Czarzasty. Na którym poznała się jako jedna z pierwszych. Wśród kandydatów ona jedna jest profesorem ekonomii, może więc mówić o gospodarce z sensem. Głosując na Senyszyn, ludzie o poglądach lewicowych dadzą czerwoną kartkę Czarzastemu i Gawkowskiemu. Najwyższa pora.

Profesorstwo Sitkowie

Żenada bez końca. „Gazeta Wyborcza" ujawniła kulisy walki prezydenta Dudy o profesurę dla Małgorzaty Manowskiej, neosędzi i prezes Sądu Najwyższego. Kumoterstwo do kwadratu. Kto musi wystąpić do prezydenta z wnioskiem o nadanie tytułu profesora? Rada Doskonałości Naukowej. A kto jej przewodniczy? Prof. Bronisław Sitek, powołany przez ministra Czarnka. Kim jest Sitek? Byłym księdzem, który po odejściu z kapłaństwa się ożenił. A jego żona, Magdalena Sitek? Profesurę dostała od Dudy. Jest rektorem prywatnej uczelni w Józefowie. A wcześniej pracowała na Uniwersytecie Szczecińskim, gdzie została uznana za winną popełnienia plagiatów, do których się przyznała. I to jeszcze nie jest wszystko. Wystarczy jednak, by zatkać nos.

Kryjówka amatora 15-latek

Ciekawe, czy ta informacja jeszcze kogoś zdziwi. Gdzie się odnalazł poszukiwany przez Prokuraturę Rejonową w Pruszczu Gdańskim Jacek M., były nauczyciel chemii? Prokuratura chce mu postawić zarzut „nadużycia stosunku zależności i wykorzystania krytycznego położenia uczennicy w celu doprowadzenia jej do czynności seksualnej".

30-letni nauczyciel w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Gdyni pisał do 15-latki: „Popraw stanik albo zdejmij najlepiej", bombardował ją nagimi zdjęciami (swoimi), próbował przekupywać zakupami w galeriach. Byle tylko dziewczynę obmacywać. Skończyło się, gdy matka uczennicy zawiadomiła policję i szkołę. Jacek M. zniknął. Ale nic mu się nie stało. Zatrudnili go w Zespole Szkół Katolickich im. św. Jana Pawła II w Gdyni.

Zaczęli oddawać kasę

Trudno w to uwierzyć, ale takie są fakty. Część ze szczodrze obdarowanych przez eksministra Czarnka zdecydowała się dobrowolnie zwrócić otrzymane fundusze. Diecezja siedlecka, szczególnie lubiana przez Czarnka, zwróciła 10 z 12 mln, które otrzymały Katolickie Liceum Ogólnokształcące im. Świętej Rodziny i Katolicka Szkoła Podstawowa im. Błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki.

3,1 mln zł oddali salezjanie z prowincji Towarzystwa Salezjańskiego w Warszawie. Nazaretanki zwróciły 2 mln zł, które dostały na remont obiektów przy Czerniakowskiej w Warszawie. Komu dawał Czarnek? W szafach, które są w resorcie, odnaleziono setki nieotwartych kopert z ofertami. Nikt ich nawet nie przeczytał. Z góry wiedzieli, komu dać kasę.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, FACEBOOK, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 456f2a29e8

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy dla Mentzena jest jeszcze miejsce w życiu publicznym?

PROF. MONIKA PŁATEK,
Wydział Prawa i Administracji UW

Sławomir Mentzen, sprowadzając zgwałcenie do „nieprzyjemnego" zdarzenia, okazał nie tylko pogardę kobietom, wykazał się lekceważeniem dla praw człowieka. Nie znaczy to jednak, że nie ma dla niego miejsca w debacie publicznej. Nie jest jedynym, który tak perwersyjnie myśli. Taki głos sprawia, że jemu podobni zyskują poczucie, że tak można. Tyle że bez względu na to, jak okropny jest Mentzen, my nie jesteśmy lepsi. Nasze oburzenie jego wypowiedzią w świetle przyjęcia ustawy, która, jawnie łamiąc najważniejsze prawo – konstytucję, odbiera prawo składania wniosku o azyl, cuchnie hipokryzją. Tą ustawą ślemy sygnał przyzwolenia na poniewieranie podstawowymi wartościami. Nie dziwmy się, że skutkuje to bagatelizowaniem przemocy i losu zgwałconych kobiet.

ANNA DRYJAŃSKA,
socjolożka, dziennikarka

Ewidentnie tak, skoro on i jego partia lądują obecnie na trzecim miejscu w sondażach. To znaczy, że jego wyborcy przyklaskują nieludzkim wypowiedziom tego pana na temat kobiet albo odczłowieczanie połowy ludzkości jest im obojętne. Bo trzeba nie postrzegać kobiet jako ludzi, by twierdzić, że niechciana ciąża, zwłaszcza jeśli jest się zgwałconym dzieckiem, jest „nieprzyjemnością". To kolejny, tym razem dziewięciomiesięczny gwałt. Istnieje też grupa wyborców tak omamiona hasłem niskich podatków, że nie potrzebuje wiedzieć o polityku nic więcej. „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej", powiedział Mentzen już w 2019 r. Część społeczeństwa jest gotowa – z przekonania lub przez przypadek – za tym zagłosować.

MARTA LEMPART,
Ogólnopolski Strajk Kobiet

Po wypowiedziach o gwałcie jako „nieprzyjemności" tego miejsca nie powinno dla niego być. Bo mowa o zbrodni, która zabija bez zadawania śmierci. Chodzi przy tym nie tylko o słowa – to też groźna zapowiedź wyborcza w imieniu Konfederacji. Oznacza, że przy odpowiedniej decyzyjności partii Mentzena jej członkowie będą dążyli do odwrócenia zmiany, która w tym roku nastąpiła dzięki redefinicji gwałtu, odejściu od ponadstuletniej, okrutnej definicji. Teraz każdy stosunek bez zgody jest gwałtem, teraz prokurator udowadnia, że oskarżony nie miał zgody. A nie – że kobieta na pewno nie powiedziała „tak". Wrócą więc czasy, kiedy oskarżonymi w procesach o zgwałcenie będą kobiety, a nie gwałciciele. Na poziomie ludzkim współczuję wszystkim kobietom w życiu pana Mentzena. Jest dla mnie jasne, że jeśli spotka je coś tak potwornego, to wiedzą, że nie mogą liczyć na jego pomoc. Mało tego, będą umierać ze strachu, że on się dowie. Taką męskość promują pan Mentzen i cała Konfederacja.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 456f2a29e8

SMOLEŃSKI KULT, SMOLEŃSKI HOCHSZTAPLER

15 lat kłamstw, które niszczą Polskę

Robert Walenciak

Mija 15 lat od katastrofy smoleńskiej. To tragiczna data w polskiej historii, śmierć poniósł prezydent RP, a także wiele wybitnych postaci naszego życia politycznego. To już się nie zmieni – historię III RP dzielimy na tę przed Smoleńskiem i tę po Smoleńsku. Miesiące po katastrofie uważamy za czas narodowej traumy. Tym bardziej boli, że Smoleńsk został tak bezwzględnie wykorzystany w polskiej polityce, że żałoba, publiczny żal – stały się towarem. Po trumnach do władzy – pisaliśmy już kilka tygodni po katastrofie.

Nieustannie podsycana wiara, że 10 kwietnia 2010 r. pod Smoleńskiem doszło nie do katastrofy, lecz do zamachu, stała się polityczną religią, otwierającą PiS drogę do władzy. Głównym jej męczennikiem był Jarosław Kaczyński, a kapłanem – Antoni Macierewicz. To on miał wykryć zbrodnię.

Pamiętamy te powtarzające się co miesiąc sceny – Kaczyńskiego na drabince, wołającego, że Antoni już jest blisko, że za chwilę ujawni straszliwą prawdę. Oczywiście nic takiego nie następowało. Nawet wtedy, gdy PiS przez osiem lat rządziło, miało pod sobą wszystkie państwowe służby i prokuraturę – nic nowego w sprawie katastrofy smoleńskiej nie zostało przedstawione. Mieliśmy za to kłamstwo za kłamstwem. Wszystko po to, by budować, a potem podtrzymywać emocje wokół katastrofy: że zorganizowano zamach, że winni zostaną ujawnieni, a w zasadzie od początku wiadomo, że to Rosjanie i Tusk.

•

Szło to wielotorowo. Pisowskie media szalały, co tydzień racząc nas kolejnymi bredniami: że na lotnisku była sztuczna mgła, że rozpylono hel, że Tu-154M ściągnięto magnesem. Że tupolew to przerobiony bombowiec i powinien wytrzymać upadek z 80 m, a brzoza nie urwała skrzydła, tylko Rosjanie sami ją złamali. Poza tym w skrzydle była bomba, były dwa wybuchy, trzy osoby przeżyły, a rannych dobijano. A na koniec Tusk gratulował zamachu Putinowi. To tylko część bzdur wynotowanych z tamtych dni.

•

Inaczej zachowała się prokuratura. Najpierw śledztwo w sprawie katastrofy prowadziła Wojskowa Prokuratura Okręgowa w Warszawie. Potem przejęła je Prokuratura Krajowa. I od marca 2016 r. prowadzi je Zespół Śledczy nr 1 Prokuratury Krajowej. Rozpostarto przed nim czerwony dywan, bo PiS wierzyło, przynajmniej oficjalnie, że udowodni on tezę o zamachu. Prokuratura zarządziła więc ekshumacje, nie licząc się ze sprzeciwem rodzin. Pobrano próbki ze szczątków ofiar i wysłano je do trzech laboratoriów za granicą: jednego we Włoszech i dwóch w Wielkiej Brytanii, wierząc, że badania wykażą ślady materiałów wybuchowych. Próbki ciał, jak zapowiadano początkowo, miały być zbadane w ciągu pół roku, potem te terminy się przedłużały. „Te ekshumacje już dawno są zakończone, z tego, co wiem, niczego nie wniosły do śledztwa, oprócz konkluzji, że pasażerowie ponieśli śmierć w wyniku obrażeń typowych dla katastrofy komunikacyjnej", mówił w „Przeglądzie" (nr 16/2022) dr inż. Maciej Lasek, poseł PO, członek komisji Millera, były przewodniczący Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych. A dlaczego prokuratura trzyma wyniki badań

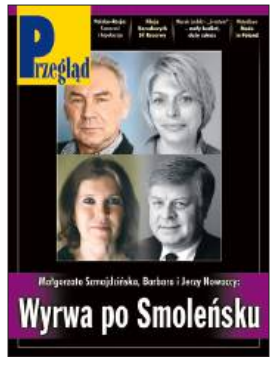

eprasa.pl 456f2a29e8

w tajemnicy? Odpowiedź jest prosta – bo śledztwo jeszcze nie jest zakończone.

Według rzecznika Prokuratury Krajowej akta sprawy liczą już 1979 tomów. W ramach śledztwa weryfikowanych jest równolegle wiele wersji kryminalistycznych. By je sprawdzić, uzyskano już kilkaset opinii i ekspertyz biegłych różnej specjalności i przesłuchano ponad 1000 świadków.

W 2016 r. powołano międzynarodowy zespół biegłych z zakresu medycyny sądowej, którego zadaniem było m.in. określenie przyczyny zgonu, mechanizmu oraz okoliczności powstania stwierdzonych u ofiar obrażeń. „W sumie biegli wydali blisko 200 opinii medycznych, w tym opinie wstępne, uzupełniające i opinię końcową z zakresu medycyny sądowej", mówił rzecznik Prokuratury Krajowej.

W 2019 r. powołano zaś międzynarodowy zespół biegłych, który miał wydać opinię w zakresie okoliczności katastrofy, w tym jej przyczyn i przebiegu. Zespół opinię przekazał – ta została przesłana tłumaczowi przysięgłemu, by ją przetłumaczył z angielskiego na polski. „Po przetłumaczeniu opinia zostanie poddana analizie w świetle pozostałego materiału dowodowego" – to słowa rzecznika. Ale oddajmy prokuraturom sprawiedliwość – swoją syzyfową pracę prowadzą, nie zaśmiecając opinii publicznej kłamstwami. To było domeną Antoniego Macierewicza.

•

Macierewicz, jeszcze jako poseł opozycji, prowadził w Sejmie zespół parlamentarny ds. katastrofy. Gdy PiS przejęło władzę, jako minister obrony powołał na bazie tego zespołu podkomisję. Było to w lutym 2016 r. – jej pierwsze posiedzenie odbyło się 7 marca. Podkomisja kosztowała państwo polskie ok. 33 mln zł. Wiemy, że były to pieniądze wyrzucone w błoto. Ale jaki te działania tworzyły image! Tłum na miesięcznicach skandował: „Antoni! Antoni!", a Macierewicz w glorii wielkiego śledczego mógł jeździć po klubach „Gazety Polskiej", po salach parafialnych i opowiadać o wybuchach, bombach i spiskach.

Co istotne, żaden z członków podkomisji nie badał wcześniej katastrof lotniczych. Była więc organem złożonym z dyletantów. O niektórych pisaliśmy w „Przeglądzie" (nr 15/2021), więc tylko kilka zdań przypomnienia:

Kazimierz Nowaczyk – następny przewodniczący. Pracował jako fizyk doświadczalny na Wydziale Biochemii i Biologii Molekularnej Szkoły Medycznej University of Maryland. On z kolei był autorem koncepcji, że tupolew ominął feralną brzozę, a potem rozpadł się w wyniku „dwóch wstrząsów", czyli wybuchów. 11 stycznia 2018 r. na stanowisku przewodniczącego podkomisji zastąpił go Antoni Macierewicz.

Wiesław Binienda – przedstawiano go jako tego, który uczestniczył w badaniach katastrofy promu Columbia. Jednak w raporcie na temat Columbii nie został wymieniony, choć podano w nim nawet nazwiska sekretarek i kierowców. Binienda jest absolwentem Wydziału Samochodów i Maszyn Roboczych Politechniki Warszawskiej. W 1982 r. wyjechał do USA i doszedł tam do stanowiska profesora na Wydziale Inżynierii Cywilnej University of Akron – uczelni zajmującej w rankingu amerykańskich szkół wyższych 585. miejsce na 650. Co nie przeszkadzało ludziom PiS opowiadać, że to wielki i słynny uniwersytet. Z samolotami i katastrofami lotniczymi Binienda nie miał nic wspólnego.

Boli, że Smoleńsk został tak bezwzględnie wykorzystany w polskiej polityce.

Wacław Berczyński – pierwszy przewodniczący komisji, absolwent Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu Południowej Kalifornii, potem pracownik Boeinga. Twierdził, że kadłub takiej maszyny jak Tu-154M powinien zderzenie z ziemią wytrzymać. Poza tym katastrofa nastąpiła w wyniku wybuchu bomby termobarycznej. Macierewicz mówił o Berczyńskim, że „badał dziesiątki katastrof lotnictwa wojskowego" w USA. To były kłamstwa. Nie ma żadnych dokumentów, które by to poświadczały. Wiadomo jedynie, że był w Boeingu informatykiem. A już po przejęciu władzy przez PiS mocno się zaangażował w storpedowanie kontraktu na zakup śmigłowców Caracal, który w 2015 r. podpisał poprzedni rząd.

Glenn Jørgensen – członek podkomisji, prywatnie mąż Ewy Stankiewicz, szefowej Stowarzyszenia Solidarni 2010. Jørgensen oskarżył przewodniczącego podkomisji, że de facto blokuje możliwość zbadania katastrofy. „Wprowadza chaos

eprasa.pl 456f2a29e8

i konflikty", pisał o Macierewiczu w tygodniku „Sieci". „Rozpowszechnia błędne informacje oraz aktywnie blokuje wszelkie próby prowadzenia systematycznego śledztwa opartego na dowodach". Cóż za naiwność… Jørgensen najwyraźniej wierzył w zamach i chciał dociekać prawdy, a Macierewicz takich złudzeń nie miał. Sprawę rozgrywał zatem jak wytrawny hochsztapler – zamiast jakiekolwiek badania kończyć, wolał niewygodne informacje ukrywać i rzucać kolejne oskarżenia. Sytuacja wyglądała podobnie, gdy podkomisja zamawiała ekspertyzy w zagranicznych instytucjach i u zagranicznych fachowców.

•

Tę „specyfikę" znakomicie pokazał Piotr Świerczek, dziennikarz „Czarno na białym" TVN 24. Dotarł do dokumentów, które podkomisja smoleńska miała co najmniej od grudnia 2020 r., ale je ukryła, bo wykluczały tezę Macierewicza o zamachu, o dwóch bombach w samolocie. Potwierdził to jeden z byłych jej członków, a dwie inne osoby – główny pirotechnik podkomisji Adrian Siadkowski i biegły sądowy Mirosław Tarasiuk, który badał dźwięk z kokpitu tupolewa – mówiły, że badania zostały wykorzystane wyrywkowo, były nadinterpretowane lub zupełnie zmanipulowane. Tarasiuk powiedział, że wbrew temu, co twierdzi podkomisja, nie usłyszał na nagraniu dźwięku wybuchu. Świerczek dotarł też do raportu NIAR – Instytutu Badań Lotniczych z Wichita w Stanach Zjednoczonych – za który podkomisja zapłaciła 8 mln zł. W raporcie podkomisji Macierewicz zacytował tylko fragmenty z załączników do raportu NIAR. Natomiast informacje, wnioski, grafiki, które wskazywały, że pod Smoleńskiem doszło do wypadku, pominął. Ukrył.

Reporter TVN 24 dotarł również do Chrisa Protheroe, brytyjskiego eksperta ds. katastrof lotniczych, który współpracował z Antonim Macierewiczem. Protheroe brał udział w wyjaśnianiu prawie 300 wypadków lotniczych, w tym katastrofy amerykańskiego samolotu nad szkockim Lockerbie. „Nie był usatysfakcjonowany wynikiem moich prac, odmówił przyjęcia mojego raportu. Moja praca nie potwierdzała jego teorii", tłumaczył Protheroe w programie. „Wykorzystali to, co przygotowałem. Ale wyciągnęli wnioski, które nie były słuszne. Antoni Macierewicz, wywołując presję na ekspertach, uzależniał wypłatę pensji od treści raportów. Odmówił nam ostatniej zapłaty, bo nie wprowadziliśmy tych zmian, na które naciskał", dodawał. Mówił też, że kiedy przedstawił swoje wyniki badań, Macierewicz najpierw naciskał, by je zmienił, a później ukrył jego raport. Do tego publicznie twierdził, że potwierdza on ustalenia podkomisji.

•

Jeżeli już jesteśmy przy raporcie podkomisji, miał on być przygotowany na 10. rocznicę katastrofy. W marcu 2020 r. Macierewicz zapowiadał w Telewizji Republika, że dokument zostanie za chwilę opublikowany. Ale 10 kwietnia 2020 r. raport się nie ukazał. Podobno z powodu pandemii. Zamiast niego Macierewicz zaprezentował… film. „To załącznik do raportu podkomisji", wyjaśniał. Ale później zmienił zdanie i mówił, że był to „raport filmowy". A cały raport (na piśmie) jest gotowy i znajduje się w sejfie podkomisji. I „może zostać opublikowany w ciągu kwartału". Naturalnie znów nic takiego się nie wydarzyło. Oczywiście to Macierewiczowi absolutnie nie przeszkadzało. „Miejmy w pamięci, jak bardzo ważna jest prawda o dramacie smoleńskim, wyniki badania komisji, która teraz działa i pokazała, że rzeczywistą przyczyną była eksplozja, wysadzenie w powietrze samolotu. Dziękuję Radiu Maryja, Telewizji Trwam, Rodzinie Radia Maryja, tym wszystkim, którzy podtrzymywali nas przy pracy nad prawdą o dramacie smoleńskim. Gdy skończy się wreszcie pandemia koronawirusa, komisja będzie mogła się spotkać, a raport zostanie opublikowany. Mam nadzieję, że przetnie on wszystkie działania antypolskie, z jakimi mamy do czynienia", deklarował w Radiu Maryja.

W międzyczasie Macierewicz musiał pacyfikować kolejne bunty w podkomisji, bo część jej członków oświadczyła, że nie zgadza się z tym, co zostało pokazane w filmie. I że tzw. raport podkomisji Antoniego Macierewicza jest niezgodny z tym, co ustalali, więc się pod nim nie podpiszą. Co wtedy zrobił Macierewicz? Odwołał buntowników z podkomisji, a 10 sierpnia 2021 r. ogłoszone zostało podpisanie raportu. Przez inny skład podkomisji. Utajniony, bo o tym, kto w niej pracuje, w pewnym momencie przestano informować. Ostatecznie Macierewicz przedstawił raport podkomisji w kwietniu 2022 r. „Przyczyną katastrofy 10 kwietnia nad Smoleńskiem był akt bezprawnej ingerencji strony rosyjskiej na statek powietrzny Tu-154M z delegacją prezydenta RP; głównym i bezspornym dowodem tej ingerencji był wybuch w lewym skrzydle na 100 m przed minięciem przez samolot brzozy na działce doktora Bodina, nad terenem, gdzie nie było ani wysokich drzew, ani innych przeszkód mogących zagrozić samolotowi", obwieścił. Czyli wybuch, zamach!

A skąd się wzięły bomby? Macierewicz wysnuł tezę, że zostały podłożone podczas remontu samolotu w rosyjskiej Samarze dziewięć miesięcy wcześniej. W skrzydłach miała zostać umieszczona „bomba paskowa", a do samolotu włożono bombę termobaryczną. Innymi słowy, naszpikowany ładunkami wybuchowymi samolot po powrocie z remontu wykonał kilkadziesiąt lotów i żadne badanie pirotechniczne, żadne działania mechaników nie wykryły tych bomb. Nie wiadomo też, jak zostały one aktywowane. Dlaczego akurat podczas lądowania pod Smoleńskiem? I nie wiadomo dlaczego nie zostawiły śladów wybuchu.

Ale wielka hochsztaplerka, tak jak i sekta, nad drobiazgami się nie pochyla. Wystarczy objawienie wielkiej tajemnicy, cierpiętnik i wielki kapłan, który wszystko wyjaśnia. Już 15 lat…

Podkomisja kosztowała państwo polskie ok. 33 mln zł.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 456f2a29e8

Co zrobić, gdy Ameryka odchodzi

Trzeba traktować trumpizm jako zjawisko trwałe i przygotowywać się do samodzielnego życia Europy jako siły geopolitycznej

Rozmawia Robert Walenciak

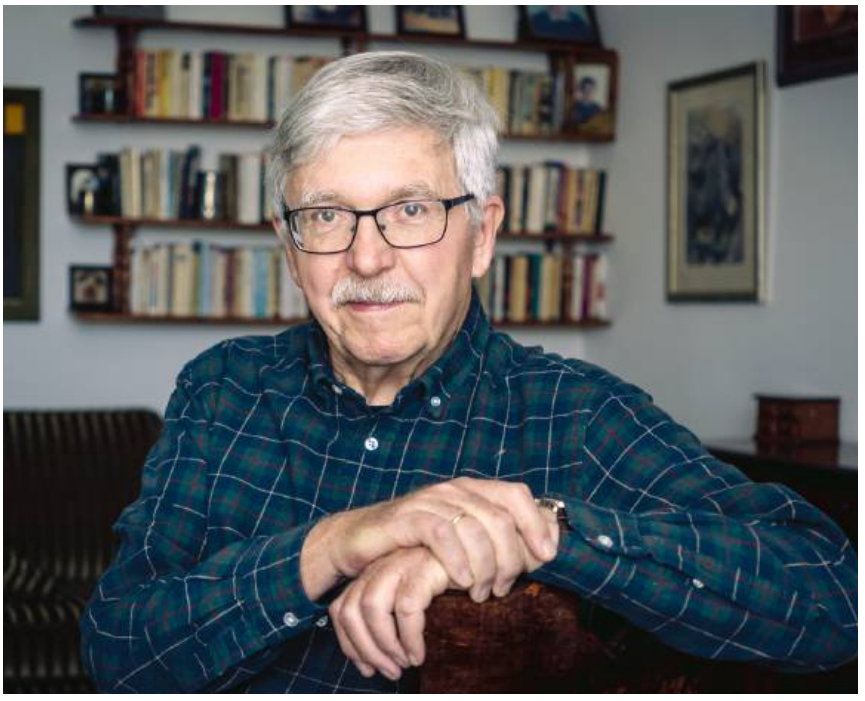

JAN TRUSZCZYŃSKI
– dyplomata, główny negocjator członkostwa Polski w Unii Europejskiej, były ambasador RP przy UE.

Czy Europa obroni się przed Trumpem? Co Ameryka wobec niej zamierza?

– Europa ma siłę ekonomiczną, ma wystarczający potencjał, żeby się nie dać. Choć, jak wiemy, wojna handlowa niesie zawsze koszty dla wszystkich. Nie ma nikogo, kto nie wyszedłby z tego poraniony i poszkodowany.

Ale odpowiedzieć trzeba?

– Musi być odpowiedź, Amerykanie muszą poczuć, że nie mogą bezkarnie manipulować cłami. Jesteśmy zbyt dużym i silnym partnerem, żeby siedzieć i nie robić nic. Zwłaszcza że jako blok handlowy i łączny wytwórca PKB towarów przemysłowych oraz usług jesteśmy porównywalni ze Stanami Zjednoczonymi. I możemy je mocno ugodzić. Ten, kto nie robi nic, siłą rzeczy będzie uznany przez ekipę prezydenta Trumpa za słabeusza, któremu można przyłożyć jeszcze bardziej i też nic nie zrobi, bo będzie się bał.

Europa musi zatem odpowiedzieć zdecydowanie?

– Myślę, że państwom członkowskim nie zależy na tym, żeby odpowiedź była, powiedziałbym, nadmiarowa, żeby szkoda wyrządzana gospodarce amerykańskiej przekraczała kalkulację szkód, jakie mogą spowodować cła wprowadzone przez Trumpa. Cały czas trzymamy gałązkę oliwną i wyrażamy gotowość do negocjacji. Ale podkreślam: Europa nie daje sobie w kaszę dmuchać i na pewno tego dowiedzie.

Zimny prysznic Trumpa

To fenomen, jak Donald Trump zmienił w Europie postrzeganie Ameryki. Europa czuje się przestraszona czy zmobilizowana?

– Myślę, że przede wszystkim rozczarowana, a poza tym zmobilizowana. Bo przecież masywnego zagrożenia, które by nagle narosło, na razie nie ma – myślę tu o Rosji. Natomiast daje się odczuć ogromne rozczarowanie. Oczywiście nie jest ono tak wielkie i tak jasno demonstrowane jak w Kanadzie. A zaraz za Kanadą, chociaż w sposób bardziej stonowany, w Danii.

A w Polsce?

– My, Polska, Estonia czy Irlandia, jesteśmy tuż za Danią. Widać to zresztą po całej dyskusji i częstotliwości spotkań na najwyższym szczeblu, poświęconych czy to sprawom ukraińskim par excellence, czy obronie europejskiej. Widzę silną mobilizację, ewidentną intensyfikację dyskusji, co robić i jak robić. Jakimi narzędziami należy się posłużyć, aby budować silniejszy potencjał obronny Europy, jeśli idzie zarówno o przemysł zbrojeniowy, jak i o wojsko, o siły zbrojne. Zimny prysznic zafundowany przez Amerykę daje szybkie efekty polityczne.

Teraz będziemy czekać na konkrety.

– Zakładam, że europejska mobilizacja się nie rozwodni, nie rozpadnie pod wpływem egoizmów narodowych. Wiadomo, że wrażliwość krajów południa Europy na

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 456f2a29e8

zagrożenie rosyjskie jest mniejsza niż krajów wschodniej flanki NATO. Chodzi natomiast o to, żeby dystans w postrzeganiu głównych zagrożeń był jak najmniejszy. Moim zdaniem świadomość, że Ameryka może się wycofać z Europy, że wartość gwarancji bezpieczeństwa w ramach NATO ze strony Ameryki staje pod znakiem zapytania, buduje atmosferę. Buduje zrozumienie co do potrzeby obrony europejskiej. Czyli że potrzebne jest wypełnienie europejską treścią, ludźmi, procedurami, potencjałem obronnym, europejskiego filara NATO.

Amerykanie muszą poczuć, że nie mogą bezkarnie manipulować cłami. Jesteśmy zbyt dużym partnerem, żeby siedzieć i nie robić nic.

To realne? W Europie zawsze jest dużo gadania, a efektów niewiele. Da się to wreszcie ruszyć?

– Pamiętam, jak zostałem dyrektorem politycznym MSZ wiosną 2003 r. Mieliśmy wówczas potężny rozłam wewnątrz Unii Europejskiej, w związku z tym, że jedni poszli razem z Amerykanami do Iraku, a drudzy byli temu przeciwni. To spowodowało – zwłaszcza między Niemcami i Francją z jednej strony a Polską z drugiej – na szczęście krótki okres silnego zimna. A potem to przeszło i zaczęto konstruować europejską strategię bezpieczeństwa. Stworzono dokument, który pokazywał, gdzie są zagrożenia, co należy robić wspólnie, w porozumieniu z NATO, a co samodzielnie – padła wówczas propozycja tworzenia grup bojowych. Wydawało mi się, a byłem aktywnym uczestnikiem tych prac do października 2005 r., że zaczynamy rzeczywiście tworzyć coś w rodzaju wspólnej kultury, zrozumienia tego, co nam, państwom europejskim, zagraża.

Efekty tej strategii były jednak znikome. Plany nie doszły do skutku.

– Z jednej strony nie, z drugiej rozmaite klocuszki powstały i działają. To prawda, że nie składają się na samodzielny potencjał obronny Unii Europejskiej. Ale mają sens, jeśli idzie o przyczynienie się do budowania silniejszej obronności w Europie.

Uważa pan, że na tych szczątkowych strukturach da się coś zbudować?

– Od roku 2021 mamy Europejski Instrument na rzecz Pokoju. To była zrzutka poza budżetem Unii Europejskiej, instrument do finansowania działań pokojowych Unii poza jej granicami. Ten fundusz bardzo się przydał do finansowania dostaw sprzętu i amunicji na Ukrainę.

W ramach wieloletniego budżetu UE na okres 2021-2027 działa Europejski Fundusz Obronny, wspierający wspólne badania technologiczne i rozwojowe. Sporo rzeczy wydarzyło się przez ostatnie lata, a nad tym wszystkim teraz powstaje integrująca czapa w postaci propozycji z białej księgi o przyszłości obrony europejskiej. Wskazano tam pięć źródeł, które będą mogły finansować działania na rzecz obrony.

Zakładają one uruchomienie środków do sumy 800 mld euro.

Ten, kto nie robi nic, będzie uznany przez ekipę Trumpa za słabeusza, któremu można przyłożyć jeszcze bardziej.

– Zobaczymy, jak to zadziała. Można konia doprowadzić do wodopoju, ale zmusić go do picia już się nie da.

Świat się zmienia

Jaka Europa powstanie z tych wszystkich działań? Taka rozgadana jak do tej pory czy też jako blok, z którym Stany Zjednoczone będą musiały się liczyć? Rosja i Chiny również?

– Mam nadzieję, że ze względu na wysoki potencjał wytwórczy i jakość technologiczną największych przedsiębiorstw jesteśmy w stanie relatywnie szybko się podnieść. Oczywiście pod warunkiem politycznej mobilizacji i woli przełamania blokad narodowych. Zwracam uwagę na art. 346 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej, który de facto daje carte blanche każdemu, nawet małemu kraikowi, który powie: a ja mam tu witalne interesy swojego bezpieczeństwa narodowego, w związku z tym zamówienie ulokuję w swoim kraju, innych nie dopuszczając, bo chcę wspierać własny zakład przemysłu zbrojeniowego. Niby zawsze tak było. Zarazem takie dłubanie – każdy kraj sobie i na własną rękę – może spowodować, że ten wielki projekt się nie złoży. Pieniądze zostaną zmarnowane albo będzie to kilka razy droższe, niż gdybyśmy działali wspólnie. Ale woli, żeby za słowami poszły czyny, jest teraz, po amerykańskim zimnym prysznicu, więcej.

Układ sił światowych zmienia się na naszych oczach?

– Tak, zmienia się. Oczywiście nie wiadomo, jak długo potrwa era Trumpa i tych, którzy nadejdą po Trumpie. Nie zakładałbym, że trumpizm to zjawisko nietrwałe i że w Stanach Zjednoczonych dojdzie do szybkiego otrzeźwienia. Różnice wewnątrzpolityczne w Ameryce są tak silne i przekonania tak ugruntowane, że nawet fiasko polityki trumpowskiej wobec świata nie spowoduje takiej zmiany nastrojów, żeby usunąć obecne elementy izolacjonizmu, schowania się Ameryki do swojej skorupy, porzucenia Europy itd. To, co dzieje się teraz, ma przecież głębokie korzenie.

Czyli rozwód europejsko-amerykański jest przesądzony?

– Trzeba to traktować jako zjawisko trwałe i przygotowywać się, raczej szybko niż powoli, do samodzielnego życia Europy jako siły geopolitycznej. Chętnej do współpracy z każdym, ale też zdolnej do odstraszenia każdego. Trzeba po prostu starać się wytworzyć byt, który jest

eprasa.pl 456f2a29e8

w stanie patrzeć prosto w oczy Ameryce, Chinom czy Rosji.

Trzymamy się razem

Ale czy Europę na to stać? Wydatki zbrojeniowe, na badania naukowe, na odbudowę infrastruktury, i to wszystko przy bardzo wysokich cenach energii. Czy Europa te koszty udźwignie?

– Są na ten temat różne opinie. Mnie podobają się głosy o możliwości dodatkowych instrumentów dłużnych, wspólnie zaciąganego długu, tak żeby był rozsmarowany na dziesiątki lat. I żeby spłata szła przez wspólny budżet państw Unii Europejskiej, żebyśmy tworzyli coraz bardziej wspólny organizm, obejmujący także obszary, które do niedawna uznawano za wyłączną domenę państw narodowych.

Nie wiem, czy to się uda. Ale myślę, że tam, gdzie jest świat wielobiegunowy i jesteśmy otoczeni przez aktorów, którzy grają z nami transakcyjnie albo nawet dybią na naszą spoistość i chcieliby, żebyśmy się rozpadli, stali zatomizowaną grupą państewek, to temu musimy się przeciwstawiać. To jedyna droga, jeżeli chcemy utrzymać europejską jakość życia i zapewnić przyszłość młodej generacji.

Do tej pory, co najmniej do 2022 r., Europa się rozcieńczała, prawda? Dominowała tendencja powrotu do państw narodowych.

– Tak do końca nie było. Raczej był nastrój, że mimo kryzysów, które nas dopadają, posuwamy się do przodu, może wolniej, może słabo to idzie, ale trzymamy się razem. A obecnie są zdecydowanie lepsze warunki do pogłębienia integracji i rzeczywistego zajęcia się obronnością, tak żebyśmy mieli autonomię strategiczną. I gdy mówię o autonomii strategicznej, dodaję, że w ramach europejskiego filara NATO i z maksymalnym zachowaniem osłony amerykańskiej, nawet jeśli trzeba będzie negocjować tego cenę. Mam na myśli te wszystkie umiejętności strategiczne, globalne, którymi dysponują Amerykanie, a my nie, typu rozpoznanie i wywiad satelitarny. Lata musiałyby minąć, byśmy tę lukę wypełnili. Po drodze trzeba więc będzie się posiłkować wsparciem amerykańskim.

Z pańskich słów wynika, że Europa jest skazana w pewnym sensie na płacenie haraczu. Z Turcją tak to już działa.

– To nie jest haracz, to koszty. Oczywiście, jeśli chodzi o Turcję, jest to niemoralna transakcja, można tak powiedzieć, ale daje efekty. My im płacimy, a oni trzymają uchodźców syryjskich u siebie i nie puszczają ich dalej do Europy.

A teraz Amerykanie będą chcieli pieniędzy za to, że nas bronią. Może taniej byłoby zapłacić Rosjanom, żeby nas nie zaatakowali.

– A to rzeczywiście jest ciekawy kierunek myślenia. Ale znając przywiązanie Rosjan do umów, które podpisywali, nie inwestowałbym tu za dużo.

Niemcy, czyli german vote

Istnieje też żywa obawa, zwłaszcza w Polsce, że gdy Europa coraz bardziej będzie się jednoczyła, to coraz więcej będą miały w niej do powiedzenia Niemcy, które są nastawione egoistycznie i narzucają swoje zdanie.

– Proszę pana, kto nie jest egoistą tam, gdzie ciśnie go własna opinia publiczna albo własne przekonania ideologiczne? Nie przypisywałbym Niemcom więcej inklinacji tego typu niż innym krajom członkowskim Unii. Widziałem to na własne oczy, gdy pracowałem w Brukseli, a z informacji, które do mnie docierają, wynika, że nic w tej sprawie się nie zmieniło – otóż Niemcy mają relatywnie największe trudności, biorąc udział w procesie decyzyjnym. Są krajem relatywnie najczęściej wstrzymującym się od głosu. Pojęcie *german vote* istniało już za moich czasów, a teraz podobno funkcjonuje jeszcze mocniej.

Oznacza wstrzymanie się od głosu: umywamy ręce?

– A dlaczego Niemcy tak często się wstrzymują? Dlatego, że wewnątrz kraju nie potrafią się dogadać koalicyjnie albo nie mogą się dogadać między szczeblem federalnym a landowym, albo grzęzną w debatach między Ministerstwem Finansów, Urzędem Kanclerskim, MSZ i Ministerstwem Gospodarki. Krótko mówiąc, nie są tak efektywne ani brutalne…

…jak je opisujemy?

– Tak, to po prostu obraz, który tworzy prasa nacjonalistyczna w Polsce, ale on ma się nijak do rzeczywistości.

Kto w takim razie rozdaje karty w Unii?

– Poszczególne większości kwalifikowane. Jeśli udaje się je zbudować. A ich skład się zmienia. Nie ma więc grupy trzymającej władzę w sposób jednolity, stały i przez lata. Dziś jesteś razem ze Skandynawami, jutro możesz być po innej stronie, trzeciego dnia zbliżyć się do krajów liberalnych. Nie ma stałych koalicji, nie ma tandemu francusko-niemieckiego, który byłby w stanie narzucać coś innym. Tym bardziej nie ma Niemiec, które zmuszają innych do takiego, a nie innego działania. Integracja europejska okazuje się dużo bardziej złożona i nie jest to gra do jednej bramki, z Niemcami kopiącymi i strzelającymi gole, podczas gdy reszta bezradnie próbuje się bronić.

Ale wierzy pan, że taka Unia, tak rozgadana, rozmemłana...

– Bo ma procedury. W Unii nie da się tak po pisowsku przegłosowywać ustaw, co to rano wnieśli, a wieczorem prezydent już podpisał. W Unii średni czas od pomysłu do przemysłu to 19 miesięcy na rozporządzenie czy dyrektywę. Naturalnie chciałoby się przyśpieszenia procesu tworzenia prawa, z drugiej strony trzeba to robić w sposób demokratyczny i uwzględniający wszystkie główne interesy. Taka jest cena europejskiego ładu.

W Unii nie da się tak po pisowsku przegłosowywać ustaw, co to rano wnieśli, a wieczorem prezydent już podpisał.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 456f2a29e8

Tam, gdzie zawsze wygrywa PiS

Ktokolwiek by wygrał, wojna polsko-polska będzie trwać

Anna Wyrwik

Podlasie miesza się tu z Mazowszem, drewniane chaty z domami z pustaków i oborami z cegieł, błoto i trawa z betonozą, a cerkwie z kościołami. Im dalej na północ, tym cerkwi mniej, im dalej na zachód od powiatu hajnowskiego, tym mniej Podlasia, a więcej Mazowsza.

Znajdujemy się w powiatach: bielskim, wysokomazowieckim i łomżyńskim, w gminach: Brańsk, Klukowo, Kulesze Kościelne, Kobylin-Borzymy, Przytuły. Ludzie tu, gdy się ich pyta o politykę, mówią, że mówić nie chcą, ale i tak mówią i się rozgadują. Na koniec mówią, że chcą być anonimowi. Ci, którzy chcą być anonimowi w wymiarze lokalnym (bez imienia i nazwiska), mieszają się z tymi, którzy chcą być anonimowi w wymiarze globalnym (bez nazwy miejscowości albo i powiatu). Uszanujmy więc te prośby. Zbierzmy ich opinie o Polsce i polityce i niech wygłoszą je anonimowe Wyborczynie i anonimowi Wyborcy. Wsiadamy z nimi do samochodu i jedziemy w trasę po gminach, które łączy bliskość geograficzna i ideologiczna, bo wszędzie tu od lat wygrywa Prawo i Sprawiedliwość.

Jego przemówienia są płomienne, konkrety są w tych przemówieniach

W drodze do Brańska zerknijmy do statystyk. W każdej odwiedzanej przez nas gminie w wyborach parlamentarnych w 2023 r. PiS miało ponad 70% głosów, Koalicja Obywatelska poniżej 6% (tylko w jednej przekroczyła próg wyborczy), Konfederacja powyżej 8%, a Lewica poniżej 2%. W 2020 r. Andrzej Duda wszędzie tu zdobył powyżej 80% głosów i wszystkie gminy znalazły się w pierwszej dziesiątce jego najlepszych gminnych wyników. Rafał Trzaskowski w każdej miał poniżej 4% głosów, a Krzysztof Bosak – powyżej 5%.

W samochodzie wygłaszane są trzy pewniki. Po pierwsze, wygra Karol Nawrocki. Jedziemy przez Brańsk i większość pasażerów nie ma wątpliwości. Za oknem plakaty wyborcze kandydata obywatelskiego mieszają się z plakatami i bilbordami reklamowymi, z przewagą tych drugich. Nawrocki wisi między reklamami nasion, żwirowni i tartaków, wisi na domach, przy rondach, obok szkół, na płotach i ogrodzeniach, obok sprzedaży betonu wisi i obok autoserwisów oraz wynajmu minikoparek.

– Nasze strony są prawicowe i katolickie – mówi Wyborca. – Jest trochę lewicowych, ale ja ich wyczuwam.

– Jak? – pytam.

– W dyskusji. Od razu się czuje, gdy człowiek nie jest po naszej stronie.

Naszej, czyli za Karolem Nawrockim, kandydatem jedynym, prawicowym; normalnym i prawdziwym Polakiem, który o Polskę dba, a jego przemówienia są płomienne, konkrety są w tych przemówieniach.

Są konkrety dotyczące polityki zagranicznej. Nawrocki będzie trzymał ze Stanami Zjednoczonymi, bo Donald Trump jest naszym przyjacielem, podczas gdy na Francję czy Niemcy nie ma co liczyć. Są konkrety dotyczące uchodźców. Nawrocki zrobi z nimi porządek. W samochodzie więcej niż o granicy polsko-białoruskiej, do której z Brańska jest ok. 80 km, mówi się o granicy polsko-niemieckiej, do której jest ok. 630 km.

– Wie pani, my tutaj oglądamy Republikę. W co drugim domu jest Republika – opowiada Wyborczyni.

– I co tam mówią?

– Same normalne rzeczy, prawdziwe, o których inne telewizje nie powiedzą. O wszystkim mówią, np. o tym proteście w Zgorzelcu. Czy inne telewizje to pokazały?

W ostatnich dniach TV Republika zaprezentowała materiał ze Zgorzelca. Można go obejrzeć na stronie internetowej stacji – Robert Bąkiewicz, podpisany jako „szef Rot Marszu Niepodległości i partii Niepodległość", przemawia podczas „protestu przeciwko przerzucaniu przez polsko-niemiecką granicę migrantów z Niemiec".

– Niemcy największe gówno nam tu przywożą! – żołądkuje się Wyborczyni. – Trzeba bronić. Tam też by się mur przydał.

Sytuacja w Polsce jest przez większość pasażerów uznawana za złą.

– Bardzo źle się dzieje – podkreśla Wyborca.

– Co konkretnie?

– Sprzedają Polskę. Pani dziennikarka i pani nie wie?

– A komu?

– Przyjaciołom z Zachodu – a „przyjaciołom" mówi tak, że gdyby znał gest brania w cudzysłów, toby go zrobił.

Sprzedają polskie lasy, sprzedają polski przemysł, wszystko sprzedają za granicę. Temu, kto da więcej. To, co polskie, jest spychane, polskie małe sklepy są zamykane kosztem zagranicznych marketów, podczas gdy o Polskę powinno się dbać jak o własne podwórko.

Przejeżdżamy przez Klukowo, a jeden z Wyborców mówi, że Nawrocki na pewno wygra, bo inaczej Polska zginie.

Ktoś porusza temat Rafała Trzaskowskiego. Zaraz za nim pojawia się KO i Donald Tusk, Wyborczynie i Wyborcy zaczynają się przekrzykiwać.

– Wszystkich tylko chcą aresztować! Nieważne, czy jest za co, czy nie ma za co. Tylko areszty, areszty, areszty.

– Ja nie wierzę w te afery.

– Teraz ta kobieta jeszcze… Ja tam nie byłam, ale wydaje mi się, że gdy

eprasa.pl 456f2a29e8

Trzaskowski pojawia się rzadko, głównie w powiecie hajnowskim, który jest pomarańczową plamą na niebieskiej mapie Podlasia. Czyże, marzec 2025 r.

Pewniki są trzy – jak nie Nawrocki, to Mentzen, na pewno nie Trzaskowski. Kobylin-Borzymy, powiat wysokomazowiecki, marzec 2025 r.

ona zobaczyła tych przesłuchujących… Kobieta delikatna, schorowana, mogło jej to zaszkodzić.

– Ktoś tam na pewno coś ukradł, jak to politycy, ale PO też kradnie.

– Czemu im nie zabrali immunitetów?

– Niemożliwe jest, by tylko z PiS byli winni, a z PO nie. Gdyby było np. dwóch winnych z PiS, dwóch z PO, byłoby to bardziej autentyczne.

Nie rozmawia jak polityk, tylko nalewajka, srajka, dupajka

Po drugie – bo pewniki, przypomnijmy, są trzy – Rafał Trzaskowski to niewypał. Nie mijamy plakatów z jego zdjęciem, bo ich tu nie ma. Są w powiecie hajnowskim, który jest pomarańczową plamą na niebieskiej mapie Podlasia, ale to nie tu. Tu jest niebiesko i w opinii miejscowych Trzaskowski nie jest dobrym mówcą, nie rozmawia jak polityk, tylko nalewajka, srajka, dupajka.

– Nóż się w kieszeni otwiera! – złości się Wyborczyni. – Jak ja patrzę na tę Warszawę, na tego Trzaskowskiego i jego budowle… To jajo wielkie, tę ubikację za tyle tysięcy!

Jajo wielkie, czyli instalacja artystyczna Joanny Rajkowskiej „Pisklę. Drozd śpiewak”, oraz ubikacja, czyli publiczna toaleta w Parku Skaryszewskim, to jedne z głównych tematów kampanii wyborczej Sławomira Mentzena. Do kandydata Konfederacji jeszcze wrócimy, tymczasem pojawia się również jeden z głównych tematów kampanii wyborczej Karola Nawrockiego.

– A to muzeum w Warszawie potrzebne za tyle milionów? – pyta Wyborczyni.

– Byłam w nim i mi się podobało – odpowiadam.

– I te książki, które tam leżą, też się pani podobają?

– Które książki?

– Te o seksie dla młodych.

– Seks to ludzka rzecz.

– Wiem, że seks to ludzka rzecz, ale tyle pieniędzy walić w taką budowlę? Muzeum też potrzebne, ale, wie pani, takie prawdziwe, normalne.

Do głosu dochodzi Wyborczyni, która planuje poprzeć Rafała Trzaskowskiego. W naszym samochodzie jest tylko jedna taka.

– Mnie się rządy PiS nie podobały – zaznacza. – Dla tych ludzi najważniejsze jest, że PiS dawało. Jestem przeciwna rozdawnictwu. Sama ciężko na wszystko pracuję. Uważam, że powinno się dawać, jeśli przynajmniej jeden członek rodziny pracuje. Nie pracujesz, nie dostajesz. Przez rozdawnictwo jest dużo patologii. Wielu ludzi rzuciło pracę albo raz przychodzą, raz nie, bo 800+ dostali. Chore!

Średniowiecze, ciemnogród i zaślepienie widzi Wyborczyni w swoim rejonie Podlasia.

– Nie przetłumaczysz – mówi.

Jedziemy przez wieś Kulesze Kościelne. Samochód podskakuje na dziurach w asfalcie, a tymczasem Karol Nawrocki nazwany zostaje królikiem z kapelusza. Królikiem z kapelusza był też Andrzej Duda, była Beata Szydło, był Daniel Obajtek… Ci, którzy popierają PO, myślą obiektywnie i realnie, ale jest ich tu garstka, inteligentnych ludzi, z którymi można porozmawiać. Pewnie oni zgadzają się z Wyborczynią, że słuchać się nie da tego, co wygłasza Jarosław Kaczyński, zakłamany i nienawistny. On i PiS działają na zasadzie, że jak kto nie jest z nimi, toby zabili. A tak w ogóle to Kaczyński swoje lata ma, ledwo chodzi, powinien już ustąpić.

– Nie idzie to w dobrym kierunku – ocenia Wyborczyni. – Dla nich wszystko to wina Tuska. Uchodźcy? Wina Tuska. Skrzypek nie żyje? Wina Tuska. Przecież tak się nie da!

Tuska podziwia. Gdyby do niej przyszedł, rękę by podała.

FOT. ANNA WYRWIK (2)

eprasa.pl 456f2a29e8

– Osiągnął wszystko, co można osiągnąć. Co mu więcej trzeba? Karierę zrobił, pieniądze ma. A jeszcze chce mu się szarpać z tymi Sasinami i Obajtkami. Chce mu się pchać w to wszystko. Uważam, że jednak jest tym patriotą.

Ma dobre pomysły. Wolność mi się podoba

Płaskie są to tereny, na których kolejne miejscowości zdają się definicjami miejscowości polskiej, czyli mamy tak: urząd gminy, Biedronka i Dino, dwa mniejsze sklepy lokalne u pani Krysi, Basi czy u pana Grzesia, trzy sklepy lokalne zamknięte, w walących się budynkach z resztkami szyldów, nowy plac zabaw z funduszy unijnych, rozmawiający przez telefon lokalny biznesmen wsiadający do SUV-a, lokalny pijaczek mieszkający z mamą, chłopiec wracający ze szkoły. Nad tym wszystkim góruje kościół o rozmiarach, których nie powstydziłyby się parafie w miastach wojewódzkich.

– Boimy się, ale i tak nie mamy na to wszystko wpływu – mówi Wyborczyni o wojnie.

– Niepokój jest – potwierdza Wyborca.

Jeśli temat wojny się pojawia, to i temat uchodźców. W tym przypadku cały samochód zgodnie mówi: „nie!”. I nie ma tematu.

Wyborczynie i Wyborcy ogólnie uważają, że polityka to tylko kłótnie i nienawiść.

– Przecież polityka nie polega na tym! Przecież tolerancja! Wysłuchać trzeba tego i tamtego – podkreśla Wyborczyni.

Państwowa Komisja Wyborcza zarejestrowała 44 komitety wyborcze. Rejestracja komitetu nie oznacza startu jego kandydata czy kandydatki w wyborach. Potrzebne jest jeszcze 100 tys. podpisów. Termin zgłaszania kandydatów na prezydenta RP to 4 kwietnia br., godz. 16. Na razie zarejestrowanych zostało dziesięcioro. W miejscowościach, przez które jedziemy, zdaje się być tylko trzech.

Magdalena Biejat z Lewicy pojawia się jedynie raz – na plakacie obok tego z Nawrockim, na jednym z rond. Wygląda to tutaj jak dobry żart. Część pasażerów w samochodzie chyba średnio ją kojarzy. Szymon Hołownia jest lepiej kojarzony, jednak na plakacie się nie pojawia. Za to pojawia się w jednej z rozmów.

– Jest aktorem i powinien wrócić tam, gdzie był – ocenia Wyborca.

Koniec o życiu i pasażerowie wracają do rozmów o polityce. Po trzecie – no bo pewniki są trzy – jak nie Nawrocki, to Mentzen.

– Jeśli Nawrocki nie wejdzie do drugiej tury, będę głosował na Mentzena – deklaruje Wyborca. – Moi sąsiedzi też.

> Magdalena Biejat z Lewicy pojawia się raz – na plakacie obok tego z Nawrockim, na jednym z rond. Wygląda to tutaj jak dobry żart.

Kolejne plakaty, kolejne opony. Nie wiedzieć czemu w okolicy przy wielu domach leżą opony. Na kupach, na stertach, jako obciążenia płacht przykrywających coś, może rośliny jakieś albo piasek. Więc kolejne opony i kolejne plakaty Mentzena. To ten trzeci, prócz Nawrockiego na „tak” i Trzaskowskiego na „nie”, i ten drugi, jeśli chodzi o przydrożne plakaty. Mijamy Kobylin-Borzymy. Za oknem miga uśmiechnięty Mentzen na plakacie obok innego, z hasłem: „Dołącz do Ruchu Narodowego”.

– Ma dobre pomysły – chwali Wyborczyni. – Gdybym miała wybierać między Nawrockim a Mentzenem, wybrałabym Mentzena. Wolność mi się podoba. Wolność wyboru, bo on nie chce niczego zabraniać.

– Aborcji chce zabronić – odzywam się niepytana.

– Ja bym nie zabraniała, to sprawa sumienia – rozważa Wyborczyni. – Jak kobieta nie zrobi tego tutaj, pojedzie za granicę. Kiedyś były babki i skrobały się dziewczyny. I tak samo teraz…

– A co z rozszerzeniem prawa do posiadania broni?

– A to nie wiem. Do broni posiadania? Nie jestem za tym. Powinny być testy i uprawnienia. Broń to nie.

W samochodzie panuje opinia, że starsi na Nawrockiego zagłosują, a młodsi na Mentzena, bo nie chce wysyłać polskich żołnierzy do Ukrainy. Mówią, że w ogóle nie powinniśmy się mieszać w tę wojnę. Może humanitarnie, ale tylko tyle. Młodzi zagłosują też na niego, ponieważ mają dosyć PiS i PO.

– Ale mówi, że zlikwiduje socjale, to nie wiem, czy ludzie tak chętnie pójdą na niego zagłosować – zastanawia się Wyborca.

Socjale na minus, ale na plus dla Mentzena jest to, że chce mniej Unii Europejskiej w Polsce.

– Tuska nie powinno tu być – ogłasza Wyborczyni. – On tu z Niemiec przyjechał, z tej Unii.

Sławomir Mentzen fajnie mówi, w Białymstoku kilka tysięcy ludzi było pod koniec marca na spotkaniu z nim i dobrze byłoby, gdyby wszedł do drugiej tury. Nawrocki jednak dziwny jest. Dziwny i nieznany.

– A Trzaskowski chce podnieść wiek emerytalny – mówi Wyborczyni. – Ja sobie nie wyobrażam w takim sklepie do 65. roku życia pracować. Niech pójdzie tam do pracy i zobaczy!

Wjeżdżamy do wsi Przytuły. Podlasie miesza się tu z Mazowszem, nie ma puszczy, nie ma żubrów, nie ma otwartych okiennic. Są za to szare cegły, opony przy drodze i trzy pewniki. Są też plakaty kandydatów na płotach, ogrodzeniach, przy drogach, na domach, głównie dwóch kandydatów, którzy tu z pewnością zajmą dwa pierwsze miejsca w wyborach prezydenckich. Przeszkodzić temu mogłaby chyba tylko kandydatura papieża albo jakaś podlaska szeptucha.

– Każdy obiecuje, byle się tylko dostać – mówi Wyborca.

– Kto by nie wygrał, wojna polsko-polska będzie trwać – mówi Wyborczyni.

W Przytułach się żegnamy. Noga z gazu. Wyborczynie i Wyborcy wracają anonimowo do swoich domów.

Anna Wyrwik

eprasa.pl 456f2a29e8

Z Galicji

Jan Widacki

Husarze, szmalcownicy i zdrowy rdzeń narodu z przetrąconym kręgosłupem

Na ważny i godny upowszechnienia tekst prof. Jana Grabowskiego („Co naprawdę wydarzyło się w Markowej", „Przegląd" 12/2025) zareagował jeden z Czytelników. Najpierw przedstawił swoją dość oryginalną teorię muzealnictwa, twierdząc, że muzea mają prezentować w ekspozycjach nie prawdziwe dzieje, tylko te ich fragmenty, które przekazują godne naśladowania wzorce. Jak rozumiem, podobną rolę mają odgrywać podręczniki do historii. To nic nowego. Lukrowanie historii i jej mitologizowanie jest od dawna ulubionym zajęciem niektórych historyków, a dla historyków pisowskich to nawet dogmat. W czasach rządów PiS ci, którzy szczególnie zasłużyli się w lukrowaniu, byli odznaczani najwyższymi orderami. Byli też ulubionymi przewodnikami niedouczonych polityków w „polityce historycznej". Natomiast ci, którzy chcieli na własną historię spojrzeć krytycznie, to oczywiście byli zdrajcy, a w najlepszym razie kosmopolici i lewacy. Do tej kategorii zaliczani są więc Szujski (i cała krakowska szkoła historyczna), Norwid, a ze współczesnych oczywiście Gombrowicz i Miłosz. Tylko jak polukrowana historia ma być nauczycielką życia? Jak mamy być w przyszłości mądrzejsi, lepsi, jeśli nie wskażemy, co w dotychczasowej historii było błędem, co złem?

Oburzony na tekst prof. Grabowskiego Czytelnik ewidentnie myli rolę pomnika z rolą muzeum. Pomniki stawiamy tym, których czyny chcemy wyróżnić, utrwalić w narodowej pamięci. Rola muzeum (i podręcznika do historii) jest inna. Ma przekazywać pełną, nieocenzurowaną wiedzę o przeszłości.

Czytelnik krytykujący prof. Grabowskiego nie zarzuca mu tego, że napisał nieprawdę, tylko ma pretensję, że napisał całą prawdę. Nie przeczy, że na rodzinę Ulmów doniósł sąsiad Polak, nie przeczy, że Polacy częściej wydawali Żydów Niemcom, niż ich ukrywali, ani nawet temu, że ich czasem mordowali. Ale wywodzi, że tych szmalcowników i morderców nie upoważniała do ich czynów żadna polska władza, że były to ekscesy kryminalne jednostek, wprawdzie dość licznych i narodowości polskiej, ale przecież nie obciąża to państwa polskiego ani polskiego narodu. To prawda, polskie państwo podziemne nikogo do mordowania czy choćby wydawania Żydów Niemcom nie nawoływało, co więcej – postępki takie potępiało. Ale też zdarzały się przypadki, że Żydów mordowali nie pojedynczy mordercy, nie watahy cywilnych zwyrodnialców, lecz oddziały podziemnego wojska. Czytelnik przyznaje, że „normalnie przed takimi zachowaniami mniej lub bardziej zdemoralizowanych grup broni tzw. zdrowy rdzeń narodu, ale ten w tym czasie miał przetrącony kręgosłup". Chcąc nie chcąc, Czytelnik potwierdza, że takie „zdemoralizowane bardziej lub mniej grupy", czyli szmalcownicy i zwykli mordercy Żydów, istniały, a w działaniu nie powstrzymał ich „zdrowy rdzeń narodu", bo „miał przetrącony kręgosłup". W moim przekonaniu, jak ktoś ma „przetrącony kręgosłup", to chyba nie jest już całkiem zdrowy, ale mniejsza o to.

Lukrowanie historii i jej mitologizowanie jest od dawna ulubionym zajęciem niektórych historyków.

Na koniec Czytelnik oświadcza, że urodził się już po wojnie, a jego rodzice też „ani nie zabijali Żydów, ani nie mogli ich bronić", bo ojciec najpierw walczył w kampanii wrześniowej, a resztę wojny spędził w stalagu, matka została zaś wywieziona na roboty do Niemiec. Wyciąga z tego wniosek, że przeciętny Polak nie ponosi winy ani odpowiedzialności za to, co się stało z Żydami. Nikt jednak, łącznie z prof. Grabowskim, nie zarzuca nikomu, że każdy Polak jest odpowiedzialny za zachowania tych rodaków, którzy byli szmalcownikami czy zwykłymi mordercami Żydów.

Mam nadzieję, że Czytelnik jest dumny ze zwycięstwa pod Grunwaldem, ze wspaniałych dokonań polskiej husarii pod Kircholmem czy pod Wiedniem, z obrony Westerplatte i zdobycia Monte Cassino. A przecież ani on, ani jego ojciec nie byli pod Grunwaldem (chyba że się mylę) ani nawet pod Monte Cassino. Mimo to ma prawo być dumny, bo to chwalebna część naszej historii. Na tej samej zasadzie powinien się wstydzić za rodaków szmalcowników czy zwykłych morderców Żydów. To taka sama część naszej wspólnej historii, naszego chcianego czy niechcianego dziedzictwa.

Nazwijmy zło złem i róbmy wszystko, by więcej się nie powtórzyło. Inaczej mówiąc, uczmy się z historii. Z całej, nielukrowanej, nieocenzurowanej historii. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 456f2a29e8

Igrzyska chaosu

Jak rząd PiS przepuścił prawie 2 mld zł na bezsensowną imprezę sportową

Ceremonia otwarcia III Igrzysk Europejskich na Stadionie Miejskim w Krakowie im. Henryka Reymana, 21 czerwca 2023 r.

Andrzej Sikorski

Igrzyska europejskie to egzotyczne i nic nieznaczące zawody sportowe wymyślone przez znudzonych brakiem zajęć działaczy Stowarzyszenia Europejskich Komitetów Olimpijskich. Pierwsza edycja odbyła się w 2015 r. w Baku w Azerbejdżanie, a druga w 2019 r. w Mińsku na Białorusi. To raczej nie przypadek, że żadne demokratyczne państwo nie było zainteresowane taką imprezą, a igrzyska zorganizowano w krajach, gdzie rządzą autokraci i dyktatorzy, którzy wykorzystali sport do promocji*.

W 2023 r. pałeczkę przejął Kraków, a III Igrzyska Europejskie miały być wydarzeniem historycznym i zarazem dowodem na to, że Polska pod rządami PiS wstała z kolan. Jarosław Kaczyński podobnie jak prezydenci Ilham Alijew i Aleksander Łukaszenka musiał się pochwalić sukcesem. Zbliżały się wybory parlamentarne, a impreza o dumnej nazwie była znakomitą okazją do promocji partii rządzącej i jej polityków.

Propaganda sukcesu

PiS do współorganizacji igrzysk namówiło przychylnych sobie samorządowców z Małopolski, obiecując im górę pieniędzy nie tylko na inwestycje w obiekty sportowe, ale też na budowę i modernizację infrastruktury drogowej oraz zakup nowoczesnych autobusów miejskich i tramwajów. Utworzono spółkę Igrzyska Europejskie 2023, która miała się zająć przygotowaniem imprezy, a której udziałowcami zostały: Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego i Urząd Miasta Krakowa. Natomiast na pełnomocnika rządu ds. koordynacji igrzysk premier Mateusz Morawiecki wyznaczył Jacka Sasina, choć miał on już na swoim koncie „sukces" w postaci organizacji wyborów kopertowych i zmarnotrawienia ponad 76 mln zł.

„Traktujemy igrzyska jako przedsięwzięcie ogólnonarodowe, które będzie się ogniskować w Krakowie i Małopolsce. To wielka szansa na promocję Krakowa i regionu. Dzięki tej imprezie możemy pokazać Polskę jako miejsce, które nie odbiega poziomem rozwoju od pozostałej części Europy, miejsce, które warto odwiedzić i zostawić tu swoje pieniądze", mówił ówczesny wicepremier i minister aktywów państwowych.

Prezesem spółki Igrzyska Europejskie 2023 został Marcin Nowak, były lekkoatleta i olimpijczyk oraz były dyrektor jednego z departamentów w Ministerstwie Sportu i Turystyki.

Pytany przez „Dziennik Zachodni", czy nie ma obaw, że nie podoła tak trudnemu zadaniu jak organizacja igrzysk, Nowak odpowiedział: „Najważniejszym argumentem dla

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 456f2a29e8

mnie było to, że jest to impreza, której w Polsce jeszcze nie było, której nawet w Unii Europejskiej jeszcze nie było. Pojawiła się wielka szansa, żeby pokazać Polskę jako świetnego organizatora imprez multidyscyplinarnych. Wiadomo, że jesteśmy chwaleni praktycznie za każdym razem, gdy zorganizujemy jakąkolwiek międzynarodową imprezę. (…) Mam jednak wewnętrzne przekonanie, wyniesione z całego życia, zarówno sportowego, jak i pozasportowego, głównie z pracy w Ministerstwie Sportu i Turystyki oraz w Polskim Komitecie Olimpijskim, które pozwala mi stwierdzić, że posiadam niezbędne umiejętności, wiedzę i doświadczenie, by impreza okazała się sukcesem".

Mając takiego fachowca, Jarosław Kaczyński mógł spać spokojnie. 21 czerwca 2023 r. odbyła się huczna ceremonia otwarcia igrzysk. Przemawiali prezydent Andrzej Duda i Jacek Sasin. Publiczność wygwizdała dygnitarzy. Potem poirytowany Sasin napisał na Twitterze: „Grupka politycznych hejterów próbowała zakłócić otwarcie Igrzysk Europejskich. Wielki organizacyjny sukces Polski wywołał frustrację tych, którzy źle życzą naszej Ojczyźnie. Wstyd!".

O sukcesie organizacyjnym mówił już po zakończeniu igrzysk minister sportu. „Myślę, że dziś już nikt nie ma wątpliwości, że Polskę stać, by organizować największe imprezy sportowe. (…) Co Polsce daje ta impreza? Umacnia naszą pozycję w świecie sportu jako znakomitego organizatora (…), co otwiera nam drogę, by na kanwie tych doświadczeń starać się o organizację jak największych imprez. Potwierdziło to, że w przyszłości, i to niedalekiej, igrzyska olimpijskie mogą się w Polsce odbyć", rozmarzył się Kamil Bortniczuk.

Na wariackich papierach

Gdy opadł propagandowy kurz, imprezą zainteresowała się Najwyższa Izba Kontroli. Okazało się, że igrzyska (trwały 12 dni, a udział w nich wzięło prawie 6,5 tys. sportowców z 48 krajów) pochłonęły zawrotną kwotę co najmniej 1,7 mld zł, z czego ponad 1 mld przeznaczono z budżetu państwa, a prawie 600 mln przekazały samorządy. Tymczasem organizatorzy zapewniali, że koszty nie przekroczą 466 mln zł.

Zdaniem NIK politycy PiS, zabiegając o przeprowadzenie w Polsce igrzysk, nie mieli bladego pojęcia o planowanej imprezie. Nie wiedzieli więc, w ilu dyscyplinach zawodnicy będą rywalizować ani jakie obiekty sportowe będą do tego potrzebne. Nie znali nawet potencjalnych kosztów. Wiadomo było jedynie, że za prawo organizacji igrzysk trzeba będzie

DOKĄD ZMIERZA ŚWIAT?

Interdyscyplinarna konferencja naukowa
Akademia Leona Koźmińskiego, Warszawa, ul. Jagiellońska 59, aula II, 15 kwietnia 2025 r.

godz. 14.00: otwarcie konferencji
godz. 14.05: rozmowa z prof. Grzegorzem W. Kołodko, autorem nowej książki opublikowanej przez Wydawnictwo Naukowe PWN
- **Dr Małgorzata Bonikowska**, prezes Centrum Stosunków Międzynarodowych i ośrodka THINKTANK

godz. 15.00: Perspektywa pokoleń
Moderator:
- **Dr Grzegorz Malinowski**, ALK

Paneliści:
- **Prof. Jerzy Wiatr**, były minister edukacji narodowej, poseł na Sejm I, II i III kadencji, Honorowy Rektor Europejskiej Wyższej Szkoły Prawa i Administracji, przewodniczący Rady Redakcyjnej „Studiów Socjologiczno-Politycznych"
- **Red. Bogusław Chrabota,** publicysta i pisarz, były redaktor naczelny dziennika „Rzeczpospolita", redaktor naczelny wydawnictwa Gremi Media
- **Mgr Sergiej Druczin**, asystent w Centrum Badawczym Transformacji, Integracji i Globalizacji TIGER, ALK

godz. 16.00: przerwa na kawę
godz. 16.20: debata ambasadorów
Moderator:
- **Prof. Grzegorz W. Kołodko**

Paneliści:
- **Dr hab. Przemysław Grudziński**, były wiceminister obrony narodowej, podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i stały przedstawiciel RP w Wiedniu (OBWE i ONZ), były ambasador RP w Stanach Zjednoczonych i Finlandii
- **Dr Witold Spirydowicz**, były I sekretarz w ambasadach RP w Bonn i Wiedniu, konsul generalny w Montrealu, ambasador RP w Maroku oraz Algierii, Czadzie i Nigrze
- **Krzysztof Szumski**, były ambasador RP w Chinach, Indonezji, Tajlandii i na Filipinach

godz. 17.20: refleksje końcowe
- **Prof. Grzegorz W. Kołodko**

eprasa.pl 456f2a29e8

zapłacić Stowarzyszeniu Europejskich Komitetów Olimpijskich 34 mln euro. I zapłacono, ale po niekorzystnym kursie wymiany euro, znacznie odbiegającym od kursu średniego, wyliczanego i publikowanego w danym dniu przez NBP, a nawet powyżej kursu oferowanego przez inne banki osobom prywatnym. Taka ignorancja doprowadziła do niepotrzebnej straty co najmniej 2,5 mln zł, a zdaniem NIK doszło do wyrządzenia skarbowi państwa szkody majątkowej wielkich rozmiarów, za co prezes Nowak będzie teraz się tłumaczył przed prokuratorem.

Choć prawo organizacji igrzysk Polska otrzymała w czerwcu 2019 r., przez wiele miesięcy nic się nie działo. We wrześniu 2020 r. został powołany pełnomocnik rządu ds. koordynacji igrzysk. Co z tego, skoro Jacek Sasin dopiero po dziewięciu miesiącach stworzył zespół zadaniowy mający go wspomóc w organizacji imprezy. Jednak sam nie brał udziału w posiedzeniach zespołu i nie przekazywał rządowi informacji na temat jego działalności. Premier Morawiecki i ministrowie nie wiedzieli zatem o zagrożeniach wynikających z opóźnień w pracach nad ustawą o wsparciu przygotowania igrzysk, przedłużającego się procesu uzgadniania programu sportowego i umowy ze Stowarzyszeniem Europejskich Komitetów Olimpijskich. Sasin nie informował również o problemach z wprowadzeniem do programu igrzysk dodatkowych dyscyplin, których koszty nie były w pełni ujęte w limicie wydatków z budżetu państwa.

Wbrew zaklęciom polityków PiS III Igrzyska Europejskie w Krakowie okazały się organizacyjną klapą. Niewyobrażalną skalę dyletanctwa obrazują cztery kluczowe decyzje podjęte stanowczo zbyt późno:

- ramy prawne przedsięwzięcia przyjęto 19 miesięcy przed rozpoczęciem igrzysk,
- zasady finansowania ustalono 15 miesięcy przed inauguracją zawodów,
- spółka pełniąca funkcję komitetu organizacyjnego została utworzona przez władze województwa małopolskiego w listopadzie 2021 r., ale współgospodarz zawodów – miasto Kraków – przystąpił do niej dopiero rok później, siedem miesięcy przed rozpoczęciem igrzysk,
- pierwsze środki z budżetu państwa spółka Igrzyska Europejskie 2023 dostała w listopadzie 2022 r., czyli siedem miesięcy przed imprezą, a na wydanie tej transzy miała niecałe dwa miesiące.

Puste trybuny

Program igrzysk (w tym liczba dyscyplin i miejsca, w których sportowcy mieli rywalizować) został ustalony… dwa dni przed ich rozpoczęciem. Początkowo impreza zaplanowana była w Małopolsce (głównie w Krakowie), ostatecznie zawody odbyły się w 14 miastach na terenie czterech województw: małopolskiego, śląskiego, dolnośląskiego oraz podkarpackiego. Nie mogło być inaczej, skoro z powodu braku czasu i licznych zaniechań, a także z powodu zmian wprowadzonych w programie sportowym, nie udało się zrealizować części zaplanowanych inwestycji, takich jak modernizacje obiektów sportowych. Trzeba więc było w pośpiechu szukać nowych lokalizacji, co wiązało się z dodatkowymi kosztami. Część remontów wykonano w niepełnym zakresie, a z niektórych w ogóle zrezygnowano.

Na Rynku Głównym w Krakowie zorganizowano zawody w padlu (połączenie tenisa i squasha) i teqballu (miks piłki nożnej oraz ping-ponga), a zdziwieni turyści, którzy przyszli podziwiać zabytkową architekturę i nie mieli bladego pojęcia o igrzyskach, pytali, dlaczego ktoś robi fikołki nad krzywym stołem do ping-ponga. Skoki narciarskie na igelicie w Zakopanym odbyły się przy pustych trybunach. Podobnie jak turniej bokserski w Nowym Targu, zawody lekkoatletyczne na Stadionie Śląskim w Chorzowie, zawody w badmintonie oraz plażowe rozgrywki piłki nożnej, piłki ręcznej i piłki siatkowej w Tarnowie. Ale nie ma co się dziwić, że frekwencja była mizerna, skoro działania promocyjne rozpoczęto dopiero kilka miesięcy przed igrzyskami. Może to i dobrze, że zawody odbywały się bez publiczności, bo strach pomyśleć, co by się stało, gdyby kawałek blachy z dachu stadionu w tarnowskich Mościcach spadł na ludzi, a nie na puste trybuny.

Trybuny świeciły pustkami, z przygotowanych 170 tys. biletów sprzedano ledwo 60 tys. Resztę biletów rozdano sponsorom, organizatorom, partnerom oraz Stowarzyszeniu Europejskich Komitetów Olimpijskich, ale już nie uczniom i studentom, choć można było w ten sposób zwiększyć frekwencję. Koszty wytworzenia biletów, w tym systemu sprzedaży online i jego obsługi, wyniosły 3,1 mln zł, a przychody z ich sprzedaży zaledwie 2,4 mln zł. Czyli na samych biletach zanotowano stratę w wysokości 700 tys. zł.

III Igrzyska Europejskie w Krakowie odbyły się prawie dwa lata temu, ale spółka powołana do ich organizacji działa nadal, generując koszty. Tylko pensja prezesa Marcina Nowaka wynosi ok. 30 tys. zł. Okazuje się, że spółki nie można zlikwidować, bo jeszcze się nie rozliczyła z przyznanych dotacji i wykonanych zadań.

Andrzej Sikorski

* IV Igrzyska Europejskie odbędą się w 2027 r. w Stambule, którego burmistrz Ekrem İmamoğlu został niedawno wtrącony do aresztu pod zarzutami rzekomej korupcji (więcej na s. 36). Zdaniem opozycji zatrzymanie głównego przeciwnika politycznego wszechwładnego prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana to tylko pretekst do pozbycia się niewygodnego konkurenta.

eprasa.pl 456f2a29e8

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Epidemia autorytaryzmu to skutek uboczny neoliberalizmu

Jestem świeżo po lekturze książek Anne Applebaum („Koncern autokracja", „Zmierzch demokracji"). Zgadzam się z większością jej obserwacji i wniosków. Szczególnie cenne wydają mi się uwagi związane z kształtującą się na naszych oczach „międzynarodówką autokratów". Także gdy pisze o zmierzchu demokracji, Applebaum ma rację. Trafnie sugeruje możliwą przyszłość. A nie jest ona różowa, grozi nam dominacja rządów autorytarnych na całym świecie (ideowy sojusz Ameryki, Rosji i Chin jest u naszych bram, a wraz z nim presja na porzucenie demokracji liberalnej w Europie i tam, gdzie jej resztki jeszcze pozostały). Widzę jednak w poglądach Applebaum jedną co najmniej słabość. Nie sięga ona do „korzeni rzeczy", by przywołać słynną frazę Marksa. Być może dlatego, że wymagałoby to autokrytyki i przyznania się do błędu.

Teza, którą stawiam, jest następująca: winę za wzrost nastrojów autorytarnych na Zachodzie, ale też w innych zakątkach świata, ponosi neoliberalizm, którego tubą było pismo „The Economist", zatrudniające przez lata Applebaum. To bowiem neoliberalizm wdrażany w USA oraz gdzie indziej od czasów Ronalda Reagana i Margaret Thatcher przyniósł niezwykły wzrost nierówności społecznych, na który reakcją jest antyelityzm dzisiejszych ruchów autorytarnych. Skutkiem ubocznym jego dominacji było zupełne pozostawienie własnemu losowi całych klas społecznych, które w wyniku błędnej polityki ekonomicznej zostały skazane na upadek. Nigdzie nie widać tego lepiej niż w Ameryce. Całkowite podporządkowanie życia społecznego logice turbokapitalizmu, zapoczątkowane przez rządy Reagana, idola środowisk konserwatywno-liberalnych, z którymi zawsze związana była Applebaum, spowodowało, że realizowano interesy wielkiego biznesu bez oglądania się na ewentualne szkody. Czym innym było bowiem odejście od ochrony własnego przemysłu w imię zysków z tańszej pracy w krajach azjatyckich z Chinami na czele? Promowanie globalizacji bez oglądania się na jej lokalne skutki? Utrzymywanie na niskim poziomie płac w imię niebotycznych zysków korporacji? Ochrona interesów możnych, nawet wtedy, gdy szkodliwość społeczna ich działań była ewidentna dla wszystkich, czego najlepszym przykładem jest system zdrowotny w Stanach Zjednoczonych, najbardziej kosztowny i najbardziej niesprawiedliwy ze wszystkich, które wymyślono na świecie?

Efekty działania ideologii neoliberalnej wytworzyły w klasie ludzi pracy najemnej uzasadnione przekonanie, że nikt nie dba o ich interesy. Przekonanie to wiązało się także z faktem zdrady interesów tej klasy przez lewicę. I znowu Ameryka jest tutaj najlepszym przykładem. To przecież lewicowiec Clinton zaczął demontaż państwa opiekuńczego w Stanach, a Barack Obama, jeden z szeregu nieudanych prezydentów amerykańskich, wziął do swojego rządu tych, którzy odpowiadali za kryzys z 2008 r. Ładnie mówił i nic nie robił. To on miał ostatnią szansę, aby odwrócić szkodliwy trend. Okazał się słaby i nieudolny, a do tego blisko związany z establishmentem ekonomicznym USA. Demokraci ponoszą zatem równą odpowiedzialność za upadek Ameryki jak republikanie. Solidarność klasowa ludzi bogatych okazywała się w ich przypadku silniejsza niż polityczny rozsądek. Porzucona klasa ludzi pracy najemnej, zrozpaczona swoją sytuacją, oczekiwała jak zbawienia zainteresowania swym losem. Gdy okazali je Trump i Vance, poszła za nimi jak w dym, choć jest to w sposób oczywisty sprzeczne z jej interesami ekonomicznymi (nie bez znaczenia były tu kapitalistyczne pranie mózgu, jakie Amerykanie przechodzą od dzieciństwa, oraz ich programowa ignorancja intelektualna).

Wracam do Anne Applebaum. Jest ona reprezentantką środowiska, które trafnie rozpoznaje dzisiejsze zagrożenia i słusznie na nie uczula, nie dostrzega jednak swojej winy w ich zaistnieniu. Jej stanowisko jest typowe dla liberałów wolnorynkowych, którzy byli ślepi na skutki uboczne turbokapitalizmu, a dzisiaj podnoszą alarm wobec narodzin autorytaryzmu. A przecież to, że źle się dzieje w Ameryce, wiadomo było od dawna. Pisali o tym ekonomiści, socjolodzy, politolodzy i filozofowie. Kręcili filmy filmowcy, pisali książki pisarze. Nie można zatem teraz powiedzieć: nie wiedzieliśmy. Była to raczej odmowa wiedzy. A że trwa ona do dziś, przekonuje mnie zapis z krakowskiego spotkania polskich liberałów wspominających czasy transformacji, zamieszczony w „Rzeczpospolitej". Próżno szukać w wypowiedziach krztyny autokrytycznej refleksji. Jest jedynie samozadowolenie. Prof. Janusz Majcherek deklaruje np., że z dumą przyjmuje określenie siebie jako neoliberała. Drogi Januszu, zlituj się, proszę. Nie wymagam całkowitego rozstania się z poglądami, które kształtują od dziesięcioleci czyjąś tożsamość, ale wymagam choć odrobiny krytycznego dystansu wobec siebie. Nie oznacza to od razu przejścia na pozycje znienawidzonej przez Ciebie lewicy, chodzi o przyjęcie do wiadomości ciemnej strony ukochanej „religii rynku". Trzeba być naprawdę ideologicznie zaślepionym, aby jej nie widzieć. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 456f2a29e8

PAŃSTWO O NICH ZAPOMNIAŁO

Tysiące polskich żołnierzy poległo w walkach o Wał Pomorski ale IPN to nie interesuje

Bohdan Piętka

Chociaż walki o Wał Pomorski należą do najchlubniejszych kart naszej historii, przez całe lata, szczególnie za rządów PiS, pomijano je bądź obniżano ich rangę. Nierzadko też w ohydny sposób wyrażano się o uczestnikach tych walk, żołnierzach 1. Armii Wojska Polskiego, oskarżając ich o niepolski rodowód. Pisowskiemu szaleństwu, gwałtowi na historii i pamięci, likwidowaniu pomników, udało się w znaczny sposób przeciwstawić dzięki mieszkańcom Pomorza Zachodniego. Dzięki ich postawie, obywatelskiemu sprzeciwowi wobec ipeenowskiego fałszowania tamtych wydarzeń.

•

Zanim 1. Armia Wojska Polskiego wzięła udział w zwycięskiej bitwie o Kołobrzeg (7-18 marca 1945 r.), stoczyła ciężkie boje o przełamanie Wału Pomorskiego (Pommernstellung). Tak nazwano system umocnień, który w latach 1932-1937 powstał na ówczesnej wschodniej granicy III Rzeszy i w latach 1944-1945 został zmodernizowany na głównej pozycji obronnej. Fortyfikacje te ciągnęły się na długości 275 km i obejmowały linię D-1 na odcinku od Słupska, przez Szczecinek i Wałcz, do Santoka oraz linię D-2 od Kołobrzegu, przez Połczyn-Zdrój, do Gorzowa Wielkopolskiego. Wchodziło w ich skład ok. 900 bunkrów żelbetowych, a także różnego rodzaju stanowisk ogniowych. Ich uzupełnienie stanowiły liczne transzeje strzeleckie, rowy łączące, schrony drewniano-ziemne oraz zapory inżynieryjne.

Pod koniec stycznia 1945 r. jednostki pancerne Armii Czerwonej uchwyciły drugi brzeg Odry pod Kostrzynem i Frankfurtem. Oznaczało to, że front wschodni był już tylko 90 km od Berlina. Jednakże w rękach niemieckich znajdowały się jeszcze Dolny Śląsk i Pomorze, co groziło oskrzydleniem nacierających na Berlin wojsk radzieckich. Ofensywę na stolicę III Rzeszy trzeba było chwilowo zatrzymać i oczyścić obie flanki z wojsk niemieckich. Do walk na Pomorzu skierowano 1. Armię WP.

Na podstawie dyrektywy operacyjnej dowódcy 1. Frontu Białoruskiego marsz. Gieorgija Żukowa z 28 stycznia 1945 r. 1. Armia WP przeszła następnego dnia do pierwszego rzutu z rejonu Bydgoszczy w kierunku na Jastrowie, Iłowiec, Suchań i Widuchową z zadaniem prowadzenia natarcia i osłony północnego skrzydła frontu. W nocy z 29 na 30 stycznia 11. Pułk Piechoty z 4. Dywizji Piechoty zaatakował i zdobył Złotów. Tak rozpoczęła się bitwa o przełamanie Wału Pomorskiego. Przeciwnikami żołnierzy polskich były różnego rodzaju jednostki niemieckie (w tym Waffen SS) wchodzące w skład Grupy Armii „Wisła" pod formalnym dowództwem SS-Reichsführera Heinricha Himmlera.

Kolejnym etapem były walki o Podgaje, gdzie 1. Dywizja Piechoty starła się z łotewską 15. Dywizją Grenadierów Waffen SS „Lettland". Podgaje zostały opanowane 3 lutego w godzinach popołudniowych. Po zdobyciu wsi żołnierze polscy odkryli zbrodnię wojenną popełnioną (prawdopodobnie przez łotewskich esesmanów) na ich 32 kolegach z 4. kompanii 3. Pułku Piechoty 1. DP, wziętych do niewoli i spalonych żywcem w stodole.

Przesmyk śmierci

Dalsze walki toczyły się o przełamanie głównej pozycji Wału, która biegła za jeziorami Dobre, Zdbiczno, Smolno i Łubianka na północny zachód od Wałcza. Odcinka tego broniły po stronie niemieckiej Dywizja Piechoty Märkisch-Friedland (Mirosławiec), pułk zmotoryzowany, dwa bataliony niszczycieli czołgów i formacje Volkssturmu, mając do dyspozycji m.in. 140 dział różnego typu i 35 bunkrów żelbetowych. Ważnymi etapami operacji przełamania Wału były też walki o Jastrowie, Nadarzyce, Dobrzycę, Mirosławiec i bitwa pod Jaksicami (8 lutego 1945 r.). W walkach tych brały udział dywizje piechoty: 1., 2., 3., 4. i 6., 1. Brygada Pancerna, 4. Pułk Czołgów Ciężkich, 11. Pułk Artylerii Haubic, 13. Pułk Artylerii Pancernej, 1. Brygada Artylerii Armat, 2. Brygada Artylerii Haubic, 4. Brygada

Walki o Wał Pomorski należą do najbardziej chlubnych kart historii, ale szczególnie za rządów PiS pomijano je bądź obniżano ich rangę.

eprasa.pl 456f2a29e8

Walki o Wał Pomorski.

Zmagania na Przesmyku Śmierci tak wspominał por. Eugeniusz Skrzypek z 4. DP: „I to były najcięższe i najtrudniejsze boje, w jakich brałem udział. Bunkry Wału Pomorskiego były dla nas niemiłą niespodzianką. Do tego panowała ostra zima. Dostaliśmy rozkaz nacierania na nie bez wsparcia artyleryjskiego i bez zaopatrzenia, ba, nawet bez strojów maskujących! W ciemnozielonych płaszczach na ośnieżonych, odsłoniętych polach byliśmy dla niemieckich cekaemistów i moździerzystów celami jak na strzelnicy! Polscy żołnierze ginęli tu setkami, ale nie z okrzykiem »Za Stalina!« czy »Za Związek Radziecki!« – jak twierdzą dziś niektórzy, zawsze »Za Polskę!«, »Za wolną Polskę!«”[1].

Artylerii Przeciwpancernej, 5. Brygada Artylerii Ciężkiej, 1. Pułk Moździerzy oraz samodzielne bataliony saperów: 8., 10. i 11.

Walki toczyły się w trudnych warunkach zimowych, a potem w czasie wiosennych roztopów. Niemieccy oficerowie porównywali Pommernstellung D-1 do Linii Gustawa we Włoszech i mieli w tym sporo racji. Także dlatego, że zarówno Linię Gustawa, jak i Wał Pomorski przełamali Polacy. Symbolem zaciekłości toczonych walk stał się bój o mniej więcej 200-metrowy przesmyk między jeziorami Smolno i Zdbiczno. Żołnierze 4. Dywizji Piechoty nazwali go „przesmykiem stu diabłów”. Później nazwano to miejsce Przesmykiem Śmierci. Znajdowały się tam dwa niemieckie bunkry otoczone polami minowymi i zasiekami z drutu kolczastego. Podejmowane przez trzy dni – od 5 do 8 lutego 1945 r. – próby ich zdobycia kosztowały życie ok. 300 żołnierzy. Dopiero sprowadzenie haubicy kalibru 152 mm pozwoliło zniszczyć jeden z bunkrów. Drugi bunkier zdobyli polscy piechurzy.

Zasadnicze walki o przełamanie Wału Pomorskiego toczyły się od 29 stycznia do 12 lutego 1945 r., jednak po sforsowaniu jego głównej rubieży 1. Armia WP prowadziła dalej ciężkie walki zaczepne w rejonie Łowicza Wałeckiego, Borujska, Żabina i Będlina. W ich rezultacie poniosła nowe, dotkliwe straty. Od nawiązania 30 stycznia 1945 r. pod Złotowem styczności bojowej

PAMIĘĆ OBARCZONA POLITYKĄ

MICHAŁ SYSKA,
zastępca szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych

Pamięć o żołnierzach 1. Armii WP przez dekady była obarczona bieżącą polityką. Przed 1989 r. ich dokonania stanowiły podstawę państwowej polityki historycznej, potem nastąpił proces odwrotny – częstokroć umniejszano ich zasługi. Tymczasem naszym wspólnym obowiązkiem jest pamięć o polskich żołnierzach, którzy walczyli na wszystkich frontach II wojny światowej. I taką politykę realizuje aktualnie Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. W upamiętnianiu żołnierzy 1. Armii WP mają duże zasługi władze samorządowe Pomorza Zachodniego. W ostatnich latach, w odpowiedzi na niezrozumiałe posunięcia IPN, włodarze kilku gmin powołali nawet do życia Stowarzyszenie Wał Pomorski 1945. Dostrzegam więc, że osiągamy stan normalności, w którym nie dzielimy żołnierskiej krwi na lepszą i gorszą. Dzieje się to w wymiarze krajowym i regionalnym. W tym kontekście pomysł zmiany patrona szkoły w Białej koło Trzcianki (więcej na s. 27) wydaje się zaskakujący. Nie sądzę, by wynikał on z przesłanek politycznych, to raczej efekt braku wiedzy i pewnej wrażliwości. Zresztą reakcja lokalnej społeczności, która skutecznie sprzeciwiła się temu zamysłowi, wskazuje, że pamięć o bohaterstwie polskich żołnierzy na Wale Pomorskim stanowi trwały element regionalnej tożsamości.

eprasa.pl 456f2a29e8

Zaślubiny z morzem. Kołobrzeg, 19 marca 1945 r.

z nieprzyjacielem do końca lutego 1. Armia WP straciła 14 082 żołnierzy, w tym 3430 poległych, 8472 rannych i 2180 zaginionych[2].

Przełamanie Wału Pomorskiego było wielkim sukcesem operacyjnym 1. Armii WP, który zadecydował o przebiegu całej operacji pomorskiej. Sukces ten umożliwił opanowanie całego Pomorza Zachodniego. Polskich żołnierzy nie zabrakło też w walkach na Pomorzu Wschodnim, w tym o Gdańsk i Gdynię 27-28 marca 1945 r. Walczyła tam m.in. 1. Brygada Pancerna, której żołnierze dokonali 6 kwietnia w wyzwolonej Gdyni ceremonii zaślubin Polski z Bałtykiem – kolejnej po Dziwnówku, Mrzeżynie i Kołobrzegu.

Żołnierze 1. Armii wkraczali wtedy na stary piastowski szlak, który osiem wieków wcześniej wytyczyli rycerze Bolesława Krzywoustego. Dzisiaj takie stwierdzenie jest wyśmiewane jako teza PRL-owskiej propagandy. Po 1989 r. mówienie o ziemiach piastowskich lub Ziemiach Odzyskanych traktowane jest z ironią. Tę drugą nazwę albo szyderczo bierze się w cudzysłów, albo dodaje do niej „tzw.", chociaż wymyślona została nie przez komunistów, lecz przez sanację w odniesieniu do anektowanego w 1938 r. Zaolzia. Po raz pierwszy nazwa stosowana w PRL na określenie przyłączonych do Polski w 1945 r. Ziem Zachodnich została użyta w dekrecie prezydenta Ignacego Mościckiego z 11 października 1938 r. o zjednoczeniu Odzyskanych Ziem Śląska Cieszyńskiego z Rzecząpospolitą Polską (Dz.U. RP z 1938 r. nr 78, poz. 533). Współczesne lekceważenie tej nazwy jako określenia terenów przyłączonych w 1945 r. świadczy o tym, że siły polityczne dominujące po 1989 r. odrzucają polską myśl zachodnią. Czyli de facto negują polskość ziem uzyskanych w wyniku konferencji poczdamskiej.

Idea powrotu Polski na dawne ziemie piastowskie nad Odrą i Bałtykiem, czyli polska myśl zachodnia, nie była wytworem PRL-owskiej propagandy. Została zapoczątkowana przed I wojną światową w kręgach Narodowej Demokracji. Następnie była przez to środowisko rozwijana w okresie międzywojennym, głównie na Uniwersytecie Poznańskim, i podczas II wojny światowej w Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu na Kraj oraz w utworzonym w grudniu 1944 r. konspiracyjnym Instytucie Zachodnim. Główny postulat myśli zachodniej – czyli granica na Odrze i Nysie Łużyckiej – został przejęty i zrealizowany przez polską lewicę komunistyczną.

Słup graniczny

Kształt przyszłej granicy zachodniej nie był do końca jasny i jeszcze podczas konferencji poczdamskiej w lipcu 1945 r. premier Wielkiej Brytanii domagał się wytyczenia jej na Nysie Kłodzkiej i bez Szczecina. Wytyczenie tej granicy zgodnie z postulatami polskiej myśli zachodniej było zasługą także walczących na froncie wschodnim żołnierzy polskich. Ich ofiara, poniesiona zwłaszcza podczas operacji pomorskiej, miała ogromne znaczenie polityczne. 27 lutego 1945 r., pięć miesięcy przed ostatecznym ustaleniem w Poczdamie zachodniej granicy Polski, żołnierze 6. Samodzielnego Batalionu Pontonowo-Mostowego 1. Armii WP wbili pierwszy słup graniczny nad brzegiem Odry. Miało

eprasa.pl 456f2a29e8

to miejsce w Czelinie (niem. Zellin, obecnie powiat gryfiński). Po dotarciu do Odry żołnierze różnych jednostek 1. Armii wbijali takie słupy jeszcze kilkakrotnie. W ten sposób tworzyli fakty dokonane, które nie pozostały bez wpływu na decyzje poczdamskie. To wszystko kłóci się z dzisiejszą narracją polityki historycznej o „pachołkach Moskwy". Kłóci się, ponieważ historia nie jest prosta i czarno-biała, tylko skomplikowana i wielobarwna.

W bitwie o przełamanie Wału Pomorskiego wzięło udział wielu byłych żołnierzy Armii Krajowej z Wołynia, którzy bronili ludności polskiej przed UPA w szeregach samoobron kresowych i 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Byli wśród nich m.in. por. Ludwik Malinowski „Lew", w 1943 r. komendant cywilny samoobrony Przebraża, oraz Jan Niewiński, dowódca samoobrony polskiej w Rybczy koło Krzemieńca, zmobilizowany do 4. Dywizji Piechoty. Fakt ten jest świadomie ignorowany przez dominującą po 1989 r. politykę historyczną, której animatorzy w swojej krucjacie przeciw Wojsku Polskiemu walczącemu na froncie wschodnim posunęli się do określeń: „polskojęzyczne oddziały Armii Czerwonej" i „janczarzy Berlinga".

Walki na Wale Pomorskim ani inne działania zbrojne Wojska Polskiego na froncie wschodnim nie cieszą się po 1989 r. dużym zainteresowaniem historyków wpisujących się w nurt antykomunistycznej polityki historycznej. Jedyna monografia zmagań o przełamanie Wału Pomorskiego, autorstwa gen. Rudolfa Dzipanowa („1. Armia Wojska Polskiego w bitwie o Wał Pomorski"), ukazała się w 1965 r. i nie była wznawiana. Poza tym można o tych zmaganiach przeczytać jedynie w szerszych opracowaniach monograficznych dotyczących Wojska Polskiego na froncie wschodnim, np. w publikacji historyków wojskowości Henryka Stańczyka i Stefana Zwolińskiego z 2015 r. „Wojsko Berlinga i Żymierskiego 1943-1945".

Są to jednak autorzy spoza dominującego obecnie nurtu polityki historycznej. Historyków ipeenowskich Wał Pomorski po prostu nie interesuje. Styczniowo-lutowy „Biuletyn IPN" z 2025 r. został poświęcony konferencji jałtańskiej, w 2024 r. był poświęcony akcji „Burza", w 2023 r. dwóm totalitaryzmom: Niemiec i ZSRR, w 2022 r. powojennemu podziemiu antykomunistycznemu, w 2021 r. powojennym wysiedleniom z Kresów Wschodnich, w 2020 r. sojuszowi polsko-ukraińskiemu z 1920 r. itd. O Wale Pomorskim cisza. Dlaczego tak jest, wyjaśnia nam publikacja z 2014 r. politologa Tadeusza A. Kisielewskiego „Janczarzy Berlinga. 1. Armia Wojska Polskiego 1943-1945", będąca przykładem narracji typowej dla antykomunistycznej publicystyki historycznej. Autor, deprecjonujący już w samym tytule Wojsko Polskie walczące na froncie wschodnim, poświęcił zmaganiom o Wał Pomorski dwie strony, a całemu szlakowi bojowemu 1. Armii 60 stron. Reszta przeszło 300-stronicowej publikacji stanowi rozprawę z twórcami i dowództwem „armii Berlinga". Kisielewski łączy ich z negacją zbrodni katyńskiej, obarcza piętnem zdrady i służby interesom geopolitycznym ZSRR. Nie jest zdolny do wyciągnięcia wniosku, że w realiach geopolitycznych 1945 r. mogła powstać tylko taka Polska, jaka wtedy powstała. Polityczne znaczenie Wojska Polskiego walczącego na froncie wschodnim sprowadzało się również do tego, że jednak powstało wtedy państwo polskie. Niesuwerenne, ale mimo wszystko polskie, nie 17. republika

W nocy z 29 na 30 stycznia 1945 r. 11. Pułk Piechoty z 4. Dywizji Piechoty zaatakował i zdobył Złotów. Tak rozpoczęła się bitwa o przełamanie Wału Pomorskiego.

Dwa tomy, które pozwalają lepiej zrozumieć czas wojny i Polski Ludowej

Prawda i realizm bez tajemnic i upiększeń

Sięgnij po fascynującą analizę prof. Andrzeja Werblana

PAKIET ~~157 zł~~ 140 zł Tom I 78 zł Tom II 79 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 456f2a29e8

ZSRR. Tę różnicę antykomunistyczni autorzy konsekwentnie ignorują.

Pamięć o walkach na Wale Pomorskim jest kultywowana przez lokalne społeczności Pomorza Zachodniego. Jednak i ta pamięć stała się ofiarą tzw. dekomunizacji. W 2018 r. IPN zażądał zburzenia pomnika w Mirosławcu i innych postawionych w 1979 r. upamiętnień walk toczonych na Pomorzu Zachodnim w lutym 1945 r. Upamiętnienia te przeważnie zawierały motyw dwóch grunwaldzkich mieczy i godła z orłem kościuszkowców. Swoje żądanie IPN uzasadnił następująco: „Miecze mają formę nadaną przez prosowiecką Gwardię Ludową (…). Tym samym symbol ten był wytworem sił prosowieckich, które w sposób siłowy i w oparciu o Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich przejęły władzę w Polsce, tworząc tzw. władzę ludową. (…) Wśród odznaczonych Krzyżem Grunwaldu były osoby tworzące Polskę Ludową, m.in. Bolesław Bierut, Władysław Gomułka, Konstanty Rokossowski i Wanda Wasilewska. Dlatego w opinii IPN omawiane pomniki w sposób oczywisty kojarzą się z okresem Polski Ludowej”[3].

Piszący to połączył walkę o powrót Pomorza Zachodniego do Polski z siłami prosowieckimi, Bierutem, Gomułką, Rokossowskim oraz Wasilewską (kolejny przykład spłycania historii, bo Gomułka nie pasuje do Bieruta i Wasilewskiej) i tym uzasadnił konieczność likwidacji upamiętnień. Trudno o bardziej siermiężny stosunek do historii własnego kraju. Być może pracownik IPN nie wiedział o tym, że krzyże grunwaldzkie symbolizowały w Polsce Ludowej nie siły prosowieckie, ale właśnie polską myśl zachodnią, z której powojenna Polska uczyniła jeden z fundamentów swojej racji stanu. A może wiedział i zrobił to świadomie, bo polska idea zachodnia uprawiana przez komunistów kłóci się z narracją o „okupacji sowieckiej”. Jak się nie da wyszydzić, to lepiej wymazać.

Przełamanie Wału Pomorskiego było wielkim sukcesem operacyjnym 1. Armii WP, który zadecydował o przebiegu całej operacji pomorskiej.

Zburzone pomniki

Z inicjatywy lokalnych władz i społeczników powstała petycja do wojewody zachodniopomorskiego w obronie pomnika w Mirosławcu i innych upamiętnień. Warto zacytować jej fragment: „My, niżej podpisani, sprzeciwiamy się usuwaniu pomników i głazów, upamiętniających przełamanie Wału Pomorskiego. Świadczą one o przeszłości Pomorza, włączonego w granice państwa polskiego w roku 1945. W szeregu bitew o przełamanie Wału Pomorskiego, pasa umocnień stanowiącego jedną z ostatnich linii obrony armii nazistowskiej w trakcie II wojny światowej, brały udział polskie jednostki z 1. Armii Wojska Polskiego. (…) Przypominamy, że walki o przełamanie Wału Pomorskiego są wymienione na jednej z tablic na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Stanowią one niezbywalny element polskiego dziedzictwa kulturowego. Przez szacunek dla poległych, dla weteranów oraz ich rodzin, a także przez wzgląd na zachowanie pamięci kulturowej i tożsamości regionu, zwracamy się z gorącym apelem o nieusuwanie tych upamiętnień. (…) Zburzenie pomników oraz usunięcie głazów wraz z tablicami jest niedopuszczalnym niszczeniem krajobrazu kulturowego Pomorza. Usuwa pamięć o żołnierzach, którzy polegli w walkach o Wał Pomorski, tym samym rugując te wydarzenia z powszechnej świadomości. Zubaża bogaty, wielokulturowy palimpsest, jakim jest krajobraz kulturowy Pomorza, i sprawia, że zamiast dyskusji nad trudnym dziedzictwem regionu otrzymujemy wygumkowany obraz, zgodnie z którym trudno wytłumaczyć skomplikowaną historię tych terenów”[4].

Zaprotestowali też historycy z Uniwersytetu Szczecińskiego, którzy napisali: „Rejon przełamania Wału Pomorskiego przez 1. Armię Wojska Polskiego, mimo że obecnie mocno zaniedbany, należy do najważniejszych miejsc pamięci w Polsce północno-zachodniej. Oddanej tu przez polskich żołnierzy daniny krwi z punktu widzenia polskiej racji stanu – obecności na Pomorzu Zachodnim – nie wolno nam ani deprecjonować, ani zapominać. Żołnierze ci nie mieli możliwości wyboru armii, w której chcieli walczyć, a ta idąca od Wschodu była dla wielu z nich jedyną możliwością wydostania się z »nieludzkiej ziemi«. Byli takimi samymi żołnierzami alianckimi jak ich koledzy brytyjscy czy amerykańscy”[5].

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI POLSKI LUDOWEJ

Wydział Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Stowarzyszenie „Wielkopolskie Pokolenia” zapraszają na konferencję:

Obrazy z przeszłości Polski Ludowej: wzloty – upadki – nasze bilanse.

W czasie konferencji zostaną przedstawione liczne referaty, m.in.:

- **prof. Stanisław Sierpowski:** Kontekst europejski i uwarunkowania zewnętrzne funkcjonowania Polski/Wielkopolski po II wojnie światowej
- **prof. Tadeusz Janicki:** Ewolucja społeczno-gospodarcza Wielkopolski po II wojnie światowej
- **dr Anna Górna-Kubacka:** Czy to była rewolucja oświatowa?
- **prof. Włodzimierz Kaczocha:** Społeczeństwo zamknięte – społeczeństwo otwarte w PRL
- **prof. Artur Kijas:** Półwiecze zmagań z historią. Schyłek XX – początek XXI w. oczyma historyka

Konferencja odbędzie się 14 kwietnia w godz. 10.30-14.30 w Sali Dziekańskiej (1.63) Wydziału Historii UAM, ul. Uniwersytetu Poznańskiego 7.

eprasa.pl 456f2a29e8

Pomnik upamiętniający bitwę o Nadarzyce 5-6 lutego 1945 r., która była częścią walk o przełamanie Wału Pomorskiego.

Autorzy listu zwrócili uwagę, że wśród odznaczonych Krzyżem Grunwaldu znaleźli się nie tylko Bierut i Wasilewska, ale pośmiertnie także prezydent Warszawy Stefan Starzyński i gen. Władysław Sikorski. Można powiedzieć, że mamy tutaj dwa, jakże odmienne, spojrzenia na historię i rzeczywistość. Po jednej stronie – oficjalnej instytucji kierującej się zideologizowaną polityką historyczną, a po drugiej – społeczeństwa świadomego swoich korzeni i historii. Ostatecznie pomnik w Mirosławcu i inne upamiętnienia walk na Wale Pomorskim udało się uratować.

Decydentom politycznym w Polsce, ani w Unii Europejskiej, jakoś nie przeszkadza publiczne oddawanie czci przeciwnikom żołnierzy polskich walczących o Wał Pomorski, czyli łotewskim esesmanom z 15. Dywizji Grenadierów Waffen SS „Lettland" (odpowiedzialnym prawdopodobnie za zbrodnię na jeńcach polskich w Podgajach). Nie przeszkadza, ponieważ ich heroizacja ma charakter antyrosyjski. Co roku 16 marca odbywa się w Rydze marsz ku czci łotewskich formacji Waffen SS jako rzekomo uczestniczących w walce o niepodległość Łotwy. Jeżeli deprecjonujemy żołnierzy polskich walczących na froncie wschodnim, to w ich miejsce ktoś wstawia kult esesmanów. Takie są skutki współczesnych politycznych zabaw z historią, uprawianych nie tylko w Polsce.

Bohdan Piętka

[1] Cyt. za: Piotr Korczyński, *Piętnaście sekund. Żołnierze polscy na froncie wschodnim*, Warszawa 2023, s. 156.

[2] Marek A. Koprowski, *Krwawy dar Stalina. Powrót Pomorza Zachodniego do Polski*, Poznań 2024, s. 292.

[3] *Wojna o grunwaldzkie miecze. Według IPN propagują komunizm*, www.wiadomosci.wp.pl, 14.09.2018; *IPN nie chce tych mieczy, bo „symbol ten był zasadniczo wytworem sił prosowieckich"*, www.szczecin.wyborcza.pl, 30.10.2018 [dostęp: 17.03.2025].

[4] *Obrońmy Miecze Grunwaldzkie*, www.waszemedia.pl, 17.09.2018 [dostęp: 17.03.2025].

[5] *Stanowisko szczecińskiego środowiska historyków w sprawie usunięcia pomników przedstawiających miecze grunwaldzkie,* www.extrawalcz.pl, 24.09.2018 [dostęp: 17.03.2025].

W obronie patrona szkoły

Paweł Dybicz

Opór społeczny ma sens. Dowodzi tego sprawa zmiany patrona Szkoły Podstawowej w Białej. Jej dyrektorka Monika Marciniak, startująca w ostatnich wyborach samorządowych do Rady Powiatu Czarnkowsko-Trzcianeckiego z listy Koalicji Obywatelskiej, zainicjowała procedurę zmiany imienia szkoły. Patronem placówki jest ppor. Alfred Sofka. Sybirak, kościuszkowiec, żołnierz 3. pułku 1. Armii WP, uczestnik walk o wyzwolenie Warszawy, zamordowany 1 lutego 1945 r. w Podgajach, w dniu swoich 24. urodzin, przez żołdaków z Waffen SS. Dowódca kompanii, której 32 żołnierzy dzień później zostało żywcem spalonych przez hitlerowców w Podgajach.

Dyrektorka Marciniak wraz z radą pedagogiczną (całą?) w 80. rocznicę walk o Wał Pomorski zaproponowała, by szkoła nosiła imię Polskiej Kultury Ludowej. Bardziej pojemnego i nieokreślonego patrona już nie można było wymyślić. Kiedy sprawa wyszła na jaw, wzburzyła liczne środowiska kombatantów, na czele z zarządem krajowym ich związku, wiceprezesem Krzysztofem Rinasem oraz wiceszefem Urzędu ds. Kombatantów Michałem Syską. Ich działania zyskały wsparcie w mediach społecznościowych, ale przede wszystkim wśród mieszkańców Białej i okolic. Co więcej, poznański oddział IPN musiał uznać w opinii, że patron szkoły nie tylko nie podlega ustawie o zakazie propagowania komunizmu, ale nawet zasługuje na upamiętnienie. Opór spowodował, że 28 marca odbyło się w szkole głosowanie w sprawie jej imienia. Udział wzięli nauczyciele, uczniowie i rodzice uczniów. Na ppor. Alfreda Sofkę oddano 109 (60,22%) głosów ważnych, nowego patrona poparły 72 osoby.

Przykład szkoły w Białej dowodzi, że pamięć społeczna jest silniejsza od wizji historii narzucanej przez propagandzistów spod znaku IPN. A historia lokalna mocno się zakorzeniła wśród pokoleń wyrosłych na Ziemiach Odzyskanych. Ludzie wiedzą, kim są prawdziwi bohaterowie i komu zawdzięczają polskość ich ziem. ■

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, NAC, MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

eprasa.pl 456f2a29e8

Projekt 2025 zmienia Amerykę

W czarny tunel historii pchają kraj coraz głębiej nie chaotyczne ruchy Trumpa, ale skoordynowane działania prawicowych ideologów

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Gdy Uniwersytet Columbia zgiął kark przed Trumpem, prosząc o odblokowanie 400 mln dol. niewypłaconych uczelni grantów i dofinansowań, Ameryka, a przynajmniej jej część, zamarła ze zgrozy. W zamian za pieniądze uczelnia zgodziła się spełnić wszystkie żądania Trumpa – ograniczyć studentom prawo do protestów, zdywersyfikować ideologicznie kadrę naukową i zrewidować ofertę dydaktyczną w zakresie studiów bliskowschodnich, południowoazjatyckich i afrykanistycznych.

400 mln dol. piechotą nie chodzi, ale każdy wie, że instytucja o renomie Columbii spokojnie mogłaby się obejść bez tych pieniędzy. Przywilejem i wyróżnikiem szkół tworzących sławetną Ligę Bluszczową jest przecież to, że mają nader hojnych darczyńców i budżety zasilane rocznie nie wielomilionowymi, ale wielomiliardowymi *endowments*, czyli darowiznami.

Bije wręcz po oczach, że decyzja Columbii musiała być podyktowana czymś zupełnie innym niż bieda. Czym? Żeby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba się przyjrzeć kilku sprawom. Nie tylko „sporowi" Columbii z Trumpem o zamrożone dotacje, ale i szerszemu, trwającemu od dekad konfliktowi na linii amerykańskie uniwersytety-prawica. A na końcu umiejscowić to wszystko w kontekście opisywanego już na tych łamach wielokrotnie Projektu 2025. I na nim się zatrzymać, bo jest kluczem do zrozumienia obecnej sytuacji w Ameryce. W czarny tunel historii wpychają kraj coraz głębiej nie chaotyczne ruchy Trumpa, lecz doskonale skoordynowane działania prawicowych ideologów stojących za Projektem 2025.

Kneblowanie uniwersytetu

Czym naraziła się konserwatystom Columbia? Z grubsza rzecz ujmując, protestami studenckimi związanymi z wybuchem wojny w Gazie. Były to wystąpienia propalestyńskie i antyizraelskie, choć warto pamiętać, że solidarność z Palestyńczykami nie była ich motywem przewodnim. Studenci domagali się przede wszystkim tego, by uczelnia wycofała swoje inwestycje z firm zbrojących Izrael. A mieli ku temu powody. Ameryka od początku przecież stanęła na stanowisku, że udziela Izraelowi bezwarunkowego wsparcia, Columbia zaś, jak zresztą wiele innych prywatnych uczelni w kraju, była udziałowcem w firmach zbrojeniowych, inwestując w dodatku czesne. Studenci rozumieli to w ten sposób, że ich własne pieniądze zabijają w Gazie ludność cywilną.

Na celowniku polityków prawicy Columbia znalazła się jednak dopiero w momencie, gdy w przestrzeni publicznej pojawiły się skargi środowisk żydowskich, że studenci żydowscy nie czują się w obliczu tych protestów komfortowo, a nawet boją się o swoje bezpieczeństwo. Czy na uczelni rzeczywiście dochodziło do nękania i prześladowania Żydów – to pozostaje do wyjaśnienia. Columbia uznała jednak, że powinna się ustosunkować do stawianych jej zarzutów o rzekome lekceważenie dobrostanu niektórych swoich podopiecznych i po fali szczególnie intensywnych protestów wiosną 2024 r. wysłała przeciwko demonstrantom policję. Niewykluczone, że zrobiła to za radą Białego Domu. Kampania prezydencka 2024 wchodziła przecież w decydującą fazę i demokraci coraz głośniej zastanawiali się, czy sprawa palestyńska nie zaszkodzi im w taki sam sposób jak protesty przeciwko wojnie w Wietnamie w roku 1968 (na ich fali demokrata Hubert Humphrey przegrał wówczas z republikaninem Richardem Nixonem). Tym bardziej że Trump już i tak ich miażdżył, przekonując wyborców, że nie poradzili sobie z uszczelnieniem południowej granicy, więc nie dadzą rady utrzymać bezpieczeństwa i porządku na amerykańskich ulicach. Republikański kandydat na prezydenta ochoczo przedstawiał protesty młodzieży jako przedsmak anarchii, która narastałaby w kraju pod rządami lewicy.

Powrót Salem

Druga ważna cegiełka w budowaniu kontekstu relacji między uniwersytetami a prawicą to widowiskowe „polowanie na akademickie czarownice" z grudnia 2023 r. Mowa o przesłuchaniach rektorek MIT, Harvardu i Uniwersytetu Pensylwanii, urządzonych w Kongresie przez republikańskich polityków w związku z falą protestów, która przetoczyła się przez kampusy zaraz po wybuchu wojny w Gazie. Oskarżeń było co niemiara: od antysemityzmu, przez promowanie praktyk plagiatowych, po systemową dyskryminację naukowców i wykładowców o poglądach konserwatywnych. Po przesłuchaniach dwie rektorki zrezygnowały ze stanowisk. Sally Kornbluth z MIT ocalała tylko dlatego, że sama jest Żydówką i dostała ogromne wsparcie swojej społeczności (zainteresowanych odsyłam do archiwum „Przeglądu" – sprawę opisywałam w styczniu 2024 r.). Nie miało znaczenia to,

eprasa.pl 456f2a29e8

Wiec w Waszyngtonie przeciw działaniom związanym z realizacją Projektu 2025. Styczeń 2024 r.

że zarzuty postawione akademiczkom zostały potem zweryfikowane i w większości obalone. W oczach statystycznego zjadacza chleba Akademia została słusznie ukarana i zdyskredytowana, a ulubiona teza konserwatystów, że „uniwersytety są zakładnikami komunizmu i wrogiem wartości, z jakich wyrosła Ameryka" (za słowami ojca współczesnego amerykańskiego konserwatyzmu, Williama Buckelya, z jego kultowego dzieła „Bóg i człowiek w Yale", 1951), publicznie udowodniona.

Największym sukcesem prawicy w związku z tymi przesłuchaniami było jednak coś innego. Udało się jej wysłać Akademii jasny sygnał: jeśli myślicie, że nadal będziecie prowadzili swój *business as usual* – jesteście w wielkim błędzie.

Columbia kapituluje

Wróćmy do dnia, w którym Columbia dowiaduje się, że nie ma co liczyć na wypłatę 400 mln federalnych dolarów. 7 marca br., moment szczególny i nieprzypadkowy. Po pierwsze, właśnie minęło sześć tygodni, od kiedy Trump ponownie rozgościł się w Białym Domu, i wszyscy zdążyli wyzbyć się złudzeń, że jego obietnice wyborcze oraz zapowiedzi agresywnego rewanżyzmu były tylko kampanijną retoryką. Po drugie, 8 marca, policja imigracyjna aresztowała Mahmouda Khalila, byłego studenta Columbii i lidera protestów z 2024 r. Khalil, mimo że jest legalnym rezydentem, ma zieloną kartę, usłyszał zarzuty, że kłamał we wnioskach imigracyjnych i dlatego zostanie wydalony. Gdy powstawał ten tekst, Khalil czekał na deportację.

W kolejnych dniach podobny los spotkał kilkoro innych studentów i choć zaskarżyli rząd do sądu za odbieranie im konstytucyjnego prawa do protestu oraz wolności słowa, dowiedzieli się, że sprawa nie będzie taka oczywista. Ich bowiem oskarża się nie o protestowanie, lecz o szpiegostwo. Z tym zarzutem walczyć będzie dużo trudniej. Obsadzony obecnie lojalistami i wieloletnimi adwokatami Trumpa Departament Sprawiedliwości notorycznie blokuje dostęp do informacji, zasłaniając się tajemnicą państwową.

Columbia skapitulowała 21 marca, dzień po tym, jak Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze likwidujące Departament Edukacji. Jako instytucja edukacyjna wyzbyła się w tym momencie ostatnich złudzeń co do tego, czy w ogóle uda się jej przetrwać, jeśli nie przyjmie wobec obecnej władzy postawy kornego współpracownika.

Rządy jak z podręcznika

Fala grozy rozlała się jednak tego dnia nie tylko po Akademii. Likwidacja Departamentu Edukacji była sztandarowym celem Projektu 2025 stworzonego w latach 2021-2022 przez chrześcijańskich nacjonalistów skupionych wokół ideowej kuźni prawicy, The Heritage Foundation. Jeśli więc do tej pory ostali się jacyś niepoprawni optymiści trzymający się wiary, że Trump nie kłamał podczas kampanii, twierdząc, iż nic o żadnym Projekcie 2025 nie wie i zupełnie go on nie interesuje, teraz twardo zderzyli się z rzeczywistością. Dostali namacalny dowód na to, że wcielanie w życie zawartych w dokumencie

eprasa.pl 456f2a29e8

wytycznych w sprawie przejmowania przez prawicę całościowej władzy nad państwem i społeczeństwem idzie pełną parą.

Jak dokładnie to przebiega? Z informacji podawanych przez osoby śledzące zgodność Projektu 2025 (P2025) z linią polityczną Trumpa, np. dziennikarkę Adrienne Cobb, prowadzącą w mediach społecznościowych konto r/Keep_Track, wynika, że już w pierwszym miesiącu prezydentury Trumpowi udało się zrealizować jedną trzecią z 300 wytycznych P2025 („About a Third of Project 2025 Has Already Been Implemented", Heatmap News, 17 lutego 2025 r.). Z kolei magazyn „Forbes" napisał w artykule pod wymownym tytułem „Jak rozporządzenia wykonawcze Trumpa pokrywają się z Projektem 2025, podczas gdy jego autor przyznaje, że prezydencki rozmach przeszedł jego najśmielsze oczekiwania": „Wielu wysokich rangą urzędników i kandydatów w drugiej administracji Trumpa osobiście brało udział w tworzeniu Projektu 2025, w tym komisarz Federalnej Komisji Łączności (FCC) Brendan Carr, starszy doradca ds. handlu i przemysłu Peter Navarro, szef Komisji Papierów Wartościowych i Giełd Paul Atkins oraz „car granicy" Trumpa Tom Homan. (…) Trump mianował również Aarona Szabo, współautora rozdziału dotyczącego Agencji Ochrony Środowiska (EPA), na stanowisko zastępcy administratora Biura ds. Powietrza i Promieniowania. Najbardziej znaczące jest jednak to, że Russell Vought, uważany za kluczowego architekta P2025, został dyrektorem najważniejszej kancelarii przy Białym Domu – Biura Zarządzania i Budżetu (OMB)".

Nie mamy miejsca, by przyjrzeć się wszystkim wytycznym, do których Trump już się ustosunkował, wymienię więc tylko te najbardziej kontrowersyjne i przerażające, a jednocześnie niemal literalnie odzwierciedlające dyrektywy zawarte w P2025. Podaję je za Edem Cummingsem, autorem artykułu „Projekt 2025. Radykalny plan zapowiadający najważniejsze ruchy Trumpa" opublikowanego w dzienniku „The Telegraph" 22 marca 2025 r.

1. Likwidacja USAID i wycofywanie się ze wspierania innych światowych organizacji pomocy humanitarnej, takich jak Czerwony Krzyż oraz agencji w ramach ONZ. Wytyczna z P2025: „Nowa konserwatywna administracja będzie miała okazję zrewidować amerykańskie zaangażowanie w pomoc międzynarodową (…), zakończy używanie tej pomocy do szerzenia radykalnej ideologii administracji Bidena, która dzieli nas w kraju i psuje nam reputację na świecie".

2. Zmasowana redukcja, kadrowa i finansowa, sektora federalnej budżetówki prowadzona przez DOGE (Departament ds. Efektywności Rządowej zawiadywany przez miliardera Elona Muska) w imię walki z rzekomą korupcją. Wytyczna z P2025: „Redukcja agencji, budżetów do najniższych poziomów w historii (…); wzmożone wysiłki, by w sektorze zatrudniać wyłącznie politycznych lojalistów".

3. Radykalna zmiana kursu w polityce klimatycznej: eliminacja regulacji dotyczących emisji gazów cieplarnianych i limitu zużycia energii przez sprzęty domowego użytku, zakończenie programu dotacji do aut elektrycznych i inwestycji w produkcję zielonej energii. Wytyczna z P2025: „Nowa administracja musi natychmiast wycofać się z kursu polityki Bidena, przywrócić plan dominacji energetycznej z czasów pierwszej prezydentury Trumpa. (…) Zakończyć wojnę z paliwami kopalnymi i innymi dostępnymi minerałami, rozpocząć ich eksploatację na ziemiach kontrolowanych przez Indian i plemiona indiańskie" (użycie słów „Indian" i „indiańskie" za oryginałem – przyp. autorki).

4. Agresywna wojna rządu z programami DEI (różnorodność, równość, inkluzywność), krytyczną teorią rasy (KTR), prawami społeczności LGBTQ+ (tu m.in. dekret o istnieniu wyłącznie dwóch płci) i wszelkimi innymi przejawami różnorodności, takimi jak wywieszanie flag Black Lives Matter lub tęczowych na budynkach publicznych. Wytyczna P2025: „Wyeliminować marksistowską indoktrynację, KTR, zlikwidować wszystkie programy DEI i zwolnić cały personel, który je obsługuje".

Powrót segregacji?

Rosną w siłę głosy, które wieszczą, że na polu kulturowym Trump ma ambicję wprowadzić nawet większe zmiany niż te postulowane przez P2025. Być może chodzi o próbę przekreślenia całego postępu, jaki się dokonał pod względem relacji rasowych w Ameryce w ostatnich 60 latach. Jak donosi Russell Contreras, dziennikarz Agencji Informacyjnej Axios, „już w dniu inauguracji Trump podpisał rozporządzenie odwołujące dekret prezydenta Lyndona B. Johnsona z 1965 r. nakazujący stwarzanie równych szans na rynku pracy i kontraktów federalnych osobom o innym niż biały kolorze skóry oraz kobietom. Niedługo po tym pojawiła się notka uzupełniająca, że rząd nie będzie kategorycznie zabraniał swoim kontraktorom prowadzenia firm praktykujących segregację rasową („Trump's 2025 seeks to reverse LBJ's 1965", Axios, 22 marca 2025 r.).

Na celowniku polityków prawicy Columbia znalazła się po skargach środowisk żydowskich na to, że studenci żydowscy boją się o swoje bezpieczeństwo.

Mimo szokujących zbieżności między kursem politycznym Trumpa a treścią „podręcznika faszystowsko-chrześcijańskiego reżymu", jak nazywany jest przez wielu na lewicy Projekt 2025, eksperci pozostają podzieleni w kwestii tego, czy Trump ma zamiar zrealizować wszystkie cele ideologów z The Heritage Foundation. Na razie nie poczynił bowiem kroków w kierunku likwidacji Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i Rezerwy Federalnej ani wprowadzenia federalnego zakazu aborcji i pornografii, w tym zamykania firm technologicznych umożliwiających jej propagowanie, co autorzy P2025 postulują. Nie wyrywa się też z modyfikacją programu

eprasa.pl 456f2a29e8

Obamacare w aspekcie zwolnienia ubezpieczalni medycznych z obowiązkowej refundacji środków antykoncepcyjnych oraz wycofania ze sprzedaży pigułki „dzień po" – ruchów, które w P2025 uważa się za konieczne w ramach „strzeżenia przez rząd tradycyjnej, zakorzenionej w Biblii definicji celów małżeństwa i rodziny".

Wilk ma apetyt na więcej

Ale powodów do radości i tak nie ma. Trump nie tylko cofa Amerykę o 60 lat pod względem praw obywatelskich, ale także realizuje o wiele bardziej agresywną, niż zakłada P2025, politykę imigracyjną, ekonomiczną i międzynarodową.

Ta pierwsza już postawiła jego administrację na drodze kolizji z prawem, pchając kraj w kierunku kryzysu konstytucyjnego, zwłaszcza jeśli Trump zdecydowałby się zignorować orzeczenie Sądu Najwyższego. Orzeczenia niższych instancji już ignoruje. Zdaniem kongresowej koalicji 23 demokratów pod przewodnictwem Kevina Mullina do 5 marca Trump nie zastosował się do 11 nakazów sądowych. Najpoważniejszą jak do tej pory potyczką na linii Biały Dom-sądownictwo, mogącą zainicjować kryzys konstytucyjny, była deportacja setek wenezuelskich imigrantów do więzień w Salwadorze bez weryfikacji, czy rzeczywiście byli członkami groźnych gangów. 19 marca br. sędzia z Dystryktu Wirginii wydał nakaz wstrzymania lotów deportacyjnych, ale Biały Dom z rozmysłem nie zastosował się do niego.

Polityka ekonomiczna, którą symbolizują nowe wojny celne, w wielu przypadkach nieuzasadnione i wymierzone w dotychczasowych przyjaciół, pcha z kolei Amerykę w przeciwnym kierunku niż obiecywany przez Trumpa w kampanii. Zamiast Ameryki wielkiej Amerykanie widzą kraj, w którym rosną ceny, budzi się inflacja, a rynek – niepewny jutra – zaczyna zwalniać pracowników i ograniczać inwestycje. Towarzyszące tym zjawiskom spadki na giełdzie i obniżenie zaufania konsumentów sprawiły, że w poniedziałek 24 marca ekonomiści z Moody's Analytics, JPMorgan Chase i Goldman Sachs oszacowali ryzyko wystąpienia recesji w najbliższych sześciu miesiącach na 20-40%. W narodzie tak podzielonym jak Ameryka po wyborach z 2024 r. nie można wykluczyć, że gospodarcze tąpnięcie wyprowadzi zdesperowanych, zawiedzionych, ale przede wszystkim rozwścieczonych ludzi na ulice, wiodąc kraj nawet ku wojnie domowej.

Kursu amerykańskiej polityki międzynarodowej, w której główne miejsce zajmuje zasadnicza zmiana podejścia administracji do wojny w Ukrainie, żadnemu Europejczykowi wyjaśniać nie trzeba. Być może – i oby! – wrogie nastawienie Trumpa do Europy i Ukrainy opłaci się nam w takim sensie, że budząc się ze snu o zawsze gotowej do pomocy Ameryce, zbudujemy sobie bezpieczeństwo własnymi rękami. Sęk w tym, że jeśli Trump rzeczywiście zdecyduje się grać do tej samej bramki co Putin – a kto wie, czy do tego nieprawdopodobnego sojuszu nie przyłączą się i Chiny, jeśli np. w zamian za korzystną współpracę gospodarczą będą miały wolną drogę do aneksji Tajwanu – żadne już wysiłki nie zapewnią nam jakiegokolwiek bezpieczeństwa. Kolonialny apetyt Trumpa na Grenlandię, Kanadę oraz Kanał Panamski sprawi za to, że Europa i Ameryka mogą zostać pchnięte w konflikty militarne, i to w wielu punktach świata.

Co więc nas czeka? Zapytałam o to politologa Alexandra Motyla z Uniwersytetu Rutgersa w stanie New Jersey, eksperta od nacjonalizmu i rewolucji, bo czułam się zdesperowana rzeczywistością, którą nakreśliłam w swoich rozważaniach. W pierwszym odruchu zaoferował pocieszenie. – Rewolucje, które w szybkim tempie chcą zmienić wszystko, równie szybko napotykają nieoczekiwane przeszkody: sprawy nie idą zgodnie z planem, założenia się nie sprawdzają, wybuchają wewnętrzne kłótnie. Rewolucja Trumpa zawiedzie najpóźniej w momencie, w którym natknie się na przeszkodę w postaci wyborów *midterms* – odpowiedział, ale po chwili dodał: – Żadna rewolucja nie osiąga swoich celów, prowokuje natomiast kontrrewolucję, która przychodzi po niej, by obalić wiele z tego, o co walczyli rewolucjoniści. To samo wydarzy się w USA, ale tylko pod warunkiem, że następcą Trumpa nie zostanie Vance. Spodziewając się przegranej, Trump może też w ogóle odwołać wybory prezydenckie, co – choć brzmi jak fantazja – niestety jest możliwe.

Oby ta fantazja nigdy się nie ziściła.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 456f2a29e8

Jak w raju

Za sprawą rajów podatkowych Unia Europejska traci rocznie około 825 mld euro, czyli 1,6 tys. euro na każdego jej mieszkańca

Grzegorz Rudnik

Podatków nikt nie lubi płacić. Zwłaszcza nie lubią tego wielkie międzynarodowe koncerny. Prymitywne metody, takie jak fałszerstwa księgowe, niedeklarowanie wszystkich zysków, zaniżanie dochodów lub udział w złożonych tzw. karuzelach VAT-owskich, preferują drobni krętacze, którzy, nim wpadną, mogą zarobić kilka, kilkanaście milionów złotych, euro lub dolarów. Możni tego świata korzystają z usług wielkich kancelarii prawnych, a pieniądze trzymają w rajach podatkowych, czyli krajach lub jurysdykcjach oferujących bardzo niskie bądź zerowe stawki podatku, zarówno od przedsiębiorstw, jak i osób fizycznych. Raje zapewniają też niezbędną poufność, nie ujawniając tożsamości osób fizycznych i rzeczywistych właścicieli zarejestrowanych tam spółek. Umożliwia to gromadzenie łapówek, dochodów i zysków, które są niezgłoszone i nieopodatkowane, co w konsekwencji prowadzi do znacznych strat w dochodach podatkowych innych państw. Szacunki wskazują, że w rajach podatkowych może być ukryte ponad 30 bln dol. To niewyobrażalny majątek.

Formalnie niemal każdy rząd kraju wysokorozwiniętego deklaruje walkę z podobnymi praktykami. Na przykład Komisja Europejska dokłada starań, by wyprowadzanie zysków z państw unijnych było utrudnione. Czy to się udaje? Raczej nie. Dlaczego? Bo sztuka polega na tym, aby transfer pieniędzy z miejsc, w których są one zarabiane, do miejsc, w których nie trzeba płacić podatków i nikt nie zadaje trudnych pytań, odbywał się zgodnie z prawem.

Dlatego w praktyce w europejskim obszarze gospodarczym unikanie opodatkowania zysków odbywa się legalnie, o co dbają tabuny doskonale opłacanych prawników i księgowych. Fiskus niemiecki, francuski czy polski może ćwiczyć dziarskość na drobnych przedsiębiorcach, którzy czegoś nie dopatrzyli lub o czymś zapomnieli. Wielkie międzynarodowe koncerny są poza zasięgiem.

eprasa.pl 456f2a29e8

Double Irish with a Dutch Sandwich

Double Irish with a Dutch Sandwich to nazwa bardzo popularnej techniki unikania płacenia podatków, którą w Unii Europejskiej stosowały takie amerykańskie koncerny jak Amazon, Apple, Facebook (Meta), Google czy Starbucks.

Dziwna nazwa tej techniki wynika z tego, że zyski – zanim trafiły do macierzystej firmy – najpierw przepływały przez irlandzką spółkę, następnie przez spółkę holenderską, a na końcu znowu przez spółkę irlandzką, by ostatecznie trafić do raju podatkowego.

W szczegółach wyglądało to tak: amerykański koncern zakładał spółkę zależną w Irlandii, przenosił swoją siedzibę do raju podatkowego, np. na Kajmany albo Seszele. W tych miejscach zagraniczne korporacje nie były opodatkowane. Irlandzka spółka holdingowa stawała się właścicielem praw własności intelektualnej do produktu lub usługi. Inna spółka założona przez ten sam koncern, ale w Holandii, nabywała licencję na własność intelektualną, produkt lub usługę od spółki irlandzkiej, a następnie sprzedawała je klientom w państwach o wysokich podatkach.

I tu zaczynały się czary. Zyski ze sprzedaży lub opłat licencyjnych wracały do tej samej irlandzkiej spółki, która transferowała je do spółki wydmuszki w raju podatkowym. Technika działała, gdyż prawo podatkowe w Holandii pozwalało na transfer nieopodatkowanych zysków do raju podatkowego bez konieczności zapłaty podatku u źródła. Poza tym firma z siedzibą w Holandii znalazła się w środku tej irlandzkiej „kanapki" dlatego, że irlandzkie prawo nie pozwalało na opodatkowanie takich „spółek skrzynek pocztowych", jeśli nie miały one siedziby na terenie Zielonej Wyspy.

Ważne było zarejestrowanie „spółki skrzynki pocztowej" w irlandzkim rejestrze handlowym, aby zyski z licencji pozostały legalnie w Europie, a jednocześnie, by rezydencja podatkowa została przeniesiona do raju podatkowego, czyli na Kajmany, Bermudy albo Vanuatu.

Sowicie opłacani przez amerykańskie korporacje prawnicy, niezależni eksperci, redakcje najbardziej renomowanych zachodnich tytułów i politycy dowodzili, że wszystko jest w porządku. I było!

Szacuje się, że tylko w 2016 r. koncern Apple „zaoszczędził" dzięki zastosowaniu mechanizmu „kanapki" 8,5 mld dol. A Facebook w 2018 r. uniknął zapłacenia podatków na kwotę 15,8 mld dol. Google dzięki tej metodzie przez dekadę płacił jednocyfrowy podatek od zysków osiąganych poza Stanami Zjednoczonymi!

Podatków nikt nie lubi płacić. Zwłaszcza nie lubią tego wielkie międzynarodowe koncerny.

Rządy wzięły się za korporacje po 2020 r. Miało to związek z pandemią COVID-19, która spowodowała, że w ratowanie gospodarek bogate kraje zachodnie wpompowały – w formie pomocy przedsiębiorstwom – setki miliardów euro, dolarów, funtów i innych walut.

Nie można było przejść do porządku dziennego nad wykorzystywaniem luk w prawie przez cwaniaków, którzy zarabiali setki miliardów na unikaniu płacenia podatków, co elegancko nazywano „optymalizacją podatkową". By utrudnić ten proceder, w 2021 r. kraje grupy G7 i G20 uzgodniły globalny minimalny podatek w wysokości 15%, który powinny płacić wielkie ponadnarodowe korporacje. Zgodnie ze wspólnym oświadczeniem państw grupy G7 oprócz tego należało zadbać o to, aby koncerny, których marża zysku przekracza 10%, w przyszłości płaciły podatki w miejscu, w którym generują sprzedaż. Zyski przekraczające tę marżę miały być opodatkowane w poszczególnych krajach stawką 20%. Jak łatwo się domyślić, to rozwiązanie jeszcze nie przyjęło się powszechnie.

Skandal goni skandal

Raje podatkowe, takie jak Panama, Palau, Vanuatu, Fidżi czy Samoa Amerykańskie, poza pięknymi plażami, palmami i wybornymi koktajlami oferowały – i nadal oferują – absolutną dyskrecję. Dzięki temu przywódcy polityczni o lepkich rękach, afrykańscy dyktatorzy, gwiazdy muzyki, a nawet królowa Elżbieta II, mogli ukrywać swój majątek.

Najgłośniejszy skandal, który rzucił światło na praktyki stosowane w rajach podatkowych, wybuchł w 2016 r. Nazwano go Panama Papers. Z mającej siedzibę w Panamie kancelarii Mossack Fonseca wyciekło ponad 11,5 mln dokumentów, z których wynikało, że liczne grono polityków, biznesmenów i celebrytów z pomocą prawników ukrywało swoje majątki w rajach podatkowych.

Wyszło na jaw, że z usług mecenasów Jürgena Mossacka i Ramóna Fonseki korzystali m.in. premier Islandii Sigmundur Davíð Gunnlaugsson, premier Pakistanu Nawaz Sharif, były premier Wielkiej Brytanii David Cameron, były prezydent Argentyny Mauricio Macri i prezydent Rosji Władimir Putin. Sportowców reprezentował piłkarz Lionel Messi, a świat kultury – hiszpański reżyser Pedro Almodóvar. Premier Islandii musiał podać się do dymisji, a premiera Pakistanu tamtejszy Sąd Najwyższy pozbawił prawa do pełnienia funkcji publicznych. Panowie Mossack i Fonseca dopiero w 2023 r. stanęli przed panamskim sądem oskarżeni o pranie brudnych pieniędzy.

Na kolejny skandal związany z rajami podatkowymi nie trzeba było długo czekać. W 2017 r. wypłynęły tzw. Paradise Papers – 13,4 mln dokumentów związanych z rajami podatkowymi na Bermudach i Kajmanach. Wyciekły z kancelarii prawnej Appleby oraz od dostawców usług korporacyjnych – spółek Estera i Asiaciti Trust.

Tym razem zainteresowanie opinii publicznej było mniejsze niż

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 456f2a29e8

w przypadku afery Panama Papers. Pewnie dlatego, że działania osób, które znalazły się pod ostrzałem mediów, były zgodne z prawem. Nikt przecież nie zabrania zakładania spółek w rajach podatkowych.

Z dokumentów wynikało, że firmy takie jak Allianz (ubezpieczenia), Apple, McDonald's, Nike, Siemens, The Walt Disney Company, Twitter, Uber czy Walmart posiadają spółki w rajach podatkowych, dzięki którym mogą „zaoszczędzić" setki miliardów dolarów.

Okazało się, że interesy w rajach podatkowych prowadzi także wyjątkowo liczne grono polityków afrykańskich. Ale raczej nie bezpośrednio, lecz przez synów, córki, dalszą rodzinę lub przyjaciół. W Angoli w centrum skandalu znalazł się posiadający szwajcarskie obywatelstwo biznesmen Jean-Claude Bastos de Morais, który dzięki bliskiej znajomości z synem byłego wieloletniego prezydenta tego kraju José Eduarda dos Santosa miał sprzeniewierzyć 2 mld dol. z majątku państwowego. Tak – de Morais zakładał spółki w rajach podatkowych. Na ich rachunkach zdeponowano setki milionów dolarów. Lecz wszystko było zgodne z prawem. Jesienią 2018 r. biznesmen został aresztowany, ale w następnym roku wyszedł po zawarciu ugody z władzami Angoli.

W kręgu podejrzeń znaleźli się również Ibrahim Mahama – brat byłego prezydenta Ghany, prezydentka Liberii Ellen Johnson-Sirleaf, minister spraw zagranicznych Ugandy i były przewodniczący Zgromadzenia Ogólnego ONZ Sam Kutesa, algierski polityk i bojownik o wolność Saadi Yacef, a nawet Aliko Dangote – najbogatszy człowiek Afryki, którego majątek szacowano na przeszło 12 mld dol.

Azję reprezentowali: prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew, dzieci byłego prezydenta i dyktatora Indonezji Suharta, były premier Japonii Yukio Hatoyama, kazachski miliarder Mukhtar Qabyluly Ablyazov, który jakoby wyprowadził 6 mld dol. z Banku Turam Alem, którego był prezesem, po czym skrył się we Francji. Spółki w rajach podatkowych mieli poza tym megagwiazda indyjskiego kina, aktor Amitabh Bachchan, i irlandzki muzyk Bono.

Skandal rozszedł się po kościach, bo, po pierwsze, nikt nie ma złudzeń, czym zajmują się możni tego świata, a po drugie – prawa nie łamano. Raczej je omijano. A to już nie budzi wielkich emocji.

Jak ciemiężyć miłośników rajów?

Na oficjalnej liście rajów podatkowych opublikowanej przez Komisję Europejską znajdziemy… Rosję! Ciekawe, którzy zachodni politycy, biznesmeni i popularni aktorzy ukrywają swoje majątki w Moskwie, które zachodnie koncerny trzymają pieniądze w okolicach Kremla. Pewnie w Brukseli wiedzą coś, czego my nie wiemy.

Raje podatkowe mają swój „gwiezdny czas" za sobą. Kiedyś dla bogatych Polaków ofertę niskich podatków miały Cypr, Malta i Luksemburg. Lecz to się zmieniło. I jeśli ktoś chce ukryć swoje wysokie dochody, musi szukać innych lokalizacji. Mało kto dziś wierzy również w tajemnicę bankową, z której słynęli Szwajcarzy, bo Helwetów potrafią docisnąć i Niemcy, i Amerykanie.

Skandale związane z funkcjonowaniem rajów podatkowych nie tylko ujawniły ogrom strat finansowych ponoszonych przez państwa, ale też podważyły fundamenty demokracji i wiarę w sprawiedliwość społeczną. Gdy bogaci unikają opodatkowania, w ludziach rośnie poczucie niesprawiedliwości. Spada zaufanie do rządów i systemów prawnych. Rośnie zaś przekonanie, że elity mogą łatwo wymigać się od odpowiedzialności finansowej, podczas gdy zwykli obywatele zmuszeni są płacić podatki.

Oprócz tego raje podatkowe umożliwiają pranie brudnych pieniędzy i ukrywanie majątków przez osoby zaangażowane w korupcję lub przestępczość zorganizowaną. Osłabia to funkcjonowanie systemu sprawiedliwości.

Politycy w Europie zaczynają rozumieć, że ich kraje tracą rocznie miliardy euro, które mogłyby zostać zainwestowane w zbrojenia, rozwój infrastruktury czy edukację. Stąd pomysły opodatkowania amerykańskich koncernów, takich jak Google, Apple, Meta (Facebook), Microsoft. Nie będzie to łatwe, bo administracja waszyngtońska stanie murem za swoimi. Prezydent Trump udowodnił, że nie boi się trudnych decyzji (nawet gdy są one głupie).

Raje podatkowe nie znikną, lecz w Europie można ograniczyć ich wpływy. Można odważniej promować inicjatywę objęcia podatkiem cyfrowym wszystkich firm działających w obszarze IT. W praktyce będzie to oznaczało objęcie wyższymi podatkami amerykańskich koncernów. Należy likwidować luki w prawie, które ułatwiają niepłacenie podatków, wprowadzić rozwiązania, które np. uniemożliwiłyby transfer zysków pod pozorem wysokich opłat licencyjnych. Albo za doradztwo.

W rajach podatkowych może być ukryte ponad 30 bln dol. To niewyobrażalny majątek.

Może też ktoś przyjrzałby się dużym podmiotom działającym w naszym kraju – kto jest ich właścicielem i gdzie ma zarejestrowaną działalność gospodarczą. Holandia nie jest rajem podatkowym, lecz zaskakująco dużo podmiotów z tego kraju jest głównymi udziałowcami poważnych polskich przedsiębiorstw.

Na przykład zgodnie z KRS właścicielem sieci sklepów Biedronka jest holenderska spółka Warta – Retail & Services Investments B.V. mieszcząca się w niezbyt efektownym biurowcu przy ulicy Naritaweg 165 w Amsterdamie. Ciekawe, dlaczego nie w Lizbonie. Wszak właścicielami Biedronki są Portugalczycy.

Grzegorz Rudnik

eprasa.pl 456f2a29e8

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jajecznica uczyni prezydentem?

Powiedzieć, że kampania wyborcza na urząd prezydenta jest spektaklem żałosnym i urągającym rozumowi – to jakby wciąż za mało powiedzieć. Staram się zasadniczo trzymać z daleka, od dwóch dekad nie mam w domu telewizora, ale i tak dzisiaj człowiek pracujący na komputerze jest z definicji zaplątany w sieć społecznościówek takich czy innych. Dawnego Twittera, dzisiaj X, od zawsze obchodzę z daleka, ale odpryski wiralowych, czyli rozchodzących się najintensywniej, filmików, komentarzy, ekscesików dopadają człowieka i tak. I to bezwzględnie.

Ileż razy wyświetliła mi się sejmowa konfrontacja Romana Giertycha z Jarosławem Kaczyńskim, po tym jak ten drugi nazwał mecenasa Romana największym sadystą odpowiedzialnym bezpośrednio za śmierć Barbary Skrzypek. Górujący niemożebnie nad prezesem PiS poseł koalicji protekcjonalnie odsyłał do ław i zalecał spokój Kaczyńskiemu, który widowiskowo zaprotestował przeciwko zwracaniu się do niego na ty i okrasił tę reprymendę archaicznym, rozczulającym w sumie epitetem „łobuzie". Giertych konsekwentnie wyjaśniał, że pozwala sobie na taką poufałość, gdyż zgodne z ustaleniami genealogów jest wujkiem Kaczyńskiego. „Mów mi wuju, Jarku" już przeszło do historii najbarwniejszych potyczek parlamentarnych III RP. A sama scenka będzie w najbliższym czasie fajerwerkiem oglądalnościowym.

Perory Kaczyńskiego, w tym ta o sadyzmie Giertycha, były doskonałym przykładem i ilustracją, na jak cyniczne, potężne i groźne tory emocji prezes chciałby skierować całą kampanię wyborczą. Krzyki jego sejmowych akolitów i akolitek „morderca!" skierowane do posła Giertycha nie wymagają komentarza. Cały ten rejwach znajdzie zapewne kontynuację w komisji regulaminowej.

Okazji do zachowania milczenia nie wykorzystał Andrzej Duda (w tej roli zostaje mu już niewiele ponad 100 dni), który popisał się komentarzem w mediach społecznościowych: „Myślę, że w ramach rozpaczliwej próby odwrócenia uwagi opinii publicznej od fiaska »kampanii antymigracyjnej« premiera Tuska i jego rządu, mamy dzisiaj do czynienia od rana z festiwalem prowokacji chamstwem". Jego zdaniem to, co wydarzyło się w Sejmie, to „planowa próba zmiany tematu i przykrycia porażki". Przypomniał też, że „obchodzimy dzisiaj (tj. w środę, 2 kwietnia) 20. rocznicę śmierci Jana Pawła II". Stwierdził, że politycy chcieli „zepsuć nastrój i dobre emocje" z tym związane. „Nie dajcie się! Nie pozwólcie sobie odebrać tego, co ważne i przeniknięte Dobrem!". Tego zalewu dobra już się nie da zatrzymać.

Z awantury skorzystał kandydat Konfederacji Sławomir Mentzen, epatując zdystansowaną pozorną merytokratycznością: „Od 20 lat to samo. Cyrk, szopka, bicie piany w sprawach ważnych dla partii, a drugorzędnych dla państwa. A poważne sprawy, takie jak zatrzymanie paktu migracyjnego, Zielonego Ładu, zadbanie o amunicję czy ochronę zdrowia, ich nie interesują".

Mentzen, po euforycznej fazie wzrostu poparcia sondażowego, na granicy przegonienia kandydata PiS Karola Nawrockiego, zalicza właśnie ostre hamowanie w badaniach opinii publicznej. Ocenia się, że to efekt prawie dwugodzinnej autoprezentacji w Kanale Zero, gdzie w rolę dziennikarza, życzliwego ponad wszelką miarę, wcielił się szef tego medium i zarazem kandydat na urząd prezydenta Krzysztof Stanowski. Stanowski dał Mentzenowi gadać co mu ślina na język przyniosła, i okazało się, że popłynęła Amazonka farmazonów, manipulacji wymieszanych z zastraszającą ignorancją na każdy właściwie temat społeczny, polityczny i ekonomiczny. Dodatkowo Mentzen popisał się dwiema wypowiedziami, które mogły wyhamować wzrosty poparcia w grupie najmłodszych głosujących – palnął o płatnych studiach i o zakazie aborcji ciąży z gwałtu oraz „nieprzyjemności" gwałtu. Równocześnie można oglądać dziesiątki kilkunasto-, kilkudziesięciosekundowych filmików dowodzących, że jego zwolennicy nie mają pojęcia, co ich faworyt uważa i myśli, albo okazuje się, że w niczym się z nim nie zgadzają, ale popierają. Poziom tych wypowiedzi nie budzi przerażenia – jest poza skalą czegoś, co nazwalibyśmy rudymentarnym zrozumieniem najprostszych przekazów, reguł logicznego myślenia, o dysponowaniu jakąkolwiek wiedzą nie wspominając. W samej rozmowie ze Stanowskim Mentzen zabłysnął wieloma perłami, mówiąc choćby, że w życiu zawodowym osiągnął więcej niż wszyscy poprzedni prezydenci (Stanowski konsekwentnie nie dopytywał) oraz przyrządził jajecznicę, pierwszy raz w życiu chyba, bo w jakiejś wcześniejszej wypowiedzi przyznał, że przygotowanie tej potrawy przerasta jego możliwości.

Powiedzieć, że kampania wyborcza na urząd prezydenta jest spektaklem żałosnym i urągającym rozumowi – to jakby wciąż za mało powiedzieć.

Kiedy się zastanawiałem nad jakimś przesłaniem, morałem, wnioskami, które płyną z tych historyjek jeszcze nie tak dawno nie do wymyślenia, to jednak uznałem, że nie mam tu jasności – dynamika tego absurdu wymyka się racjonalności. Jedno jest pewne – to nie koniec spektaklu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 456f2a29e8

Marcelina Szumer-Brysz

Czy wujek Ekrem naprawi turecką demokrację

Aresztowany burmistrz Stambułu to najpoważniejszy kandydat opozycji na prezydenta

Dziewczynka ma z pięć lat. Mówi do kamery smartfona: „Kochany wujku, wiem, że cię uwolnią. Moi rodzice właśnie maszerują dla ciebie, poszli też głosować. Wyjdziesz, wrócisz do nas i wszystko będzie dobrze". W krótkim nagraniu opublikowanym w mediach społecznościowych dla aresztowanego burmistrza Stambułu małej Turczynce udało się streścić wydarzenia, które wstrząsnęły Turcją.

Zaczęło się od anulowania uniwersyteckiego dyplomu Ekrema İmamoğlu, zdobytego w latach 90. na metropolitalnej uczelni. Ten „drobiazg" niesie poważne konsekwencje – uniemożliwia kandydowanie na fotel prezydenta, bo według konstytucji głowa tureckiego państwa musi się legitymować wyższym wykształceniem. Nikt nie wątpił, że İmamoğlu studia skończył, udało się jednak znaleźć kruczek, w świetle którego jego przeniesienie się z jednej uczelni na drugą było nielegalne. „Dziś unieważniają mój dyplom, jutro unieważnią wasze dyplomy, dowody osobiste, paszporty – mówił w filmiku nagranym po ogłoszeniu decyzji, twierdząc, że sprawa ma wymiar polityczny. – Chodzi o wolność i elementarne prawa człowieka".

İmamoğlu stwierdził, że nielegalna jest sama decyzja, którą – jeśli w ogóle – powinna wydać rada wydziału, a nie senat uczelni. I już dwa dni później miał poważniejsze kłopoty. Zatrzymała go policja, bo postawiono mu zarzuty korupcyjne i wspierania organizacji terrorystycznej. Przed sąd doprowadzony został w przededniu prawyborów, które miały wyłonić kandydata opozycji na prezydenta (był w nich jedynym startującym). Głosować mieli wszyscy chętni członkowie Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), która liczy ponad 1,5 mln członków. Po aresztowaniu İmamoğlu wszystko się zmieniło.

Mobilizacja dla Ekrema

Przewodniczący partii Özgür Özel wezwał Turków, aby w niedzielę 23 marca ruszyli do urn w akcie poparcia dla „naszego kochanego burmistrza". Sprawa spreparowanych, politycznych, jak twierdzi opozycja, zarzutów dla „wujka Ekrema" spowodowała, że tysiące ludzi stawiło się w w punktach wyborczych CHP.

„Zawsze należałem do AKP, ale od dzisiaj jestem z CHP", powiedział dziennikarzom opozycyjnego dziennika „Cumhuriyet" starszy mężczyzna, który przyszedł oddać głos na İmamoğlu. „Jest to kwestia przyzwoitości i naszej demokracji".

To samo powtarzały tysiące demonstrantów na ulicach Stambułu, Ankary i Izmiru. Ekrem İmamoğlu ponownie stał się symbolem walki o demokrację, przestrzeganie prawa, przejrzystą politykę i niezależne sądy.

Bo to nie pierwszy raz, kiedy burmistrz największej tureckiej metropolii jest solą w oku władz. Gdy w 2019 r. poprowadził zwycięską kampanię samorządową i po latach odbił Stambuł z rąk obozu rządzącego, minimalnie pokonując byłego premiera Binalego Yıldırıma, wybory unieważniono. Ich powtórka zakończyła się blamażem obozu władzy. Stambułczycy tak się

FOT. AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl 456f2a29e8

Wiec zwołany przez Republikańską Partię Ludową (CHP) na rzecz aresztowanego burmistrza Stambułu, Maltepe, 29 marca 2025 r.

wściekli i zmobilizowali, że niewielka wcześniej różnica między kandydatami urosła do miliona głosów, nie zostawiając miejsca na wątpliwości. Kim jest człowiek, który znów zmobilizował Turków?

Znad Morza Czarnego nad Bosfor

Ekrem İmamoğlu jest synem potentata rynku nieruchomości z Trabzonu. Choć wyrastał w republikańskich wartościach Atatürka, u boku którego jego dziadek walczył o niepodległość, wychowywany był również w poszanowaniu religii. Jego dziadek nosił tytuł hacı, przysługujący osobom, które odbyły pielgrzymkę do Mekki. Jako 12-latek İmamoğlu uczęszczał do meczetu na kurs Koranu, a modlitwy odmawia nawet na oficjalnych spotkaniach. I choć jego rodzina może poszczycić się dzisiaj dużym majątkiem, zaznał większości problemów, z którymi mierzą się zwykli Turcy.

Urodził się w małej wsi Cevizli, w prowincji Trabzon nad Morzem Czarnym, gdzie mieszkał z rodziną w zaledwie 60-metrowym domu (turecki standard to ponad 100 m). Dziadkowie byli rolnikami, a gdy ojciec stawiał pierwsze kroki w biznesie, mama (zakrywająca głowę chustą) sprzedawała produkty z rodzinnych upraw, by ratować domowy budżet. W tym czasie syn uczył się w rejonowej szkole i łobuzował z dzieciakami z sąsiedztwa. Do dziś podkreśla, że wychowało go Morze Czarne.

Każdy, kto śledzi turecką politykę, wie, jak zadziwiająco wiele podobieństw jest między prezydentem Recepem Tayyipem Erdoğanem a kandydatem na prezydenta Ekremem İmamoğlu. Obaj są znad Morza Czarnego (Erdoğan pochodzi z Rize), obaj – zanim zajęli się polityką – niemal zawodowo grali w piłkę nożną, obaj w końcu zasiadali w fotelu burmistrza Stambułu, a prosto z magistratu trafili za kratki. Erdoğan – za wyrecytowanie religijnego wiersza (w 1997 r. nacisk na świeckość państwa był podstawą polityki wewnętrznej), İmamoğlu za rzekomą korupcję. Kiedy miał się jej dopuścić? Zdaniem śledczych zarówno wtedy, gdy był burmistrzem jednej z metropolitalnych gmin, jak i później, gdy sprawował rządy nad całym Stambułem. Ale po kolei.

To İmamoğlu starszy, ojciec Ekrema, jako pierwszy wszedł do polityki, zostając burmistrzem jednej z gmin w Trabzonie. Po skończonej kadencji rodzina przeniosła się do Stambułu. Syn studiował na anglojęzycznym wydziale administracji Uniwersytetu Stambulskiego, a rodzinne sklepy i restauracje, założone przez ojca, zaczęły się rozrastać. Do biznesu wkrótce dołączyła budowlanka, i to w firmie ojca İmamoğlu dostał w latach 90. pierwszą pracę. Wtedy też zaczęła się jego przygoda z polityką. Najpierw należał do młodzieżówki partii Anavatan, tej samej, z ramienia której jego ojciec został w Trabzonie burmistrzem dzielnicy, później w CHP. W 2009 r. został szefem partii w swoim okręgu, a pięć lat później burmistrzem stambulskiego dystryktu Beylikdüzü. Za jego kadencji dzielnica ta zmieniła się nie do poznania. Powstały parki, przedszkola, akademiki, centrum kultury i ogródki działkowe. Gdy AKP stawiała na megaprojekty, zajmując się pomysłami w rodzaju przekopania alternatywnego dla Bosforu kanału (projekt jest w trakcie realizacji), İmamoğlu zajął się ludźmi. I ludzie go pokochali.

Gdy po anulowaniu wyborów na burmistrza metropolii zwyciężył w nich po raz drugi, mówił, że to nie on, ale ludzie zwyciężyli. „Zwyciężyła demokracja, zwyciężyli ludzie. Stambuł i Turcja potrzebują normalności".

Zamknięta droga do pałacu?

W dniu aresztowania, w mediach społecznościowych, i później, już w oświadczeniach publikowanych za pośrednictwem żony i partii, İmamoğlu powtarza to samo. Mówi Turkom, żeby się nie bali, że wszystko jeszcze będzie dobrze (to jego hasło z drugiej kampanii samorządowej w 2023 r., gdy ubiegał się o reelekcję); wróci i sprawi, że w Turcji będzie spokojnie, normalnie i uczciwie. Zarzuty odpiera, przed sądem zrezygnował z przysługującego mu prawa do wyrażenia skruchy, twierdząc, że żaden zarzut nie jest prawdziwy.

Tyle że decyzja o aresztowaniu, a później zapewne skazanie mogą mu zamknąć drogę do pałacu prezydenckiego. Na kandydata był typowany już w 2023 r., ale wtedy zjednoczona opozycja zdecydowała się zaufać Kemalowi Kılıçdaroğlu, byłemu szefowi CHP. Nie była to słuszna decyzja, jako że ten kandydat nie był powszechnie lubiany. Wielu głosowało na niego, wybierając mniejsze zło, inni nie dali się przekonać. Wygrał Erdoğan, a porażka na nowo skłóciła zjednoczoną przed wyborami opozycję.

„Zwyciężyła demokracja, zwyciężyli ludzie. Stambuł i Turcja potrzebują normalności", mówił Ekrem İmamoğlu.

Teraz, choć do wyborów są jeszcze trzy lata, najpoważniejszy kontrkandydat prezydenta (Erdoğan zarzekał się, że to jego ostatnia kadencja, ale coraz częściej przebąkuje, że decyzję o kandydowaniu uzależnia od woli ludu) znalazł się za kratkami. Jego miejsce w fotelu burmistrza Stambułu zajął Zeydan Karalar, dotychczasowy burmistrz Adany. Kto jednak zastąpi go w boju o prezydenturę?

Najpoważniejszym kandydatem wydaje się Mansur Yavaş, partyjny kolega Ekrema İmamoğlu, już drugą kadencję zasiadający w fotelu burmistrza Ankary. Choć nie ma takiej charyzmy, jest powszechnie lubiany i cieszy się olbrzymim zaufaniem Turków. W sondażach od kilku lat wyprzedza zresztą İmamoğlu jako polityk, na którego wyborcy opozycji najchętniej oddaliby głos. Yavaş nie wziął udziału w prawyborach, twierdząc, że ich organizacja, zwłaszcza tak wcześnie, nie ma sensu i bardziej zaszkodzi sprawie, niż pomoże. Jeszcze w lutym nie wykluczył ubiegania się o prezydenturę, możliwe więc, że plan uda się jednak zrealizować. ■

eprasa.pl 456f2a29e8

ZAPOMNIANA ZAGŁADA

80 lat temu Tokio doświadczyło najtragiczniejszego bombardowania w dziejach ludzkości

Chrystian Ślusarczyk
Korespondencja z Japonii

W nocy z 9 na 10 marca 1945 r. zginęło 100 tys. Japończyków. Więcej niż po zrzuceniu bomby atomowej na Nagasaki.

W 1945 r. Europa była zmęczona trwającą od pięciu lat wojną. Dla Japonii był to ósmy rok wyniszczającej wojny z Chinami. Konfliktu, który doprowadził do sojuszu Japończyków z Niemcami i Włochami. Choć o tym w Europie często zapominamy, w tym czasie zginęło ponad 3 mln Japończyków. Jak trudny był to dla Japonii okres, świadczą dane dotyczące średniej długości życia na początku lat 40. – 23,9 roku dla mężczyzn i 37,5 dla kobiet. Te liczby szokują, ale tylko tych, którzy chcą o nich pamiętać. Ogromna większość mieszkańców kraju woli się rozkoszować współczesnymi danymi. Dziś bowiem świat zazdrości Japończykom 88 lat średniej długości życia kobiet i 81 lat mężczyzn.

Tak musi wyglądać piekło

Była chłodna i wietrzna noc. Mieszkańcy Tokio mogli się spodziewać amerykańskich nalotów, bo te już wcześniej miały miejsce. Jednak nocny atak z 9 na 10 marca, nazwany „Operation Meetinghouse", różnił się od poprzednich. Około 300 potężnych amerykańskich B-29 obrało sobie za cel gęsto zaludnioną dzielnicę Shitamachi. Amerykanie założyli, że japońska obrona przeciwlotnicza, zaskoczona atakiem z niewielkiej wysokości, nie zdąży zareagować. Na Tokio spadło 1,5 tys. bomb. Nalot dywanowy spowodował natychmiastowe pożary. Jako że japońska stolica nazywana była „miastem z papieru i drewna", wszystko spalało się w mgnieniu oka. Amerykańscy lotnicy mówili o „ogniowym tornado".

A w dole w ciągu zaledwie kilku minut rozpętało się piekło. Mieszkańcy płonęli żywcem. Ani ukrycie się w schronach, ani rzucanie do wody nie gwarantowało przetrwania. Łącznie ogień strawił 270 tys. budynków. Milion tokijczyków zostało bez dachu nad głową. Służby metropolii nie miały szans na reakcję. Tokio doświadczało najdramatyczniejszego momentu w swojej historii. Ci, którzy cudem przeżyli tę noc, mówią: „Tak musi wyglądać piekło". Wojna doprowadziła do gigantycznego spadku liczby ludności stolicy. W 1940 r. Tokio miało 6,7 mln mieszkańców. Pięć lat później już tylko 2,7 mln.

Mózgiem burzy ogniowej był gen. Curtis LeMay, nazwany przez Japończyków „brutalnym LeMayem". „Przypuszczam, że gdybym przegrał wojnę, byłbym osądzony jako zbrodniarz wojenny", ocenił LeMay.

Proces odbudowy rozpoczął się w latach 50., kiedy Tokio było siedzibą amerykańskich wojsk okupacyjnych. W latach 60. odbudowa jeszcze przyśpieszyła, a w 1964 r. stolica Japonii została gospodarzem letnich igrzysk olimpijskich.

Mówi się, że Hiroszima i Nagasaki to miasta, które zmartwychwstały. Tokio też ma pełne prawo tak twierdzić. Bo zmartwychwstało nawet

eprasa.pl 456f2a29e8

Rzadko odwiedzany pomnik ofiar bombardowań Tokio w latach 1942-1945 w parku Yokoamichō.

W Centrum Bombardowań Tokio i Zniszczeń Wojennych.

Yasukuni-jinja – świątynia poświęcona duchom żołnierzy, którzy polegli w obronie ojczyzny.

dwukrotnie. Najpierw po tragicznym trzęsieniu ziemi z 1923 r. (zginęło 105 tys. osób), a potem po bombardowaniu z marca 1945 r.

Walka o pomnik

Zachodnie media sugerują, że w Tokio nie istnieje instytucja zajmująca się bombardowaniem z marca 1945 r. To nie do końca prawda. Faktycznie w stolicy Japonii nie ma dziś żadnego finansowanego ze środków publicznych muzeum, które oficjalnie upamiętniałoby te wydarzenia. Namiastką tak wyczekiwanego memoriału jest jednak pomnik w parku Yokoamichō niedaleko rzeki Sumida. Pomnik-mogiła przypomina nazwiska zabitych w czasie nalotów w latach 1942-1945. Na terenie parku znajduje się też ossuarium, w którym pochowano szczątki 105 400 osób zabitych we wszystkich nalotach na Japonię w czasie II wojny.

Próbę godnego upamiętnienia historii podjęto w dzielnicy Kitasuna. To Centrum Bombardowań Tokio i Zniszczeń Wojennych w niepozornym budynku, mało przypominającym monumentalne muzea. Obiekt został ukończony dzięki wsparciu 4 tys. darczyńców 9 marca 2002 r. Jego niezbyt imponujące rozmiary wynikają z faktu, że jest to niejako muzeum zastępcze. Bo w 1999 r. plany dotyczące stworzenia godnego Muzeum Pokoju zostały zamrożone. Grunt pod budynek centrum przekazał anonimowy darczyńca.

W budynku od razu pojawiły się dziesiątki artefaktów i dokumentów zbieranych od 1970 r., a zgromadzonych przez Stowarzyszenie Rejestrujące Naloty na Tokio. W muzeum zobaczymy m.in. nadpalone dziewczęce kimona i plecaki szkolne, zniszczone przez wysoką temperaturę maski gazowe. W marcu 2007 r. dzięki pomocy kolejnej grupy darczyńców trzypoziomowy budynek zyskał kilka dodatkowych pomieszczeń na sale wykładowe i rozszerzenie dotychczasowych wystaw. Najbardziej wymowne eksponaty ulokowano na ostatniej kondygnacji. Znajdują się tam m.in. elementy bomb zrzucanych na Tokio, rzeczy osobiste ofiar, ich dokumenty, a także zdjęcia ocalałych.

Muzeum nie jest miejscem tłumnie odwiedzanym przez Japończyków i cudzoziemców. Rocznie Centrum Bombardowań Tokio i Zniszczeń Wojennych ma ok. 10 tys. gości. Dla porównania – roczna liczba zwiedzających Muzeum Pokoju w Hiroszimie przekroczyła 2 mln. Wstęp do tak naprawdę prywatnego muzeum, z którym państwo nie chce się identyfikować, kosztuje 300 jenów, czyli 7,5 zł.

Na rocznicowym spotkaniu w centrum zwrócono uwagę, że wciąż nie ma monumentu upamiętniającego ofiary nalotów. Pomnika, który byłby podobny np. do Kamienia Węgielnego Pokoju w mieście Itoman w prefekturze Okinawa. Tam w parku, na czarnych, granitowych ścianach wyryte są nazwiska wszystkich ofiar bitwy o Okinawę.

Mimo okrągłej 80. rocznicy bombardowań Tokio Japończycy nie zorganizowali wielkich obchodów, tak dobrze znanych z naszego podwórka. 10 marca w Sumida Ward, dzielnicy supernowoczesnych wieżowców, odbyły się skromne uroczystości. Państwowa telewizja NHK podała, że w „ceremonii wzięło udział wielu przedstawicieli rodzin poległych w marcu 1945 r.". W uroczystościach wziął udział 126. cesarz Japonii Naruhito (warto pamiętać, że pełni jedynie funkcję „symbolu narodu" i jest pozbawiony władzy politycznej). Pojawił się też burmistrz Tokio. Zabrakło natomiast premiera.

Patriotyczno-wojenne kontrowersje

Teren wokół fosy przy Pałacu Cesarskim w Tokio, a przede wszystkim wspaniałe ogrody od lat są odwiedzane przez cudzoziemców. Szczególnie na przełomie marca i kwietnia, gdy zakwita japońska wiśnia. Na północ od pałacu i ogrodów, w okolicy stacji metra Kudanshita, zaczyna się najbardziej patriotyczna dzielnica stolicy. Już między małą szintoistyczną świątynią obok metra a pierwszą torii, czyli bramą prowadzącą do świętego obszaru chramów szinto,

eprasa.pl 456f2a29e8

Tokio po bombardowaniu, marzec 1945 r.

napotkamy wiernych kłaniających się w stronę widocznej w oddali świątyni Yasukuni-jinja. Ta powstała w roku 1869 świątynia odgrywa w życiu każdego Japończyka rolę wyjątkową. Jest poświęcona duchom żołnierzy, którzy polegli w obronie ojczyzny.

Chram od dawna jest źródłem kontrowersji i konfliktów. Szczególnie z najbliższymi sąsiadami. Spośród ogromnej liczby czczonych w nim osób 1068 zostało uznanych za zbrodniarzy wojennych, a 14 trybunał tokijski (powołany w styczniu 1946 r.) uznał za zbrodniarzy klasy A, czyli takich, którzy popełnili zbrodnie przeciw pokojowi. Japońscy politycy chętnie odwiedzają Yasukuni-jinja. I za każdym razem dochodzi do zgrzytów dyplomatycznych na linii Tokio-Pekin-Seul.

Obecnie w Yasukuni-jinja czczonych jest ponad 2,4 mln bóstw. Są to dusze ludzi, którzy od 1853 r. składali najwyższą ofiarę dla swojego narodu w różnych wojnach. Ludzie ci, niezależnie od pozycji społecznej, są uważani za całkowicie równych i czczeni jako bogowie Yasukuni. Czy zatem, gdy pojawia się pojęcie „polegli w czasie II wojny", jest też mowa o 100 tys. cywilnych ofiar bombardowań Tokio?

Około 100 m od Yasukuni-jinja i najsłynniejszej w Tokio wiekowej wiśni znajduje się Muzeum Wojny Yūshūkan. Miejsce rzadko odwiedzane przez zagranicznych turystów, także Amerykanów, którzy wizytę w tej dzielnicy Tokio niezbyt świadomie kończą na chramie Yasukuni i prowadzących do niego fotogenicznych torii.

Zlokalizowane w dwóch budynkach powstałych w różnych epokach muzeum Yūshūkan pokazuje sukcesy militarne Japonii w ciągu wieków. W dolnej hali, przy wejściu głównym, najważniejszym eksponatem jest bombowiec Mitsubishi A6M „Zero" z lat 40., wizytówka ówczesnego japońskiego lotnictwa. Spore wrażenie robi też eksponowana w innej hali torpeda Kaiten przeznaczona do ataków samobójczych. Kto natomiast myślał, że sporo miejsca w tym muzeum zajmują Hiroszima i Nagasaki, może czuć się zawiedziony. Zarówno jednemu, jak i drugiemu tragicznemu miastu poświęcono po trzy zdania opisu do zdjęcia formatu 15 x 15 cm. Znacznie więcej miejsca w muzealnych gablotach wygospodarowano na… telegramy po japońskim ataku na Pearl Harbor. Jeszcze bardziej zawiedzeni, by nie powiedzieć zaszokowani, poczują się ci, którzy w dziale „II wojna światowa" spodziewali się materiałów nawiązujących do bombardowania Tokio. Pod koniec marca nie było śladu takiego wydarzenia!

Wniosek nasuwa się sam: w narracji na temat działań Japonii w czasie II wojny Yūshūkan prezentuje zauważalne cechy rewizjonizmu i gloryfikuje militarystyczną przeszłość kraju.

Ofiary ofiarom nierówne

Yoshiaki Tanaka, profesor historii na Uniwersytecie Senshu w Tokio, jest przekonany, że wiele osób, które przeżyły bombardowania, nadal ma poczucie winy, że ocalały. Ten problem jest bardzo japoński. Prof. Tanaka w ciągu ostatnich 10 lat miał kontakt z setką ocalałych. – Niektórzy nie byli w stanie opowiedzieć o swoich przeżyciach. Sugerowałem, aby spróbowali je narysować, by w ten sposób jakoś się otworzyć. W przypadku części przyniosło to sukces, inni wciąż zamykali się głęboko w sobie. I to z poczuciem winy, że wciąż żyją! – mówi profesor. Zresztą ci, którzy przeżyli, nie są przez rząd uznawani za cierpiące ofiary nalotu. Nie mają żadnych praw do odszkodowań. A warto pamiętać, że od zakończenia wojny rząd Japonii przeznaczył 60 bln jenów (405 mld dol.) na wsparcie dla weteranów wojennych i pogrążonych w żałobie rodzin, a także na pomoc medyczną dla ocalałych w Hiroszimie i Nagasaki.

Cywilne ofiary bombardowania Tokio nie otrzymały ani jena. Japońskie sądy odrzuciły żądania odszkodowań w wysokości 74,3 mln dol., argumentując, że „obywatele, którzy zostali zmobilizowani do działań obronnych, powinni znosić cierpienie". Próbę pójścia na rękę starzejącym się ofiarom podjęto w 2020 r., kiedy grupa parlamentarzystów zaproponowała jednorazową wypłatę 500 tys. jenów, ale w obliczu zdecydowanego sprzeciwu partii rządzącej wycofała się z tego pomysłu. Jednak prof. Tanaka uważa, że rekompensata i oficjalny pomnik, a także stworzenie archiwów zeznań ocalałych pomogą w pewnym stopniu w leczeniu ran zadanych tokijczykom 80 lat temu.

Yumi Yoshida, której rodzice i siostra zginęli w czasie bombardowań, należy do szybko malejącej, z uwagi na podeszły wiek, grupy ocalałych domagających się odszkodowań od rządu. – Ten rok będzie naszą ostatnią szansą – wyznaje, nie kryjąc smutku. – Później nas i naszej tragedii nie będzie.

Chrystian Ślusarczyk

FOT. THE CENTER OF THE TOKYO RAIDS AND WAR DAMAGE, CHRYSTIAN ŚLUSARCZYK, SHUTTERSTOCK, WIKIPEDIA/DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 456f2a29e8

Przełomowa papieska autobiografia

„Nadzieja” to duchowy testament, w którym Franciszek pragnął podzielić się swoją osobistą historią

Jacek Pałkiewicz

Przetłumaczona na najważniejsze języki świata autobiografia papieża Franciszka pojawiła się także w Polsce nakładem wydawnictwa Świat Książki. „Nadzieja”, której współautorem jest publicysta Carlo Musso, z woli samego papieża pierwotnie miała zostać opublikowana po śmierci Franciszka. Jednak obchodzony tym roku 25. powszechny jubileusz w historii Kościoła katolickiego i potrzeby czasu zdecydowały o rozpowszechnieniu jego spuścizny teraz. Opowiadając po raz pierwszy historię swojego życia, ukazaną na przykładzie wydarzeń, które naznaczyły ludzkość w ciągu ostatnich 80 lat, papież dzieli się początkami idei, które wielu uważa za śmiałe i wyróżniające jego pontyfikat: od odważnych deklaracji przeciwko ubóstwu i niszczeniu środowiska po bezpośrednie wezwania do światowych przywódców, aby wytyczyli inny kurs w takich kwestiach jak dialog między narodami, wyścig zbrojeń, walka z nierównościami. Od wybuchu II wojny światowej w 1939 r. – kiedy przyszły papież miał trzy lata – aż do dziś Jorge Mario Bergoglio prowadzi czytelników za rękę, towarzysząc im w niezwykłej podróży przez dziesięciolecia. Jego głos, zawierający bardzo osobiste wspomnienia, przeplata się z głosem narratora, który w każdym rozdziale rekonstruuje tło historyczne.

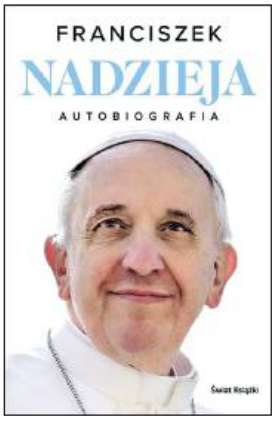

„Nadzieja” to duchowy testament, w którym Franciszek pragnął podzielić się swoją osobistą historią z wiernymi na całym świecie. Dyskretnie eksploruje instytucję maleńkiej enklawy, w której przenikają się sacrum i profanum, toczą rozgrywki polityczne, nie brakuje manipulacji, intryg i walki o władzę. Jego poprzednik, Benedykt XVI, przekazał mu „białe pudło”, które było nierozbrojoną miną. U schyłku ośmioletniej misji wspomniał on o oszpeconym podziałami obliczu Kościoła i rywalizacji wewnętrznej. Innym razem, podczas nabożeństwa Drogi Krzyżowej, obnażył mechanizmy władzy za Spiżową Bramą: „Ileż brudu jest w Kościele, i to właśnie wśród kapłanów! Ileż pychy i samouwielbienia! Kościół wydaje się tonącym okrętem, łodzią, która ze wszystkich stron nabiera wody”. Watykańscy dziennikarze nie mają wątpliwości, że głębokie podziały pośród kardynałów przerosły go i były prawdziwym powodem jego abdykacji.

„Argentyński” papież o nowym, ascetycznym podejściu głęboko zaangażował się w uzdrowienie i odnowę kościelnej hierarchii, wymieniając wszystkich szefów dykasterii, watykańskich ministerstw. Poczynił ważne kroki, aby spacyfikować odwieczne spory pomiędzy obozem hierarchów liberalnych i tradycyjnych.

W autobiograficznej narracji porusza najważniejsze i najbardziej kontrowersyjne kwestie współczesnego świata, jak również kluczowe punkty swojej posługi jako powszechnego pasterza Kościoła. Przedstawia refleksję, w której rozwija swoje nauczanie na temat konieczności braterstwa i absurdalności wojny. Uważa, że żądza władzy, zdominowanie stosunków międzynarodowych przez siłę militarną i ostentacyjne posiadanie arsenałów wojennych to głębokie motywy stojące za dziesiątkami wojen, które dziś wykrwawiają planetę. Starcia, które sieją śmierć i zniszczenie, przynoszą spiralę nowych unicestwień. Niezbędny jest dialog jako sztuka polityczna, rzemieślnicze budowanie pokoju, które zaczyna się od serca i rozciąga rozbrojenie na cały świat – to konkretne wskazówki, które Franciszek nam powierza, aby pokojowe działanie stało się naprawdę wspólnym horyzontem, na którym będziemy budować naszą przyszłość.

Niemiecki dziennik „Zeit” napisał w recenzji: „Żaden papież przed nim nie pozwolił na tak głębokie spojrzenie w swoje życie prywatne. Franciszek odnotowuje własne, najbardziej intymne myśli i grzechy. Książka ta jest unikatowym dokumentem w dwutysięcznej historii papieży”.

Książka łączy osobiste wynurzenia z proroczym spojrzeniem na przyszłość świata.

Papież Franciszek głosi zawsze aktualne przesłanie Ewangelii w jej wiecznej nowości i świeżości, nie szukając jakiegoś gotowego schematu. Umiał połączyć ciągłość wielkiej tradycji Kościoła z odnową, która potrafi nieustannie zaskakiwać. Do jego wciąż nowych niespodzianek należy także onieśmielony program ubogiego Kościoła.

„Nadzieja” to książka wyjątkowa – łączy osobiste wynurzenia z proroczym spojrzeniem na przyszłość świata. Papież opowiada o swojej drodze do kapłaństwa, rodzinnych korzeniach oraz trudnych latach dyktatury w Argentynie. Jednocześnie z pasją pisze o potrzebie pokoju, sprawiedliwości społecznej i troski o planetę. To inspirująca lektura dla tych, którzy pragną zrozumieć wyzwania naszych czasów i odnaleźć nadzieję w codziennym życiu. ■

eprasa.pl 456f2a29e8

GRYŹĆ TRAWĘ I ROZGRYZAĆ OPOWIEŚCI

GDYBYM NIE BYŁ Z GROCHOWA, TO MOŻE WCALE BYM NIE PISAŁ

MAREK BIEŃCZYK
– prozaik, eseista,
tłumacz literatury francuskiej

Rozmawia Mateusz Demski

Chodzą słuchy, że już dawno opuścił pan warszawski Grochów.

– Opuściłem, ale udaję, że nie. „Rondo Wiatraczna" to w pewnej mierze moja księga wyjścia. Ciągle wydaje mi się, że dopiero co się wyprowadziłem, a minęło już 20 lat. Spółdzielnia, do której byłem zapisany w 1959 r., zbudowała mi w roku 2006 dom. Ani się obejrzałem, miałem już mieszkanie w centrum.

Mówi się, że wyjeżdżamy z pewnych miejsc, ale te miejsca nie wyjeżdżają z nas.

– Nawet w sensie dosłownym. Jeżdżę na zakupy na Bazar Szembeka, który w książce odgrywa istotną rolę. To praktyczne: dobry parking mam na bazarze, nie muszę szukać miejsca. Ale równie prawdziwa odpowiedź jest taka, że to siła przyzwyczajenia. Mam obcykane, co, gdzie i u kogo. Tam znam ulice, a w centrum nie bardzo, nawet po kilkunastu latach.

Ale to jest chyba już inny Grochów niż ten z pana z dzieciństwa.

– Mam wrażenie, że zmienił się mniej, niż zmieniały się inne dzielnice. Nowoczesność nie wlazła tam z butami tak gwałtownie jak na Pragę

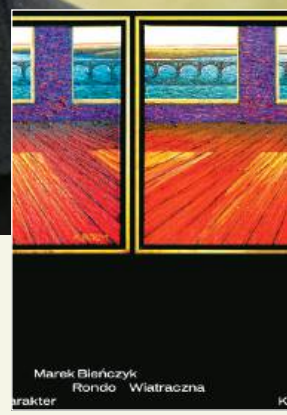

Marek Bieńczyk – (ur. w 1956 r.) za powieść „Tworki" otrzymał Paszport „Polityki" oraz Nagrodę Literacką im. Reymonta (2000), za zbiór esejów „Książka twarzy" Nike (2012), za książkę „Przezroczystość" Nagrodę im. Andrzeja Siemka (2008). W 2023 r. dostał Nagrodę im. Juliana Tuwima za całokształt twórczości.

eprasa.pl 456f2a29e8

Północ. Wola się zmieniła, Powiśle też dość mocno. A Grochów aż tak bardzo się nie śpieszy, pozostał odrębny. Zawsze był samopas, lubię tak o nim myśleć. Pamiętam, jak przez Grochów szło się na przestrzał. Łatwo było dostrzec linię horyzontu. Teraz to się jeszcze zdarza.

Jest pan rodowitym grochowiakiem?

– Od drugiego roku życia. Do dzisiaj rośnie tam klon, który posadzono w tym samym czasie, w którym trafiłem na moją ulicę. Z perspektywy drugiego piętra pamiętam ten krzaczek, który w tej chwili przerósł dom. Nasze życie toczyło się równolegle – tego drzewa i moje. Klon był moim bratem bliźniakiem. Nie za bardzo chciałem się wyprowadzać, głupio mi było go porzucać. Zostawiłem go wreszcie, a on teraz trochę słabuje, choruje.

Czasem jednak dobrze zostawić rzeczy za sobą.

– Człowiek, który się wyprowadza raz w życiu, to trochę wstydliwa historia. Jakbym powiedział w Ameryce albo we Francji, że przez ponad 60 lat miałem ledwie dwa mieszkania, toby mnie wyśmiali. Prawie całe życie na Grochowie. Cała młodość i postmłodość. Ale ta książka opowiada o wycięciu przeszłości. A przynajmniej o próbie.

A jaki był Grochów za pana młodości?

– Nie mogę powiedzieć, że był zbójecki, bo wtedy człowiek wszędzie trochę się bał. Tak naprawdę w mordę najbardziej dostałem na Krakowskim Przedmieściu. Banda gitów na mnie napadła. Miałem długie włosy, zobaczyli hipka i od razu, bez przyczyny, wyskoczyli. Źle by się to skończyło, ale znalazłem szparę, zacząłem uciekać. Na Grochowie też można było dostać. Jak się szło wieczorem, to się uważało. Szczególnie że subkultury młodzieżowe były wtedy plemienne. Grochów był w dużej mierze gitowski, a ja byłem z miotu hipisowskiego. Inny rodzaj tańca. Ale u siebie byłem chroniony przez cinkciarzy. Bo ta moja ulica Kaleńska, wiejska, spokojna, stała się w pewnym momencie centrum wielkiego handlu, powszechnej wymiany.

Pisze pan: „Grochów miejsce niedookreślone, niezdecydowane (...) nie mógł na szczęście się zdecydować, czym jest. Terenem ściśle miejskim czy też terenem wciąż wiejskim, a tu i ówdzie małomiasteczkowym".

– Ni to wieś, ni to miasto. Grochów dołączył do Warszawy jakoś w okolicach I wojny. Zaraz potem zaczęły powstawać budynki, ale drewniane. Niska zabudowa, jednopiętrowa. Grochów nigdy nie szedł w górę. Długo nie było wysokich budynków. W latach 70. postawiono tam parę bloków gierkowskich, jednak też nie za dużo. Przez to Grochów nam się wydawał trochę zapóźniony, a nawet gorszy. Życie było po drugiej stronie Wisły. Zaczynając od sportu. Przez krótki czas tylko Gwardia grała na Stadionie Dziesięciolecia, ale stadion przez lata stał pusty. Całe życie artystyczne również toczyło się gdzie indziej. Po tamtej stronie. Jak się jechało na drugi brzeg Wisły, to się mówiło: „Jedziemy do miasta". To było symboliczne przejście, zawsze miałem dziwne wrażenie przekraczania granicy.

W książce widać, że panu ten prawobrzeżny kompleks trochę ciąży. „Grochów był ledwie Starym Testamentem albo apokryfem wobec Nowego Testamentu lewobrzeżnej Warszawy".

– Lewa strona, czyli ten symboliczny Nowy Testament, odbudowała się i parła ku przyszłości; zmartwychwstała. Na Grochowie życie toczyło się w innym czasie, powolnym. Nie było tu przemian, zwiastowań nowego, obietnic. Tak, zawsze się miało kompleks lewego brzegu. Kompleks niewiedzy i bylejakości. Na każdym spotkaniu autorskim podaję taki oto przykład: umówiłem się na pierwszą randkę z dziewczyną z liceum Batorego, najlepszego na lewobrzeżnej Warszawie. Stchórzyłem. Bałem się, że ona wszystko ma przeczytane, a ja przy niej, księżniczce Batorego, będę małym Kaziem.

No to jak się stało, że pan na tym Grochowie zainteresował się literaturą?

– Książki musiały być w domu, takie było wychowanie przedwojenne. Ojciec był inteligentem w pierwszym pokoleniu, dziadek był robociarzem. Przed wojną ojciec mieszkał w jednej izbie, z trzema braćmi, do tego ledwie kuchnia, ale książki zawsze były. Ojciec wyniósł stamtąd słabość do nich i jemu to zawdzięczam. U nas w domu było więcej książek niż w mieszkaniach kumpli. Owszem, jak zaczynam teraz mędrkować i osłaniać się niby-erudycją, mam poczucie, że zdradzam Grochów, wyskakuję za bardzo ponad. No ale moje środowisko było takie, że równocześnie Legia i żyleta, chodziło się z klubową flagą na drugą stronę na mecz, a także książki. Kibicowanie, a nawet kibolowanie, i zarazem czytanie. Gryźć trawę i rozgryzać opowieści – to była jedna sprawa w dużej mierze.

Z książkami wtedy się było na co dzień. Czytało się to, co się ukazało; wszyscy czytali to samo. Kiedy wyszło, dajmy na to, „Sto lat samotności", wszyscy polowali na tę jedną książkę. I zaraz potem na Kanta czy Platona. Bo książki były jednocześnie chodliwym towarem. Grałem dużo w pokera, raz przegrałem pół księgozbioru. Bo to był pieniądz, waluta – można nią było bez problemu opłacać przegrane.

Wróćmy do tego kompleksu niższości. Pisze pan trochę i o tym, jak zobaczył pan pierwsze mieszkania

Na Grochowie życie toczyło się w innym czasie, powolnym. Nie było tu przemian, zwiastowań nowego, obietnic.

Książki musiały być w domu, takie było wychowanie. Ojciec był inteligentem w pierwszym pokoleniu, dziadek robociarzem.

FOT. KRZYSZTOF DUBIEL

eprasa.pl 456f2a29e8

na Mokotowie i Żoliborzu. Kredensy były tam inne, bardziej rasowe. W toaletach lepiej pachniało.

– Tak było, mieszkania po lewej stronie wydawały się lepsze. Ich mieszkańcy lepiej wykształceni i z rodowodem. My byliśmy w najlepszym przypadku dziećmi inteligencji pracującej z, jak wspomniałem, pierwszego pokolenia. Mieszkało tu dużo ludzi napływowych, z okolicznych wiosek. Stasiuk mieszkał tuż obok mnie, dużo o tym pisał.

To jest ciekawe, że ja Andrzeja poznałem, nie poznawszy. W moim domu była największa prawobrzeżna melina. To było miejsce centralne, serce Grochowa. Pewnego dnia pojawił się facet, który miał metr dziewięćdziesiąt i wyglądał inaczej niż pozostali. O wiele lepiej. Później, już w latach 90., jak zobaczyłem jego zdjęcia, to sobie uświadomiłem, że to chyba był Stasiuk. Nastąpiło przecięcie dosłowne, ale myślę też, że jest jakieś podobieństwo w naszym, tych prawobrzeżnych, sposobie pisania.

Moje środowisko było takie, że równocześnie Legia i żyleta, a także książki. Kibolowanie i zarazem czytanie.

A skąd to się bierze, takie powinowactwo? Miejsce tak się w człowieku odciska?

– Tak, ja mam na ten temat taką hipotezę. Pisanie Andrzeja jest innym pisaniem niż moje, ale jest rodzaj podobieństwa w fakcie, że nie uprawiamy czystych gatunków literackich. Jeśli się pomyśli o innych prawobrzeżnych, o Krzysztofie Środzie, o Pawle Sołtysie, to samo wychodzi. O Piotrze Sommerze, on z Otwocka, ale po tej stronie rzeki. Małgorzata Rejmer. Jest też Robert Pucek, który zamknął się w lesie i pisał o owadach, pająkach. Na prawy brzeg przyjeżdżał Białoszewski, wiadomo, jak pisał. Albo Marcin Wicha – przecież poznałem go na Grochowie, w jego mieszkaniu. Legenda Grochowa, Edward Stachura – to też bywało gatunkowo niewyraziste. A ci na lewym brzegu – bardziej czyści gatunkowo. Gdybym nie był z Grochowa, to może wcale bym nie pisał. Albo pisałbym, jak trzeba. Moje teksty naukowe byłyby bardziej naukowe. Gdybym pisał prozę, to byłaby bardziej powieściowa, a nie taka bękarcia, że nie wiadomo co.

Bękarcia, czyli niesubordynowana, niepasująca nigdzie?

– Ja jestem literat nieukonkretniony. Lubię literaturę rozbuchaną, nie lubię sprawozdawstwa. To jest książka, która próbuje zaprzeczyć pisaniu czysto biograficznemu. Nie zaczynam od zdania: „Urodziłem się…". Nie wiadomo, ile mam lat, nie ma słowa o rodzinie; mam w książce cztery czy pięć różnych matek. Śpiewam tam gospel razem z Louisem Armstrongiem. Jest tam warstwa bardzo realistyczna i bardzo nierealistyczna. Piszę o Grochowie przez ch i w pewnym momencie przez samo h. To taka gra między Grochowem oficjalnym, by tak rzec, realnym, a tym moim. Można to czytać na wierzchu, ale pod spodem jest próba opowieści o podmiocie, która jest inną opowieścią niż te, które znam. Chciałem ustawić się w kontrze do pisania o miejscu w sposób historyczny, socjologiczny, z punktu widzenia klasowego. To nie moja bajka.

Na Grochowie działy się rzeczy, „które socjologom się nie śniły".

– Taka jest teza tej książki. Nie da się wyjaśnić ludzkiego istnienia przez analizy klasowe i społeczne. Piję tutaj expressis verbis do książki, która miała w Polsce szalone powodzenie, czyli do „Powrotu do Reims" Didiera Eribona. Próbuję skonstruować inny sposób myślenia o podmiocie – który jest trochę mistyczny, trochę magiczny. Ale też kpiący z siebie samego, nie do końca poważny.

Eribon, parafrazując zdanie z pańskiej książki, nie miałby wstępu na Grochów?

– Raczej z tą swoją prozą by nie miał. Eribon nie ma, Freud nie ma, psychoterapeuci nie mają. Tylko poezja ma wstęp na Grochów. To jedyna miara prawdy, twierdzi bohater książki. Chciałem skonstruować takie alter ego, które, może i rozpaczliwie, odcina sobie przeszłość. Nie da się tego oczywiście zrobić w pełni, ale można zbiec w bok. Chodzi nie o to, by uciec jak najdalej, ale żeby z boku zdradzać swoje własne genezy, to, co nas niby określiło i ukształtowało. Ja w ogóle lubię samo pojęcie „zdrady". Nie w znaczeniu oszustwa, jak się zdradza męża czy żonę, ale zdradzić swój rodowód, swoją genezę.

A panu język do opisu tego stanu w ogóle wystarcza? Czy zawsze coś będzie umykało, zawsze będzie ten nasz język cierpiał na pewne niedobory, braki?

– Nigdy nie cierpiałem na poczucie, że nie można czegoś wypowiedzieć, wyrazić. Ja raczej takich niedoborów w języku nie odczuwam. Kwestią jest raczej, czy chce się o czymś mówić, czy nie. Przy okazji „Kontenera", książki, którą pisałem po stracie matki, pomyślałem, że na dnie studni już się nic nie powie. Ale zacząłem pisać dlatego, że to było możliwe; że język mi tego nie zabronił.

A różne rzeczy mogły zabronić: wstyd, żałoba.

– Wstyd nie; nie uprawiam wiwisekcji. W moim przypadku wszystko się zaczyna na poziomie słów. Język ciągnie opowieść, a nie odgórny projekt. Nie zakładam, że napiszę o tym i tamtym. Zaczynam książkę, która może mówić o Grochowie, ale jak to się będzie dalej kształtowało, tego nie wiem. Musi przyjść pierwsze zdanie, żebym mógł wystartować. Słowa są w blokach startowych, pada strzał i lecę. Język to są moje łyżwy, muszę się rozpędzić. Czasem z pewnym nadmiarem. Wypadam z zakrętu, a wtedy ktoś pisze: „Za dużo tutaj języka, za gęsto, nadmiernie". Jest gęsto, ale jestem ze starej daty, wierzę w kreacyjną siłę literatury. Bo literatura moim zdaniem powoli się osusza. Nie szuka efektów językowych, robi się bardziej sprawozdawcza, mniej kreacyjna. Ta książka to jest moje wyznanie wiary w literaturę.

„Grochów był zawsze i pozostał drzazgą w bucie Warszawy". Kusi, by sparafrazować te słowa i zapytać, czy na gruncie polskiej literatury pan się czuje taką drzazgą.

– Chciałoby się, ale to za wysokie dla mnie progi. Owszem,

eprasa.pl 456f2a29e8

często ci czytelnicy, którzy zechcą po moją książkę sięgnąć, nie mogą ugryźć tego mojego pisania. Byłem na spotkaniu w Katowicach i jeden mówi: powieść, drugi – esej, a trzeci, że proza artystyczna. Kuczok napisał, że poemat prozą, fajnie, lubię. Poza wszystkim jestem zbyt łagodny, by być czyjąkolwiek drzazgą.

Ja jestem literat nieukonkretniony.
Lubię literaturę rozbuchaną, nie lubię sprawozdawstwa.

Łagodności można było nabyć na Grochowie?

– To chyba się wzięło z dzieciństwa, z wczesnej, dziwnej relacji ze światem. Dzieciństwo miałem melancholijne, urodziłem się zaraz po wojnie. Dokładnie 11 lat później. Co to jest, 11 lat? Chwila... Jak od 2014 r. do dzisiaj. Majdan był dopiero co. Dla mnie wojna była wczoraj. Osmozy traum itd. Z mojego okna było widać drugi budynek, który jeszcze długo nosił ślady pocisków. Łagodność była reakcją na przemoc wojenną, której echa wciąż się słyszało albo czuło w powietrzu, by tak rzec.

A jak traktować tytułowe miejsce, serce dzielnicy?

– Jedna znajoma z lewego brzegu, kiedy się dowiedziała, że książka będzie się nazywała „Rondo Wiatraczna", powiedziała: „Byłam tam raz, jakiś absurd!". To było i jest centralne miejsce Grochowa. Tam wszystko się zaczynało, trzeba było przejść przez rondo. Ale ono jest w książce figurą dwoistą. Z jednej strony – jak każde koło – doskonałą, domkniętą. Z drugiej – koło to zamknięcie, więzienie, miejsce, z którego nie da się wyrwać. Ale zarazem trzeba się wyrwać. U mnie trwało to 50 lat. Wyrywałem się na krótko, a mentalnie wcale nie. Chciałem, ale nie umiałem. To jest moje miejsce, które mnie ukształtowało. Proszono mnie wiele lat temu, żebym napisał książkę o moim miejscu: może Grochów, może Paryż, który znam prawie na wylot. O Paryżu bym nie umiał.

O Śródmieściu by pan umiał?

– O lewym brzegu też bym nie potrafił napisać w ten sposób. Chociaż wystarczająco długo tu mieszkam, i to w miejscu dosyć dla mnie szczególnym. W czasie studiów moja znajoma mieszkała na Polnej, razem z przyjacielem do niej chodziłem. Oni stali się parą, ja byłem ten trzeci, także w dziewczynie zakochany. Pamiętam wieczór, jak siedzą zamknięci w pokoju, doszło do wymiany zdań, to nie była spokojna para. Siedziałem w kuchni, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, i wypiłem całą butelkę trójniaka. Wyszedłem na ulicę, tam było wtedy puste pole, i bardzo źle, bardzo otchłannie się poczułem; oszczędzę szczegółów. Dokładnie w tym miejscu teraz mieszkam. Tam, gdzie zapłaciłem otchłanią smutku za zawiedzioną miłość. W mojej Warszawie może nie ma przypadków. Pan zaznaczy, że się śmieję.

Mateusz Demski

KSIĄŻKI

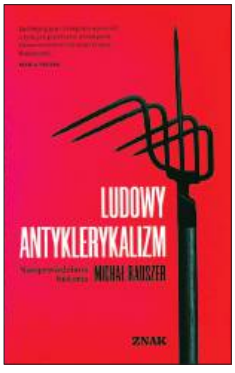

Michał Rauszer
Ludowy antyklerykalizm
Nieopowiedziana historia
Znak, Kraków 2023

Może to zaskakiwać, ale Polska była przez wieki krajem wierzących antyklerykałów. Chłopi przeciwstawiali się księżom z powodu pańszczyzny, zamiast na mszę chodzili do karczmy. Chętnie obśmiewali przywary kleru: chciwość, pijaństwo, rozpustę. Praktyki religijne organizowali po swojemu, często na przekór hierarchii, choć nie wbrew wierze.

Sytuacja zmieniła się w okresie PRL, gdy Kościół sam stał się częścią antystruktury wobec hierarchii partyjnej władzy, częścią wspólnoty, w której ludzie czuli się równi i nawet niewierzący odnajdywali się wówczas w Kościele jako przestrzeni wolności.

Dziś ludowy antyklerykalizm powrócił z nową siłą. Karnawałowy żart coraz częściej przeradza się jednak w wyraźny bunt wobec władzy Kościoła. Z ludowych przyśpiewek, robotniczych wystąpień, transparentów na Strajku Kobiet i internetowych memów z papieżem wyłania się nieopowiedziana dotąd historia polskiego stosunku do Kościoła, biskupów i religii.

(es)

Henryk Waniek
Silesius
Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej
Katowice 2024

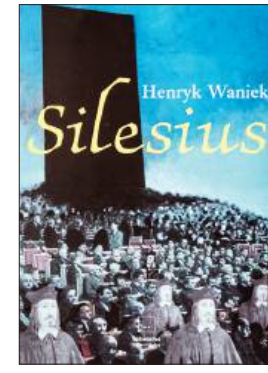

Związany ze Śląskiem malarz, prozaik, eseista, krytyk sztuki przedstawia kolejną książkę, w której tytule podkreślony jest związek autora ze śląskością. Wszak jego twórczość pisarska jest odbiciem fascynacji i zainteresowań ezoterycznych i historiozoficznych związanych ze Śląskiem, wpisanych w skomplikowane dzieje tych ziem. Czytelnik otrzymuje hipnotyczną i medytacyjną prozę na czas, w którym nie potrafimy się zatrzymać. Nieśpieszna opowieść o naukowcu wygłaszającym wykład na temat Angelusa przenosi nas w świat spokoju, uważności na ludzi oraz własne wnętrze, ale także do XVII-wiecznej Europy – Strasburga, Lejdy, Padwy, Breslau i na Dolny Śląsk – gdzie rozgrywają się kolejne epizody z życia Johannesa Schefflera. W narracji splatają się trzy opowieści – pierwsza to reminiscencja z życia wykładowcy pełne przywoływanych postaci niegdysiejszych znajomych i przyjaciół, druga to historia Angelusa Silesiusa, a trzecia to wątek tajemnicy.

(es)

eprasa.pl 456f2a29e8

NA EKRANACH

Liczy się detal

Zaczyna się zwodniczo. Na początku „Skrzyżowania" obserwujemy idylliczną codzienność Tadeusza (znakomity Jan Englert). Ten 80-letni mężczyzna, niegdyś ordynator szpitala, zdaje się mieć wszystko: kochającą żonę (Anna Romantowska), szczęśliwą rodzinę i spokojną emeryturę. Kiedy na tytułowym skrzyżowaniu bierze udział w tragicznym wypadku, postanawia uporządkować swoje życie i skonfrontować się z nierozliczoną przeszłością oraz rodzinnymi tajemnicami. W wywiadzie udzielonym „Przeglądowi" Englert tłumaczył, że Tadeuszowi ten wypadek pozwala „spojrzeć na świat pod zupełnie innym kątem". To kino bazujące na detalu, w którym ekspozycja opiera się na zniuansowanych gestach aktorów, mimice i tym, co wypowiedziane (albo i nie). „Skrzyżowanie" zadaje wiele trudnych pytań, aczkolwiek na żadne nie pragnie udzielać odpowiedzi. Widzowie na własną rękę będą musieli rozszyfrować scenariusz.

Jan Tracz

„Skrzyżowanie", reż. Dominika Montean-Pańków, prod. Polska, już w kinach

MIĘDZY OKŁADKAMI

Shō Ishida
Zaleca się kota
tłum. Dariusz Latoś
Marginesy, Warszawa 2025

Niełatwo znaleźć to miejsce, czasem wcale się nie udaje. Ciemny zaułek w centrum Kioto, ponury budynek, czwarte piętro bez windy. Cały personel poradni to lekarz i pielęgniarka. Czekają na umówionych pacjentów, ale że ci jakoś się nie zjawiają, przyjmują takich, którzy przychodzą „z polecenia" kogoś, kto zna kogoś... Chętnie pomogą, byle nie trafić na moment, kiedy się raczą herbatką z kocimiętki. Recepta jest zawsze podobna: kot, do stosowania na początek przez kilka dni. I „będziemy obserwować". To specyficzna felinoterapia, trochę baśniowa, trochę nawet z dreszczykiem, o wymiarze metafizycznym. Skuteczność murowana, zwłaszcza w wywoływaniu uśmiechu – u czytelnika przede wszystkim.

Aleksandra Pańko

KURTYNA W GÓRĘ

Ferdydurke bokiem

Przestrzeń Och-Teatru narzuca swoje reguły publiczności i aktorom. Widzowie oglądają spektakl po obu stronach sceny – tutaj nie ma problemu przezwyciężania tzw. czwartej ściany, od razu znosi się trzecią i czwartą. Trzeba grać bokiem, raz trochę bardziej w lewo, raz bardziej w prawo, aby publiczność mogła zobaczyć, co się dzieje między postaciami. Ten nieco dziwny sposób grania przylega idealnie do adaptacji „Ferdydurke" w reżyserii Mariusza Malca, który ostentacyjnie odsłania jej groteskowe wnętrze.

Charakterystyczne dla pisarstwa Gombrowicza przerysowanie, celowe wykoślawienie sytuacji i postaci znajduje wyraz w zastosowanych środkach. Każda postać demonstruje swój nadmiar albo niedoczynność, swój ostro wydobyty rys osobowości w rytmie, wymowie, geście. Wszyscy przecież są upupieni i jedynie 30-letni Józio (w tej roli Krzysztof Szczepaniak) przymuszony do powtórki edukacji szkolnej walczy z tą dziką, pleniącą się formą. Ale też z formą, bez której nie byłoby tego przedstawienia.

Aktorzy tworzą widowiskowe figury, z nieznoszącą sprzeciwu Młodziakową Marii Seweryn na czele. A zresztą każdy tu zasługuje na pochwały, bo postacie kreślone osobno i zestrojone w chórach prezentują się fantastycznie – dość wspomnieć kantatę na cześć pupy. Spektakl spaja towarzysząca mu narracja muzyczna cały czas obecnego na scenie Karima Martusewicza.

Nie ma wątpliwości, że „Ferdydurke" to wciąż aktualny komentarz do naszych zapóźnień i kompleksów.

Tomasz Miłkowski

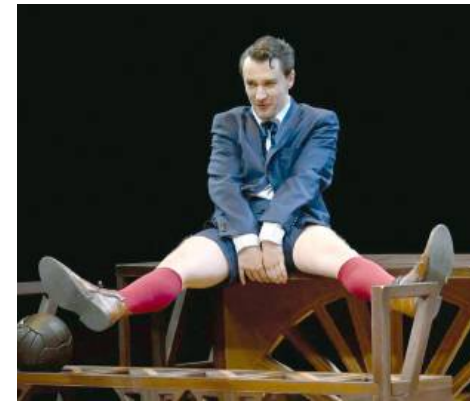

Witold Gombrowicz, „Ferdydurke", reżyseria Mariusz Malec, Och-Teatr, premiera 28 lutego 2025

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. ROBERT JAWORSKI, KINO ŚWIAT (3), MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 456f2a29e8

Oko w oko

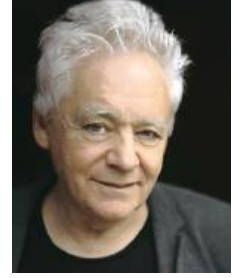

Tomasz Jastrun

Mów mi wuju

Andrzej Duda popiera Karola Nawrockiego, robi to jednak nie z przekonaniem, lecz z wyrachowania. Wie, że jeśli Nawrocki zostanie prezydentem, to na jego tle bardzo zyska i nawet dzisiejsi wrogowie będą go wspominać z rozrzewnieniem. To, że Mentzen goni Nawrockiego i lawinowo przybywa zwolenników Konfederacji, może niepokoić. Jeśli Mentzen przegoni Nawrockiego w wyścigu o pierwszą turę, jestem pewien, że w drugiej prezes zagryzie zęby i będzie nawoływać do głosowania na Mentzena. Może nawet zasugeruje, że to brat, chociaż nie bliźniak, ale duchowo pokrewny.

Niedawno Mentzen zwierzył się: „Nie powinno się zabijać niewinnych dzieci. Nawet jeżeli to niewinne dziecko sprawia komuś wielką traumę. Nie mamy prawa zabić innego człowieka tylko dlatego, że ten człowiek sprawia nam przykrość, że jest dla nas nieprzyjemny, że może bardzo zaszkodzić naszemu życiu. Nie zabijamy niewinnych ludzi", mówił o aborcji w przypadku ciąży powstałej w wyniku gwałtu. Mentzen właśnie wbił sobie nóż w brzuch, gwałt jako nieprzyjemność. Tak powstał nowy eufemizm. „Co ci się stało, żeś taka smutna? Spotkała mnie nieprzyjemność".

Generalnie gwałciciele to ci obcy, imigranci. I jakże często kobiety wrabiają biednych facetów w gwałt. Nie wolno ufać kobietom. Zresztą kobieta nie powinna za dużo się ruszać, jej miejsce jest w kuchni. W kuchni nikt jej nie skrzywdzi. A ochrona zdrowia płatna, studia też. I pomyśleć, że milionom wyborców ten niewielki człowieczek, trochę przypominający prosiaka, bardzo się podoba. Sprawnie pływa w internecie. Mój syn 14-latek powtarza bzdury, które gada Mentzen, i jak w sklepie z zabawkami wybiera z jego gadania, co mu się podoba. Że niskie podatki, że Trzaskowski winien, że zbudowano muzeum klocek. To są takie klocki propagandowe, równo ucięte, można się nimi dowolnie bawić.

•

Brytyjski pisarz Nate White pisze prozą niemal ironiczny poemat o Trumpie. Oto małe fragmenty: „Trumpowi brakuje pewnych cech, które Brytyjczycy tradycyjnie cenią. Na przykład nie ma klasy, uroku, opanowania, wiarygodności, współczucia, dowcipu, ciepła, mądrości, subtelności, wrażliwości, samoświadomości, pokory, honoru i wdzięku – wszystkich tych cech, którymi hojnie został obdarzony jego poprzednik, Obama". W finale tekstu: „W końcu nie da się przeczytać jednego jego tweeta, usłyszeć jednego czy dwóch zdań tego człowieka, by nie widzieć w nich otchłani. (…) Jest Picassem małostkowości; Szekspirem gówna. (…) Nawet jego wady mają wady itd. w nieskończoność. Bóg wie, że na świecie zawsze byli głupi ludzie, a także mnóstwo paskudnych ludzi. Ale głupota rzadko była tak paskudna, a paskudztwo tak głupie. (…) Gdyby Frankenstein postanowił stworzyć potwora złożonego wyłącznie z ludzkich wad – stworzyłby Trumpa".

Myślę podobnie, ale rodzi się tu pytanie, kim są ludzie, którzy na niego głosowali, co to za społeczeństwo, które chciało mieć takiego prezydenta. Przecież Trump nie ukrywał, kim jest, żadnego kamuflażu, niósł wszystkie swoje organy jak na dłoni.

•

Obok zwiększenia środków na zbrojenia i przygotowań na wypadek inwazji ze wschodu propaganda rządu chwali się, jak dzielnie broni nas mur i 11 tys. żołnierzy. Nawet mysz się nie prześliźnie. A przecież pamiętamy, jak dawna opozycja krytykowała PiS za nieludzki stosunek do uchodźców, za cofanie ludzi, wyśmiewano stawianie muru na granicy. Teraz ten mur jest wzmacniany i chwalony, wchodzi nawet rozporządzenie zawieszające prawo do składania wniosków o azyl. Taka bywa niestety polityka. Politycy naruszają własne zasady, tłumacząc się szeptem, że robią to dla sprawy – teraz tą sprawą jest ocalenie demokracji. Przecież jeśli prawica wygra, będzie katastrofa. Większość Polaków boi się uchodźców. Nie da się więc wygrać wyborów, lekceważąc ich poglądy. Nie odrzucam takiego rozumowania, jest zdroworozsądkowe, zatem polityczne, a zdrowy rozsądek i polityka zawierają różne pakty i kompromisy z moralnością.

Za sprawą Mentzena powstał nowy eufemizm: „Co ci się stało, żeś taka smutna? Spotkała mnie nieprzyjemność".

•

Sceny i scenki polskie. Wielki Giertych na mównicy sejmowej i malutki, okrągły, wzburzony prezes przy nim wyglądają kuriozalnie. „Zostałem nazwany sadystą przez pana Jarosława Kaczyńskiego. (...) Jarku, siadaj spokojnie, uspokój się", mówi Giertych. „Nie jestem z tobą po imieniu, łobuzie!", woła Kaczyński. Na co Giertych, który niedawno odkrył, że jest spowinowacony z prezesem: „Jarku, mów mi wuju". Posłowie PiS gromadzą się wokół trybuny, krzyczą: „Złaź z mównicy, złaź, morderco!". Jeden krok i dojdzie do mordobicia. To będzie wiral roku. Po co w Polsce kabaret? Życie układa najlepszy. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 456f2a29e8

Cegły z ostatniego familoka

Kolonie robotnicze czekają na drugie życie. Nie wszystkie miały tyle szczęścia, ile Nikiszowiec

Kamil Iwanicki

Familoki fascynują mnie od kilku lat. Zbieram archiwalne i współczesne zdjęcia kolonii robotniczych, szukam historii osiedli. Ciekawią mnie wspomnienia i opowieści mieszkańców familoków, to, jak wyglądało codzienne życie w domach robotniczych. Dlaczego to dla mnie tak ważna kwestia? Zdaje mi się, że familoki stanowią esencję Śląska z chlywikami (budynkami gospodarczymi), hasiokami (śmietnikami) i klopsztangą (trzepakiem). Tu przetrwały lokalne tradycje i zwyczaje, które są unikatowe na Śląsku. Staram się zachować i utrwalić chociaż namiastkę tych mikroświatów. To trudne zadanie, bo już od pewnego czasu te śląskie mikrokosmosy znikają na naszych oczach.

Wszystko zaczyna się pod koniec XVIII w., gdy powstaje Królewska Odlewnia Żeliwa w Gliwicach. Friedrich Wilhelm von Reden już w trakcie budowy huty myśli o zapewnieniu lokum dla pracowników zakładów. Tak powstają pierwsze skromne domy przy dzisiejszej ulicy Robotniczej. Żaden z tych pierwotnych familoków nie przetrwał, ostatnia ledwo stojąca chałupa robotnicza została wyburzona w latach 70. XX w. Z początków ery przemysłowej na Górnym Śląsku zachował się relikt dawnej kolonii robotniczej powstałej przy Królewskiej Hucie. Przy ulicy Kalidego w Chorzowie stoją skromne ciemnoszare domki przypominające o odległych początkach osady robotniczej, która z czasem przeistoczyła się w ogromny ośrodek miejski. Budynki powstały z wielkopiecowego żużlu i wapna, do ich postawienia wykorzystano odpady z huty. Z niemal 20 familoków do dziś przetrwało jedynie pięć domów, w tym jeden dawny budynek urzędniczy.

Wiek XIX to okres dynamicznej industrializacji Górnego Śląska. Przemysłowcy stawiają huty, kopalnie zaczynają fedrować coraz głębiej, budowane są koksownie i fabryki. Przy zakładach przemysłowych wznoszone są tanie w budowie domy robotnicze. Kilka, czasem kilkanaście familoków, by zapewnić lokum masom przybywającym do pracy. Koncerny przemysłowe zauważają, że domy robotnicze pozwalają przyciągnąć i utrzymać na dłużej pracowników, którzy są tak potrzebni do funkcjonowania nowych zakładów. Dzięki koloniom zmniejsza się rotacja robotników. Rodziny przywiązują się do jednego pracodawcy na pokolenia. Kobiety w codziennych obowiązkach domowych korzystają z pomocy piekarnioków (pieców piekarniczych), pralni i mangla (magla), które budują dla swoich pracowników zakłady przemysłowe. Przy robocie w takich miejscach rodzi się okazja na klachy (rozmowy, plotki) na różne tematy.

Mieszkańcy familoków dobrze się znają, tu kojarzy się każdego sąsiada. Wolny czas spędza się z innymi familiami, które często zna się od pokoleń. Bajtle (dzieci) bawią się na placu (podwórku) przy klopsztandze (trzepaku). Chodzą razem do szkoły, a gdy podrosną, ruszą śladem rodziców do pracy na grubie (kopalni) albo do werku (huty). I tak przez dekady.

Familoki chowają się w cieniu pieców hutniczych i szybów kopalnianych. Ceglane pudła rosną jak grzyby po deszczu, znajdziemy je od Gliwic po Katowice i Rybnik. Domy robotnicze powstają nawet za Brynicą, w Czeladzi, Sosnowcu i Dąbrowie Górniczej, które były wówczas częścią zaboru rosyjskiego. Wraz z rozwojem przemysłu wzrasta konkurencja między zakładami, by utrzymać pracownika u siebie, co zmusza przemysłowców do budowania coraz większych osiedli i dzielnic robotniczych. Ustawa osiedleńcza i budowlana uchwalona w Prusach w 1904 r. nakłada na koncerny obowiązek zadbania o mieszkania dla pracowników. Budynki muszą być podłączone do kanalizacji i wodociągów, a w koloniach pracodawcy są zobowiązani do zasponsorowania budynku szkolnego dla dzieci. Pracownikom, zarówno robotnikom, jak i urzędnikom, zapewniano nie tylko mieszkanie. Finansowano też szkoły, przedszkola, sklepy, gospody, parki, szpitale i kasyna, ale nie takie w dzisiejszym znaczeniu – były to miejsca spotkań dla mieszkańców zrzeszonych w różnych stowarzyszeniach, restauracje i sale koncertowe, innymi słowy: budynki społeczno-kulturalne.

> Familoki stanowią esencję Śląska z chlywikami (budynkami gospodarczymi), hasiokami (śmietnikami) i klopsztangą (trzepakiem).

Ceglany familok z czerwoną framugą okienną stał się ikoną Górnego Śląska. Przez prawie 150 lat ery industrialnej od końca XVIII w. w regionie powstało niemal 200 kolonii robotniczych. Osiedla budowano w różnych stylach architektonicznych. Były inspirowane rozmaitymi koncepcjami urbanistycznymi. Różnorodność założeń tworzy ciekawą mozaikę. Początek XX w. to swoisty

eprasa.pl 456f2a29e8

Ceglany familok z czerwoną framugą okienną stał się ikoną Górnego Śląska.

złoty wiek familoków. Wówczas powstały największe kompleksy mieszkaniowe będące samowystarczalnymi miasteczkami dla robotników: Nikiszowiec, Giszowiec, Zandka i Bobrek. (…)

Giszowiec znika

Po II wojnie światowej potrzeby i problemy mieszkaniowe w regionie były ogromne. Jedną z odpowiedzi miały być domki fińskie – małe, tanie, drewniane i szybkie w budowie konstrukcje. W wielu śląskich miastach stawiano ich setki. Budowano je w Katowicach, Siemianowicach. Wiele z nich przetrwało w Bielszowicach w Rudzie Śląskiej i Miechowicach w Bytomiu. Ich kariera była krótka, bo w kolejnych dekadach dominowały bloki z wielkiej płyty.

Górny Śląsk przyciąga masy do pracy w kopalniach i hutach. Młodzi robotnicy przyjeżdżają tu z całej Polski. Nadciągają w nadziei na lepsze życie i dobrze płatną pracę. Własne mieszkanie, wyższe płace i pełne półki w sklepach dla górników to wówczas kusząca zachęta do pracy w przemyśle. Przyjezdni z całej Polski trafiają najpierw do wulców, czyli hoteli robotniczych, ale żeby zaspokoić ogromny głód mieszkaniowy, na wielką skalę buduje się osiedla z dziesiątkami bloków mieszkalnych.

Częstym widokiem stają się sąsiadujące ze sobą stare ceglane familoki i nowe bloki z wielkiej płyty. Blokowiska mogą pomieścić znacznie więcej rodzin niż stare osiedla robotnicze. Mieszkania mają lepszy standard niż gdzie indziej, kuszą centralne ogrzewanie, toalety i łazienki. Miejsce dawnych kolonii robotniczych zajmują bloki – dzieje się tak w Katowicach, Szombierkach w Bytomiu i Sosnowcu. Na Bobrku nie ma miejsca na budowę bloków, więc powstają familokobloki, ceglano-betonowe potworki. Do kilku starszych domów robotniczych dobudowano dodatkowe piętra, co daje przedziwny efekt.

Do najbardziej drastycznej walki dwóch światów dochodzi w Katowicach na Giszowcu, gdzie kolonia robotnicza z małymi domkami tonącymi w zieleni musi walczyć o przetrwanie z dziesięciopiętrowymi blokami. Jeszcze na początku XX w. Gieschewald (Giszowiec) uznawany jest za przykład wzorcowego osiedla.

„Giszowiec to cacko architektoniczne. Osiedle dla 5 tys. mieszkańców zbudowano w lesie, który zakupiło towarzystwo Giesche i Spadkobiercy za 30 mln marek. Miliony ludzi byłyby szczęśliwe, gdyby mogły mieszkać w tych małych, ale zawsze tylko dla dwóch rodzin przewidzianych, domkach. Każda rodzina ma własne wejście do mieszkania, własny, dobrze wypielęgnowany ogródek, a w obrębie osiedla leżą rozdzielone obszernymi płaszczyznami, które umożliwiają wszędzie dostęp światła i powietrza, kompleks spożywczy, budynek administracji, lokale rozrywkowe, place gimnastyczne i zabaw. Wszystko zbudowano we wspaniałym lesie o mieszanym drzewostanie iglastym i liściastym. To osiedle robotnicze stało się celem wycieczek ludzi z dalszej okolicy, gdyż stanowi dowód na to, co można stworzyć, o ile się ma dostateczne środki do dyspozycji”.

Wszystko się zmienia, gdy w 1959 r. w pobliżu kolonii robotniczej zostaje otwarta kopalnia Staszic. Początkowo na pustych parcelach trwa budowa niskich bloków dla nowych górników. Powstają z boku, nie ingerując w życie osiedla. Jednak to wciąż za mało mieszkań dla ciągnących tu z Polski mas górników i inżynierów. Pod koniec lat 60. kopalnia zleca przygotowanie ekspertyzy. Wynik jest prosty – zachowanie starej kolonii Giszowiec nie ma podstaw ekonomicznych. Miejsce małych domków mają zająć wieżowce mogące pomieścić kilkakrotnie

eprasa.pl 456f2a29e8

większą liczbę mieszkańców. Kopalnia uzyskuje zgodę władz, więc kolejna dekada mija pod hasłem wielkiej modernizacji. Stara zabudowa stopniowo znika, by zrobić przestrzeń dla wielkich jednostek mieszkalnych.

Nikt nie pyta o zdanie mieszkańców dawnego Gieschewald. Informacja o przeprowadzce do bloku pojawia się, gdy już trwają pierwsze wyburzenia. Na Giszowcu żyją rodziny związane z tym miejscem od kilku pokoleń, wiele z nich od samego początku istnienia kolonii. Część osób cieszy się, że otrzyma mieszkanie w nowoczesnym standardzie, ale nie wszyscy potrafią się pogodzić ze zmianą. Koniec Giszowca ukazuje w swoim filmie „Paciorki jednego różańca" reżyser Kazimierz Kutz. Fikcyjne losy emerytowanego górnika, który sprzeciwia się wyburzeniu swojego domu i wyprowadzce do bloku, to los, jakiego w rzeczywistości doświadczyło wiele osób.

Prasa w tamtym czasie stara się ukazać dawną zabudowę jako stare rudery, bloki zaś nazywane są nowoczesnym, a czasem nawet pięknym osiedlem. Władze komunistyczne chcą raz na zawsze wykreślić Giszowiec z map. Dlatego 15 listopada 1979 r. dzielnicy zostaje nadana nowa nazwa: osiedle im. Stanisława Staszica. Ma to być kolejny wzorcowy socjalistyczny kompleks. Dawnej kolonii nie postrzegano wówczas jako zabytku, ale sytuacja powoli zmienia się pod koniec lat 70. XX w., do czego przyczynia się coraz większa presja społeczna.

W 1978 r. objęto ochroną zachowaną centralną część osiedla. Ponad 40 domów i plac Pod Lipami, przy którym stoją konsum (sklep), szkoła i gospoda. Jednak wpis do rejestru zabytków nie pomógł uchronić od likwidacji pozostałej zabudowy, która nie była chroniona prawnie. Jeszcze do 1987 r. trwały ostatnie wyburzenia domów. Wówczas podjęto decyzję, że należy zachować te, którym udało się przetrwać, i one też zostały wpisane do rejestru zabytków. Ostatecznie z pierwotnego osiedla przetrwała jedynie jedna trzecia budynków.

Bezpowrotnie zlikwidowano perełkę kolonii robotniczych z początku XX w., która była dokładnie zaplanowana i stanowiła wyjątkowy przykład osiedla wzorowanego na idei miasta ogrodu. Raz na zawsze utracono układ urbanistyczny i unikatowy charakter tego miejsca zanikł. Dziś, spacerując po ulicach Giszowca, można trafić na parterowe domki sąsiadujące z potężnymi, ponaddziesięciokrotnie wyższymi blokami. Los Giszowca odzwierciedla dość powszechne w powojennej rzeczywistości podejście do kolonii robotniczych. Przez komunistyczne władze dawne osiedla uznawane są za bezwartościowe relikty niemieckiego kapitalistycznego wpływu na Górny Śląsk, nie dostrzega się w tej zabudowie żadnej wartości zabytkowej. (…)

Koniec końca familoków

Historia miała duży wpływ na zmiany życia mieszkańców familoków w XX w. Przełomowych dat można wskazać kilka. Najpierw podział Górnego Śląska w 1922 r., kiedy część osób decyduje się przenieść na polską bądź niemiecką stronę zależnie od narodowości, odczuć i poglądów politycznych. Po kilkunastu latach wojna, która tak naprawdę dociera na Górny Śląsk w styczniu 1945 r. Wcześniej synowie, bracia i mężowie trafiali do Wehrmachtu, ale to się działo kajś (gdzieś) indziej, w wielkim świecie, a nie tu. Natomiast wraz z wyzwoleniem przez radziecką armię nadchodzi seria rabunków, morderstw, gwałtów i wywózek. Urzędnicy i wielu Niemców wyjechali już wcześniej, obawiając się agresji Sowietów. Osoby, które zostały na miejscu, nie mają łatwo: kobiety muszą się ukrywać w piwnicach, na strychach, cmentarzach, ale często i to nie pomaga, żołnierze mszczą się na tych dziewczynach, matkach, córkach za całą wojnę.

Rok 1945 to czas graniczny. Dochodzi do dużych zmian w koloniach robotniczych. Kończy się okres patronatu niemieckich przemysłowców, którzy jeszcze niedawno budowali tu osiedla. Ze wschodu przychodzą nowi opiekunowie, którzy chcą wynieść na piedestał klasę robotniczą. Wówczas z Górnego Śląska wyjeżdżają tysiące ludzi. Wielu niemieckich Górnoślązaków zostawia swoje mieszkania, biorą najpotrzebniejsze rzeczy i decydują się na emigrację, jak rodzina Janoscha. Mimo niezabliźnionych głębokich ran, trwałych śladów po kulach (do dziś są widoczne m.in. na zabrzańskiej Zandce) i traumy familoki trwają dalej. Zmieniają się nazwy miast, kopalń i hut, a język niemiecki musi zniknąć z przestrzeni publicznej. Jest on jednak wciąż obecny w wielu domach i na ścianach kamienic, mimo prób zamalowywania nie udaje się ukryć śladów Oberschlesien.

Większość mieszkańców kolonii zostaje na miejscu, to jest przecież ich Heimat. Myślą: wszak tu granica zmieniała się już kilka razy, więc pewnie Niemcy i tak zaraz wrócą. Przez kolejne dekady trwa powolny exodus Górnoślązaków do Republiki Federalnej Niemiec, za lepszym, normalnym życiem. Trawi ich dojmująca tęsknota za życiem w Rajchu. Przyjezdni Polacy traktują Ślązaków jak zdrajców, nie ufają im, zabierają pracę i walczą z godką w szkole i urzędach. Wiele osób przestaje się czuć jak u siebie. Nie wiedzą już, gdzie jest ich miejsce. Ludzie latami starają się o pozwolenie na wyjazd do Niemiec. Największa migracja następuje w latach 80., gdy PRL serwuje obywatelom wielkie kolejki, puste półki i wszechobecną propagandę sukcesu socjalizmu. Wtedy wyjeżdża ponad pół miliona osób. Zostawiają swój Heimat, by zacząć nowe życie na Zachodzie.

Lata 90. to czas transformacji gospodarczej, niepewności, co dalej, gdy na Górnym Śląsku trwa wielki upadek przemysłu. Zamknięcie hut i kopalń przynosi mieszkańcom kolonii wzrost bezrobocia i ubóstwo. Miejsca pracy, zakłady przemysłowe, w których rodziny były zatrudniane

Mieszkańcy familoków dobrze się znają, tu kojarzy się każdego sąsiada. Wolny czas spędza się z innymi familiami, które często zna się od pokoleń.

eprasa.pl 456f2a29e8

Giszowiec, osiedle amerykańskie.

przez pokolenia, znikają. Przyszłość rysuje się w czarnych barwach. Kopalnie i huty nie tylko dbały o domy, ale też finansowały festyny czy powstawanie i utrzymywanie ośrodków kultury, parków i przychodni. Dawne osiedla robotnicze popadają w ruinę, a społeczności lokalne w marazm. Nikt nie dba o stan techniczny familoków ani kondycję społeczną dawnych robotników. Trwające przez dekady społeczności zaczynają się coraz bardziej rozpadać. O koloniach krążą opinie, że to patologiczne środowisko i lepiej tam się nie zbliżać. W Świętochłowicach od lat złą sławą cieszą się Lipiny. W mediach straszy się opowieściami o przeklętej dzielnicy. Lepiej się do niej samemu nie zapuszczać. Opowiadane są żarty o psach z Lipin, które są albo szybkie, albo smaczne. (...)

Bobrek zostaje jedną z najbogatszych gmin w okolicy. Już od połowy XIX w. powstają tu familoki, a na początku XX w. wybudowana zostaje Nowa Kolonia Robotnicza, gdzie postawiono ponad sto piętrowych domów w charakterystycznym stylu. Między nimi znajdowała się wspólna przestrzeń sąsiedzka, tam na ławeczkach siedziały starziki, a po placach biegały niesforne bajtle. Rytm dnia wyznacza syrena nawołująca robotników na szychtę o szóstej, czternastej i dwudziestej drugiej. Z domu mieli zaledwie kilka kroków do pracy.

Ten mikroświat kończy się w 1994 r., kiedy Huta Bobrek ogłasza upadłość. Nastaje kres prawie 150-letnich tradycji. To czas szczególnie trudny dla wielu rodzin, którym nie jest łatwo dostosować się do nowej rzeczywistości. Problem ze znalezieniem pracy dziedziczą kolejne pokolenia. Gdy zamyka się huta, znika z dzielnicy kino, dom kultury, biblioteka i liceum. Do dziś widać, że wielu młodszych mieszkańców wciąż jest zagubionych. Co jakiś czas dochodzi do dewastacji, zniszczeń i pożarów, takich jak spalenie opuszczonego drewnianego kościoła ewangelickiego w 2014 r. – zawiniły dzieci bawiące się zapałkami. W ostatnich latach spłonął też budynek dawnego kasyna i szpitala. W mieszkaniach socjalnych na Bobrku i Lipinach umieszczani są niepewni lokatorzy, którzy niszczą, wyprzedają wyremontowane lokale i uciekają. Mieszkańcy do dziś mają o to żal do władz miasta.

Lipiny i Bobrek stoją dzisiaj przed wieloma wyzwaniami. Zły stan techniczny familoków, straszące opuszczone budynki, nie najlepsza reputacja, ale najważniejsza rzecz to bierność lokalnych społeczności, które trzeba pobudzić do działania, do zadbania o swoją najbliższą okolicę. Od kilku lat trwają remonty kolejnych budynków w dawnych dzielnicach robotniczych. (...) Dawne dzielnice robotnicze – Załęże, Lipiny, Bobrek, Chropaczów w Świętochłowicach – przez wielu uznawane są za miejsca przeklęte i niebezpieczne, ale dziś są to już podkolorowane, nieprawdziwe opinie. To osiedla z ciekawą historią, wartą uwagi architekturą i dużym potencjałem, znajdujące się w samym środku metropolii. Przyciągają fanów śląskich klimatów, familoków, kamienic z początku XX wieku i postindustrialnych obiektów, którzy potrafią dostrzec kryjące się w tym marasie (brudzie) piękno.

Familok stał się symbolem śląskiego domu. Jednak to też pewien stereotyp związany z postrzeganiem Górnego Śląska jako krainy górników i hutników – dziś już dość daleki od prawdy. Familoki zaczęły się zmieniać. Współcześnie może w nich mieszkać każdy, kto kupi tam mieszkanie. Dawne mikroświaty, w których znało się wszystkich sąsiadów, zniknęły bezpowrotnie. Kolonie robotnicze czekają na swoje drugie życie. Nie wszystkie miały tyle szczęścia, ile ten nieszczęsny Nikiszowiec. Każda musi się wymyślić na nowo.

Fragmenty książki Kamila Iwanickiego *Śląsk, którego nie ma*, Helion, Gliwice 2025

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 456f2a29e8

Zbicień z Augustowskiej Miodosytni

Michał Skoczek

Bartnictwo w charakterze profesji zanikło w XIX w., ale jako hobby ma się coraz lepiej

Miód od zawsze stanowił ważny składnik pożywienia ludzi. Wszechstronne zastosowanie, pyszny smak i właściwości zdrowotne miodu znane są od neolitu. Zanim jednak człowiek „udomowił" pszczoły i zaczął budować ule, czyli wynalazł pszczelarstwo, korzystał z naturalnych darów puszczy. Pozyskiwaniem miodu trudnili się bartnicy (bartodzieje). Dzikie pszczoły gnieździły się w naturalnych dziuplach, czyli barciach. Z biegiem czasu ludzie zaczęli wytwarzać takie dziuple np. w kłodach, które wieszali na drzewach, by zachęcić pszczoły do zbudowania tam gniazda. Bartnictwo było zawodem dziedzicznym, bardzo renomowanym i przynoszącym spore dochody. (...)

Na ziemiach polskich miody stanowiły bardzo ważny element żywienia. Gall Anonim pisał w swojej „Kronice polskiej": „Kraj to wprawdzie bardzo lesisty, ale niemało przecież obfituje w złoto i srebro, chleb, mięso, w ryby i miód". Już w XIV w. prawa bartników uznał król Kazimierz III Wielki i umieścił je w statutach wiślicko-piotrkowskich w 1347 r. Dowodem na to, że bartnictwo na ziemiach polskich było bardziej zaawansowane niż w antycznym Cesarstwie Rzymskim, jest wydobyty w 1901 r. z Odry dąb. Miał on na wysokości 5 m od korzeni dziuplę dla pszczół, wykonaną rękami człowieka. Wiek barci oceniono na 2030 lat, czyli pochodziła z przełomu neolitu i epoki brązu!

W XV i XVI w. w granicach Rzeczypospolitej było około miliona barci, a eksport wosku pszczelego i miodu dawał państwu duże dochody. Eksploatacja lasów, wycinki, wypalanie pod rolnictwo i tym podobne praktyki przyczyniły się do spadku ilości barci. W latach 1750-1800 notowano 20 tys. zajętych przez pszczoły barci na Pomorzu Zachodnim. W Królestwie Kongresowym w 1827 r. było ich 70 tys. W 1936 r. w Puszczy Białowieskiej udało się udokumentować już tylko

eprasa.pl 456f2a29e8

68 drzew bartnych; bartnictwo było tam zakazane od 1888 r.

Bartnictwo w charakterze profesji zanikło w XIX w., ale jako hobby ma się coraz lepiej. Głównie za sprawą dwóch dżentelmenów, którzy najpierw mieli pasję, a następnie zrobili z niej sposób na życie. Piotr Piłasiewicz i Paweł Kotwica to dwaj przyjaciele, którzy stoją za projektem o nazwie Augustowska Miodosytnia i piszą o nim tak: „Idea powstania Augustowskiej Miodosytni zrodziła się z naszego zaangażowania w przywracanie bartnictwa oraz z chęci podzielenia się doświadczeniami z domowym miodosytnictwem. Tak jak w przypadku bartnictwa, miodosytnictwo to piękna staropolska tradycja wyparta z rynku i powszechnej świadomości poprzez popularyzację bardziej ekonomicznych form produkcji. Augustowską Miodosytnię otworzyliśmy, aby w sposób tradycyjny produkować miody pitne najwyższej jakości, stosując tylko naturalne surowce pozyskiwane z terenu Puszczy Augustowskiej i obszarów sąsiednich. Część zysków przeznaczamy na rozwój bartnictwa poprzez wspieranie działalności Bractwa Bartnego, z którego się wywodzimy. Receptury naszych miodów czerpiemy z bogatej tradycji miodosytniczej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Pragniemy odtwarzać smaki, które zachwycały naszych przodków. W myśl tej zasady jako pierwsi w Polsce rozpoczęliśmy produkcję zapomnianego zbicienia".

Z ich miodem zetknęliśmy się po raz pierwszy podczas wyjazdu na Suwalszczyznę w 2020 r. Zostaliśmy obdarowani butelką późnego trójniaka przez menedżerkę klasztoru w Wigrach. Podczas styczniowego wypadu do Augustowa dostaliśmy kontakt do Pawła (…). Wsiedliśmy więc w auto i pojechaliśmy na ulicę Tytoniową 9, gdzie mieści się Augustowska Miodosytnia. Budynek od razu zwraca uwagę estetyką. Zdecydowanie wyróżnia się wśród betonowych klocków rozsianych wokół sklepów, składów i hurtowni. W środku znajdziemy nie tylko sklep firmowy, ale również zaplecze produkcyjne oraz Muzeum Bartnictwa, założone przez właścicieli. Paweł oprowadził nas najpierw po muzeum, okazał się przy tym pełnym pasji przewodnikiem. Widać, że go kręci historia bartnictwa. Nic dziwnego, w końcu jest współzałożycielem Bractwa Bartnego.

„Działamy na rzecz pszczół mieszkających w naszej puszczy i dążymy do odrodzenia się tradycji bartniczych. Naszym podstawowym celem jest tworzenie barci i opieka nad nimi. To barcie bowiem stanowią naturalne siedliska pszczoły środkowoeuropejskiej linii augustowskiej. Bractwo Bartne działa na terenie Puszczy Augustowskiej od 2013 r. jako grupa nieformalna, od 2015 r. jako fundacja, skupiając kilkanaście osób zaangażowanych w przywracanie bartnictwa w północno-wschodniej Polsce. Nasze motto to: »Natura, Tradycja, Historia« i w zasadzie w tych trzech prostych słowach zamyka się kwintesencja bartnictwa – działania na rzecz leśnych ekosystemów, kultywowanie tradycji poszanowania przyrody i życia w zgodzie z naturą oraz pamięć i przybliżanie historii naszych przodków", piszą o swojej działalności twórcy Miodosytni.

Opiekują się 35 barciami i kłodami bartnymi w Puszczy Augustowskiej, na terenie nadleśnictw: Głęboki Bród, Augustów, Szczebra oraz Płaska. Swoją misję mogą realizować dzięki zebranym przekazom od ostatnich depozytariuszy tradycji bartniczych na Białorusi i w Polsce. Wiedzę czerpali także, studiując źródła historyczne i zabytki bartnicze. W 2014 r. ściągnęli i zabezpieczyli ostatnią historyczną kłodę bartną w Puszczy Augustowskiej, w tym także roku pierwsze ich barcie zapełniły się pszczołami.

Ale to nie wszystko. Piłasiewicz i Kotwica pomagają też zakładać nowe barcie w lasach na terenach Polski, Łotwy i Białorusi. Organizują szkolenia i warsztaty, tworzą przestrzeń sprzyjającą wymianie doświadczeń i współpracy innych bartników z kraju i zagranicy. Edukują i publikują. Piotr uwielbia wyszukiwać stare dokumenty na temat bartnictwa i miodu i przekładać je na język zrozumiały współcześnie. Obaj ciągle poszerzają swoją wiedzę, by przenieść ją również na działania biznesowe.

Warto wybrać się do muzeum i posłuchać, co panowie mają do przekazania. Muzeum jest malutkie, więc dużo czasu wam to nie zajmie, a zdobędziecie bezcenne informacje. Później można już przejść do sklepu, by po degustacji zakupić sobie do domu miody pitne, zbicień czy podpiwek augustowski.

A właśnie. Co to jest zbicień? Napój ten, kiedyś popularny w karczmach i domach, dziś jest prawie nieznany. Paweł opowiedział nam ciekawą historię. „Jeździliśmy na Białoruś do naszych przyjaciół, z którymi wspólnie robiliśmy barcie. Tam często słyszeliśmy słowo zbicień, zbitiel, zbic'ień... Do Augustowa przyjeżdżali także pracownicy z Białorusi i zapytałem ich, co to jest ten zbicień? Ooo, pane, dobre! Idzie w nogi od razu! Od razu się zainteresowaliśmy i zaczęliśmy grzebać w internecie, książkach i archiwach. Okazało się, że na Białorusi są dwa zakłady, które produkują zbicień, ale mnóstwo ludzi robi sobie ten napój domowym sposobem. W jednym z tych zakładów zbicień był robiony takim sposobem jak piwo i słodzono go syropem glukozowym. Bardzo to posmakowało mojej żonie, a ja uznałem, że musi być jakaś pierwotna receptura, która na pewno odbiega od przemysłowej produkcji. Dotarliśmy do zapisków, z których wynikało, że dawniej zbicień był albo czymś w rodzaju herbatki miodowej, naparem z przyprawami albo lekko przefermentowanym napojem z tego, co z naparu zostało. Zrobiliśmy dziesięć receptur według tego, jak sobie ten napój wyobrażaliśmy, powstał bardzo lekki miód, można powiedzieć,

Pragniemy odtwarzać smaki, które zachwycały naszych przodków. Jako pierwsi w Polsce rozpoczęliśmy produkcję zapomnianego zbicienia.

FOT. AUGUSTOWSKA MIODOSYTNIA

eprasa.pl 456f2a29e8

że ośmiorak, i zaprosiliśmy setkę naszych znajomych na degustację. Każdy dostał karteczkę, żeby napisać, który smak najbardziej mu przypadł do gustu. W ten sposób wyłoniliśmy dwa smaki, które również nam bardzo pasowały. Tak powstały dwa zbicienie – zbicień leśny i zbicień chmielowy".

Mieliśmy problem, żeby przypisać zbicień do jakiegoś znanego nam rodzaju alkoholu, więc zapytaliśmy Pawła. Okazało się, że i oni, jako producenci, mają ten sam kłopot! Ostatecznie polskie prawo uchyliło furtkę – zbicień nastawia się w Miodosytni jak miód pitny, ale napój nie osiąga parametrów miodu, więc został prawnie zaklasyfikowany jako... „napój winny miodowy" (sic!).

O miodach, ich smakach, odmianach, procesie produkcji, panowie mogą opowiadać godzinami. Nie chcemy was pozbawiać tej przyjemności, zachęcamy do odwiedzenia Miodosytni i posłuchania na własne uszy. My bardzo sobie cenimy również Podpiwek Augustowski, wytwarzany w Miodosytni. Obok kwasu chlebowego, podpiwek najczęściej towarzyszy nam do posiłków na Podlasiu i Suwalszczyźnie. Ten produkowany w Augustowie wyróżnia się użyciem miodu zamiast cukru, co sprawia, że świetnie smakuje i doskonale orzeźwia.

A miody pitne? Ten najszlachetniejszy trunek alkoholowy jest licznie reprezentowany na półkach sklepu. Niemal każdy nagrodzony został w jakimś konkursie, a każdy smakuje wyśmienicie. Znanym wielbicielem miodów pitnych był Zagłoba. Nie raz i nie dwa stary szlachciura przechylał kubek lub antałek wypełniony złocistym trunkiem. „Właśnie mi cyrulik miód zalecił, żeby mi melancholię od głowy odciągnęło. – Co to za czasy! – mruknął. – Chamy taki miód piją! Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz? To rzekłszy przechylił kwartę i wypróżnił ją do dna". (...)

Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej o miodach i dawnym bartnictwie, to koniecznie odwiedźcie Miodosytnię. Właściciele chętnie dzielą się wiedzą, co więcej – dwa razy do roku organizują konkursy miodosytnictwa. Prawdopodobnie w tym roku we współpracy z innymi bartnikami wypuszczą limitowaną edycję miodu pitnego. Jej wyjątkowość polega na tym, że w całości powstaje z miodu dzikich pszczół żyjących w puszczach! Trzymamy kciuki i bardzo, ale to bardzo byśmy chcieli tego miodu spróbować. Pomimo ceny, która prawdopodobnie zacznie się od tysiąca euro w górę.

Kiedy kończyliśmy pisać tę książkę, pokaźna kolekcja nagród Augustowskiej Miodosytni wzbogaciła się o dwie kolejne zdobyte na Mead Madness Cup 2024. W tym konkursie rywalizowało ze sobą 711 miodów z całego świata. Miodosytnia zgłosiła dwa miody i zdobyła dwie nagrody: MMC Champion 2023 i Berryland Revange Rhubarb. Serdecznie gratulujemy!

Fragmenty książki Michała Skoczka *U Pana Boga przy stole 2. Suwalszczyzna. Przewodnik po lokalnych przysmakach i smakach...*, Paśny Buriat, Kielce 2024

eprasa.pl 456f2a29e8

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Prefuneralia rodzinne

Mijają właśnie trzy lata, od kiedy moja przyrodnia siostra żyje z rozsianym nowotworem jelita grubego. Żyje w istocie – nie wegetuje, nie dogorywa w hospicjum, ale funkcjonuje samodzielnie, a nawet dziarsko; zabieram ją regularnie do kina, teatru lub filharmonii, sama śmiga po galeriach handlowych. Można powiedzieć, że im dłużej doskwiera jej rak, tym bardziej się z nim zżyła, kolejne złowieszcze prognozy medyczne biorą w łeb, lekarze czytający wyniki jej badań myślą, że to akt zgonu, im dłużej siostra moja żyje, tym bardziej jej istnienie wymyka się rozumowi. Rodzina została jej, by tak rzec, prostoduszna, z empatią nieco na bakier, bo ilekroć siostra moja próbuje pogadać z córką, zięciem czy tam szwagierką o estetyce i akustyce sali koncertowej albo ikonoklastycznym wymiarze nowego spektaklu Mai Kleczewskiej, inni próbują ją sprowadzać na ziemię, zagadując w temacie pogrzebu i stypy. No bo to trzeba zaplanować jakoś, gdyby jej się nie daj boże zmarło latem, taki Jurek w sierpniu ma już wykupione Kanary, a z kolei brat z żoną na lipiec wreszcie dostali sanatorium, no bo przecież ostatni lekarze dawali jej czas do marca, więc żeby potem nie było, że trzeba wszystko odwoływać, niechże ona się w końcu zdecyduje, kiedy ma zamiar się zawinąć, czy ma tego raka, czy udaje, bo coś jej za lekko, za wesoło, a tu trzeba poukładać sobie, pozałatwiać, rodzina musi się przygotować na śmierć.

Rodzina raczej nie z tych łapczywych kulturalnie, ale jak się okazało, że siostra bywa i chadza, no to i oni w końcu chcieli dać do zrozumienia, że nie są gorsi, nawet do kina im się wybrało na jaką komedię po 20 latach, do teatru też chcieli, ale bilety za drogie, się zdziwili, że też ona nie ma na co wydawać! No tak, leki ma w całości refundowane, emeryturka niczego sobie, tak to każdy by się mógł bujać z tym rakiem latami, a przecież wiadomo, że to tak nie może wyglądać wiecznie. Dlaczego ty się nie zamartwiasz, pytają, dlaczego się nie boisz, dociekają, no i właściwie co wart jest taki rak bez cierpienia, czy ty się boga nie boisz, a możeś tyś z diobłem jakim pakt zawarła, kto cię tam wie.

Rodziny się nie wybiera, pocieszam ją, kiedy mi się żali przez telefon, że znowu któraś do niej zadzwoniła przenegocjować menu uroczystości pożegnalnej i estetykę nagrobka. Ale może zróbmy tę stypę za twojego życia, mówię. W końcu na własnym pogrzebie być nie można, czemu jednak stypa miałaby się nie odbyć z udziałem przyszłego nieboszczyka, czemuż tego pośmiertnego benefisu nie uczynić przedśmiertnym – siostra rozsiądzie się wygodnie u końca stołu i będzie słuchała, jak ją wspominają, oczywiście wyłącznie dobrze, bo o zmarłych, nawet jeśli są umarłymi *in spe*, źle mówić się nie godzi. Na Celebesie panuje zwyczaj, że dopóki nie zjedzie się komplet rodzinnych żałobników, nie można zmarłego pochować, do tego czasu udaje się, że jest żywy: balsamuje się go, ubiera odświętnie, mówi się do niego, częstuje posiłkami, traktuje jak może nieco przygaszonego i wymagającego opieki członka rodziny. Odwrócenie tego rytuału wydaje się bardziej progresywne i humanitarne, skądinąd jest praktykowane także w Polsce przy okazji ściśle tajnych aktów eutanazji – kiedy osoba śmiertelnie chora nie ma już ochoty dłużej cierpieć, zaprasza wszystkich swoich najbliższych na „ostatnią wieczerzę", aby się pożegnać, a potem przyjmuje zabójczą dawkę stosownej substancji. Widzieliśmy ten rodzaj dobrego odchodzenia w kinie, choćby za sprawą świetnej „Inwazji barbarzyńców" Denysa Arcanda czy ostatnio w nieco słabszym „W pokoju obok" Almodóvara, ale to nie bajka: choć ludzie w mroku prawa nie mogą odchodzić na własnych warunkach, wybierają światło bezprawia i czynią to wspomagani przez ukochane osoby. O ile oczywiście mieli szczęście za życia otoczyć się rozgarniętą grupą wsparcia, gotową do takiej zmowy milczenia i wolną od sadystycznych katolskich przesądów, na czele z błogosławioną wartością cierpienia, które należy poświęcić jakiejś szlachetnej intencji.

Owóż pozostałe przy życiu resztki rodziny mojej przyrodniej siostry wolne od przesądów nie są w żadnej mierze, a i dyskrecja nie stanowi ich mocnej strony, przeto zasugerowałem zorganizowanie stypy awansem, prefuneralnie, tak żeby wilki były syte i owca cała. Siostra umrze sobie kiedyś tam, jak my wszyscy, z tą różnicą, że ona już wie, na co, nie będzie musiała jednak tego robić w napięciu i pośpiechu, uzgodni się termin imprezy, żeby wszystkim pasował, jadła i napitku nie zabraknie, będzie obowiązywał *black dress code* dla zachowania pozorów, można nawet ustalić jakieś rytualne obostrzenia, że przyszła umarła nie może się odzywać przez pierwsze pół godziny, a potem mistrz ceremonii pierwszy poprosi ją do symbolicznego *dance macabre* i już wolno wszystko, hulajcie dusze i ciała. Przez taki pomost do życia wiecznego można iść tanecznym krokiem. ■

Przepraszamy

W felietonie Wojciecha Kuczoka w nr. 14 błędnie podaliśmy, że minimalna zaliczka dla powieściopisarza powinna wynosić 6 tys. zł. Tymczasem powinna ona wynosić 60 tys. zł, czego wszystkim autorom życzymy.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 456f2a29e8

Stefana Okrzei 27

Łochowska 8

WARSZAWSKIE

Tytus Brzozowski to akwarelista, absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, zafascynowany duszą miasta. Często zestawia sylwetki gmachów i ludzi, tworząc barwne, pogodne sceny z pogranicza rzeczywistości i fantastyki. Jego ulubioną bohaterką jest Warszawa. Jak sam mówi, maluje ją wyłącznie dobrze, w pracach pokazuje miasto wyłącznie pozytywnie. Pastelowe murale o surrealistycznym posmaku związane z prawdziwą historią stolicy zdobią nie tylko zewnętrzne ściany budynków, ale także wnętrza biur.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Fabryka Norblina przy Żelaznej 51/53

Aleja Solidarności 173

eprasa.pl 456f2a29e8

Karolkowa 56

Wschowska 10

KOLORY TYTUSA

Jagiellońska 36

Kijowska 1

eprasa.pl 456f2a29e8

Spanie na medal

Mikronawyki, które zmieniają jakość życia

Dr Adaira Landry, dr Resa E. Lewiss

Wielu z nas potrzebuje siedmiu-dziewięciu godzin snu na dobę. Zacznij zwracać na to uwagę. Jeżeli nie będziesz się trzymać harmonogramu i rutyny związanych ze snem, zauważysz zmęczenie fizyczne i umysłowe, chwiejność nastroju, drażliwość, spadek produktywności i zmniejszoną jasność formułowania myśli. Deprywacja snu wiąże się z poważnymi zagrożeniami dla zdrowia: stresem, otyłością i depresją. Nawet jeśli zależy ci na tym, by się porządnie wysypiać, często spotykana w miejscach pracy kultura oparta na wczesnoporannych spotkaniach może pozbawiać cię koniecznego dla zdrowia wypoczynku. (…)

ZMIEŃ NASTAWIENIE: Uspokój układ nerwowy. Zastanów się, jakie czynniki pobudzają twój umysł – mogą to być np. wiadomości oglądane późno w nocy, przeglądanie mediów społecznościowych, stresujące rozmowy z krewnymi i współpracownikami itp. – i wyeliminuj je.

ROZŁADUJ EMOCJE: Powolne głębokie oddychanie pobudza wydzielanie melatoniny i rozluźnia ciało, zmniejszając napięcie w układzie współczulnym. Postaraj się praktykować wdzięczność. Wymieniaj na głos lub wypisuj rzeczy, za które jesteś wdzięczny. Wypróbuj aplikacje wspomagające relaksację i medytację.

RÓB SOBIE PRZERWY OD STRESU: Życie rodzinne może być stresujące. Nie rób sobie wyrzutów, jeżeli przed pójściem spać nie pozmywasz lub nie przygotujesz śniadania do szkoły dla dzieci. Nie możesz zrobić wszystkiego i wcale tego od ciebie nie wymagamy. Spisz listę zadań na następny dzień na kilka godzin przed położeniem się, żeby mieć to z głowy. Jeśli dzień zapowiada się stresująco, zastanów się, które punkty da się przełożyć bądź odwołać. Zamiast tego poświęć czas na budowanie relacji z osobami z twojego otoczenia, na których ci zależy – i którym zależy na tobie. Albo spędź nieco czasu sam ze sobą.

ZWRACAJ UWAGĘ NA GODZINĘ: Postaraj się codziennie kłaść spać i wstawać o tej samej porze – również w weekendy. Unikaj całonocnego przesiadywania przed ekranem i stresowania się pracą. Jeśli twoje stanowisko wymaga pracy po 20 godzin na dobę i wypełniania arkuszy kalkulacyjnych do trzeciej nad ranem, zatrzymaj się na chwilę i zadaj sobie pytanie: „Czy to mnie uszczęśliwia? Czy to dla mnie dobre? Co sprawia, że tak często zmuszam się do tak ciężkiej pracy?”.

UREGULUJ TEMPERATURĘ OTOCZENIA: W sypialni nie powinno być ani zbyt chłodno, ani zbyt ciepło. Bardzo trudno jest zasnąć, gdy trzęsiemy się z zimna albo spływamy potem z gorąca.

OGRANICZ BODŹCE WIZUALNE I DŹWIĘKOWE: Światło i dźwięk oddziałują na sen. Jeśli masz z nim problemy, postaraj się, by w sypialni panowały ciemność, cisza i atmosfera relaksu. Zaciemnienie pomieszczenia może korzystnie wpłynąć na zdrowie psychiczne. Lekarze medycyny ratunkowej pracujący na nocnych dyżurach najchętniej wieszają w oknach zasłony zaciemniające. Bardzo skuteczne są też maski na oczy, a niektórym osobom pomagają urządzenia emitujące biały szum. Sprzęt elektroniczny, taki jak telefony czy laptopy, może rozpraszać. Nie używaj go co najmniej godzinę przed snem.

UNIKAJ POBUDZAJĄCYCH POKARMÓW I NAPOJÓW: Obfite posiłki, alkohol i kofeina mogą utrudniać zaśnięcie lub spokojny sen, a do tego powodować bądź nasilać refluks żołądkowo-przełykowy. Zrezygnuj z nich, gdy zbliża się pora snu.

ZDAJ SOBIE SPRAWĘ Z DZIAŁANIA LEKÓW: To temat rzeka, ale potraktujemy go zwięźle. Niektórym osobom – choć nie wszystkim – pomaga melatonina, hormon wytwarzany przez mózg w reakcji na ciemność. Dostępne są zawierające ją suplementy. Jeżeli uważasz, że dostępne bez recepty środki wspomagające sen nie wystarczą, porozmawiaj z lekarzem rodzinnym. Nie powinieneś pomagać sobie w zaśnięciu alkoholem ani silnymi lekami przeciwbólowymi.

ĆWICZ REGULARNIE: Na niektóre osoby najlepiej wpływa wysiłek fizyczny w ciągu dnia, na inne – wieczorem. Jeśli trenujesz wieczorami, nie forsuj się, by nie kłaść się spać z wysokim poziomem adrenaliny. Ogólnie rzecz biorąc, wysiłek fizyczny może się przyczyniać do spokojniejszego snu.

WYPRÓBUJ RÓŻNE RUTYNY: Nie trzymaj się danego schematu postępowania wieczorem, jeżeli nie jest skuteczny. (…) Nie ma jednej uniwersalnej strategii – wypróbuj różne opcje.

Fragment książki Adairy Landry i Resy E. Lewiss *Mikronawyki. Małe korekty, wielkie efekty*, tłum. Marta Komorowska, Wydawnictwo Kobiece, Białystok 2025

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 456f2a29e8

Podkowiec mały

Jak salamandra z podkowcem

Jeżeli macie zdrowe kolana i dużo czasu, w górach znajdziecie zwierzęta, o które trudno w innych częściach kraju

Marek Maruszczak

Polskie góry to nie tylko Zakopane, no i niestety Zakopane to nie tylko góry. Jeżeli jednak macie zdrowe kolana i zdecydowanie za dużo czasu, to w górach znajdziecie zwierzęta, o które trudno w innych częściach kraju. Na przykład niedźwiedzie, świstaki, a nawet salamandry plamiste. Z drugiej strony można tam też spotkać górali – sam nie wiem, co gorsze. Od wszystkich stworzeń, również górskich, powinniśmy podczas obserwacji zachować odległość przynajmniej 100 m. Wiadomo, od niedźwiedzi nawet więcej, a od salamandry jednak mniej, bo nic człowiek nie zobaczy. (…)

Jeżeli w górach – czy gdziekolwiek indziej – spotkamy zwierzaka, np. jelenia, a nawet niedźwiedzia, to oczywiście nie wolno do niego podchodzić. Jeżeli zwierzak podejdzie do nas, trzeba powoli się wycofać. Nie powinniśmy krzyczeć, ale można zacząć mówić spokojnie, żeby stwór zakumał, z kim ma do czynienia. Jeżeli do nas podszedł, to zrobił to z jednego z dwóch powodów. Albo nie wie, że jesteśmy ludźmi, i trzeba mu to uświadomić, albo wie – i to jest ta gorsza ewentualność. W takim wypadku ktoś wcześniej musiał go przyzwyczaić do ludzkiej obecności. (…)

Niedźwiedź brunatny

Kozica Bachleda-Curuś
kozica tatrzańska

Kozica to najbardziej znany symbol Tatr, zaraz po korkach na Zakopiance, kiblach po 10 zł i pobudkach na kacu w schronisku pośrodku niczego. To żywa legenda i niewyczerpane źródło inspiracji dla pokoleń tamtejszych geografów. Kozi Wierch, Kozia Dolina, Kozi Grzbiet. Może gdybyście nie mieszkali w koziej dupie, to mielibyście trochę więcej wyobraźni. (…)

Kozice mimo niesprzyjających wzorców środowiskowych (to znowu o was, górale) są całkiem towarzyskie. Żyją w grupach rodzinnych po 5-15 osobników. Ktoś uznał, że dobrą nazwą dla tych kozich spędów będzie słowo „kierdele". (…) Kozice mają rogi. I to wszystkie – zarówno żeńskie, jak i męskie. Rogi kozicy nazywa się hakami, bo są hakowato odgięte do tyłu. Ten odświeżający powiew rozsądku etymologicznego od razu sprawia, że człowiek staje się podejrzliwy. Na szczęście i górale, i kozice to solidne firmy i zawsze możemy liczyć na jakąś krzywą akcję w ich wykonaniu. Na przykład na to, że te rogate zarazy prawie zostały wytępione, bo góralskim myśliwym, czyli polowacom (serio?), bardzo przypadł do gustu zlepek niestrawionego jedzenia, wylizanych włosów i czystego zła, który powstaje w żołądku kozicy. Mowa o bezoarze, rzekomym kamieniu jelitowym, który mieszkańcy gór w swojej mądrości uznali za lek na całe zło. (…)

eprasa.pl 456f2a29e8

Owca z Erasmusa
muflon śródziemnomorski

Muflon to taka dzika owca z Korsyki. To znaczy – technicznie rzecz biorąc – jest odmianą owcy domowej, którą wcześniej ściągnięto na tę wyspę z Azji (istnieje również teoria, że muflon jest reliktem dawnego większego obszaru występowania dzikiej owcy w Europie). U nas w każdym razie hasa sobie na wolności. Skoro sobie hasa, to zgadnijcie, kto się nim interesuje? Tak jest, myśliwi, którzy od października do lutego walą do muflonów jak do kaczek. Z jednej strony muflony, sprowadzone do Polski, niszczą runo leśne i mogą naruszać rumowiska skalne, co z kolei szkodzi różnym górskim chabaziom. Z drugiej można było o tym pomyśleć, zanim ściągnęliśmy je sobie na habitat, i to w celach łowieckich.

Poza Polską różne muflony żyją np. na Hawajach i Wyspach Kanaryjskich. (…) Muflony najchętniej siedzą na niskich terenach górskich, takich do 2000 m nad poziomem morza, i żrą tam rośliny zielone, owoce, żołędzie i bukiew. Typowa dieta góralska, zanim wynaleziono płatne parkingi w Zakopanem. Zwykle muflony trzymają się w grupach zwanych kierdelami. Wyjątkiem są stare tryki, które często żyją samotnie oraz w milczeniu. Nie dotyczy to owiec, które beczą, a najstarsza z nich przewodzi stadu.

Statystyczny muflon osiąga ok. 90 cm długości i waży do 40 kg. Ma też fikuśnie pozawijane rogi. Gdyby je rozprostować, to dostalibyśmy nawet 80 cm rogu i bardzo wkurzonego muflona. (…)

Muflon śródziemnomorski

Niedźwiedź brutalny
niedźwiedź brunatny

Dzieci lubią misie, misie lubią dzieci, ale do zwyczajów żywieniowych niedźwiedzi brunatnych wrócimy za chwilę. Jeżeli chodzi o misiowe potomstwo, to występuje ono najczęściej w liczbie sztuk dwie. Zanim jednak dojdzie do porodu, który najczęściej ma miejsce w lutym, niedźwiedzica przez ok. 6-9 miesięcy nosi maluchy pod sercem, tuż obok na wpół przetrawionego turysty. Jeżeli cofniemy się jeszcze odrobinę, to popełnimy grube faux pas, bo władujemy się misiom w środek okresu godowego, który trwa od 10 do 30 dni i obejmuje niedźwiedzenie się z tak dużą liczbą partnerów, jak to tylko możliwe. I tak to właśnie jest w tym Ciechocinku.

Maluchy po urodzeniu ważą jedynie pół kilo, czyli tyle, ile przeciętny kebab na cienkim, i mniej więcej tak samo trzymają temperaturę, więc mama musi je przez jakiś czas ogrzewać całą wielką niedźwiedzicą. Po sześciu miesiącach nie taki mały miś waży już nawet 30 kg, ale nie myśli o odejściu od maminej piersi. Będzie ją eksploatował jeszcze przez kolejne dwa lata, zanim przerzuci się na jagódki oraz turystów. No dobrze, niedźwiedzie brunatne tak naprawdę rzadko jedzą turystów, i całe szczęście, bo antybiotyki i inne kancerogeny w naszych organizmach ubranych w trekkingowe ciuchy mogłyby im poważnie zaszkodzić. Misie w Polsce jedzą przede wszystkim korzonki, jagody i mięso, zarówno upolowane, jak i padlinę.

Dorosły samiec niedźwiedzia brunatnego może ważyć nawet 800 kg, chociaż w Polsce misie zwykle nie przekraczają granicy pół tony. Oficjalnie mówi się, że w naszym kraju mieszka ok. 350 przedstawicieli tego gatunku. (…) Pomyślcie sami. Po pierwsze, niedźwiedź to strasznie złośliwe bydlę. Do tego stopnia nie lubi ludzi, że nie może spać, jeżeli zima porządnie nam nie dowali. Serio, jeżeli zima jest ciepła, to misiek nie zaśnie, bo i w zasadzie po co? Niedźwiedzie zapadają w sen zimowy, ponieważ pod śniegiem trudniej o żarcie. Mogą sobie na to pozwolić, bo obżerają się podczas kolacji. Energię z tych wszystkich jesiennych przekąsek miśki magazynują w mitochondriach komórek tłuszczowych. Niedźwiedzie nawet tkankę tłuszczową mają brunatną – przynajmniej tę, którą trawią podczas snu zimowego. (…)

Nietoperz mordziaty
podkowiec mały

Podkowiec mały faktycznie jest mały. To jeden z najbardziej mikrych nietoperzy. Mierzy mniej więcej 4 cm plus niecałe 3 cm ogonka. Drugą część nazwy mamy odhaczoną, więc przyjrzyjmy się podkowie podkowca. Jeżeli powiało grozą, to możecie odetchnąć – podkowa znajduje się poniżej nosa, a konkretnie na pysku podkowca. Nie sprawia to, rzecz jasna, że jest ładniejszy, niż gdyby miał podkowę np. w rejonach tylnych. Jest mu jednak ona niezbędna do echolokacji, a tego podkowce na razie nie potrafią robić zadkiem. Podkowa na ryjku nietoperza działa jak naturalny megafon, pomaga mu koncentrować i kierować dźwięki, które emituje. Skoro nietoperz patrzy, krzycząc na rzeczy, to podkowa jest jego okularami. Jeżeli tak, to ciekawe,

eprasa.pl 456f2a29e8

Kozica tatrzańska

czy są małe – to znaczy mniejsze – podkowce, które marudzą przed wyjściem do szkoły, że dzieci się z nich śmieją, bo noszą podkowę…

Jeśli są, to i tak tylko na południu kraju, bo tam siedzi ten mały nietoperz. W dodatku rzadko zapuszcza się on do miast i preferuje tereny zalesione. Latem samice żyją w koloniach, nocują w szczelinach skalnych, na strychach i u wylotów jaskiń (w Polsce głównie na strychach kościołów). Samce natomiast w okresie wakacji skazane są na samotność. Co innego, kiedy robi się zimno. Wtedy podkowce gromadzą się w większych, koedukacyjnych koloniach, które zimują głęboko w jaskiniach, gdzie optymalna temperatura oscyluje pomiędzy 5 a 9 st. Co ciekawe, nawet w tym ścisku nietoperze nie dotykają siebie nawzajem. Co jakiś czas jedynie któryś się budzi, drapie po tyłku i wędruje do innej części noclegowni albo w ogóle zmienia jaskinię. Nie wiem dlaczego, ale może poczuł się kimś dotknięty.

Pochlapandra
salamandra plamista

Salamandra plamista jest płazem ogoniastym. To oznacza co najmniej trzy rzeczy. Po pierwsze, jest płazem, po drugie, ma ogon, a po trzecie, nie jest jaszczurką, a to już gruby nietakt ze strony kogoś, kto jak jaszczurka wygląda. Salamandry na ogół prowadzą skryty tryb życia. Zasiedlają tereny górzyste, pełne lasów liściastych, ponure, wilgotne i tak opustoszałe, że aż nabrałem ochoty na wycieczkę w Bieszczady.

W odróżnieniu od płazów bezogoniastych, czyli np. żab, salamandry uprawiają ampleksus brzuszny, czyli na misjonarza, tylko że odwrotnie. Aby zapłodnić samicę, samiec wciska się pod nią i od spodu oplata ją kończynami, a następnie wydziela nasienie. Tutaj też nie może być normalnie, bo używa w tym celu nasiennych bomb wodnych, to znaczy spermatoforów, czyli specjalnych worków wypełnionych plemnikami. Samica obejmuje te worki wargami kloakalnymi – i to by było na tyle w kwestii romansu.

Ciąża salamandry trwa co najmniej pięć miesięcy, ale samica może ją przedłużyć np. z powodu zimy. Nic dziwnego, bo kto by chciał rodzić zimą. (…) Dorosłe salamandry kompletnie nie potrafią pływać. Dlatego matka natura w swojej nieprzebranej mądrości powiedziała: będziecie rodzić prosto do wody. Salamandry trochę się wkurzyły, ale nic na to nie odpowiedziały. Głównie dlatego, że płazy ogoniaste nie potrafią wydawać z siebie dźwięków innych niż dźwięk bycia zjadanym. Salamandry ograniczyły się do wyboru wody czystej i wolno płynącej. Jakby była szybko płynąca, to nie tylko same by się potopiły, ale i nawet 70 malutkich salamandrzych larw spłynęłoby z nurtem i całe te wygibasy z odwróconym misjonarzem poszłyby psu na budę albo salamandrze w dół strumienia.

Larwy początkowo mają ok. 25 mm długości i skrzela z tyłu głowy. Z tego powodu przypominają aksolotle. Małe salamandry są strasznie żarłoczne. Polują na drobne skorupiaki i inne wodne żyjątka w rozmiarze supermałym. Kiedy dorosną i wyjdą w końcu z kąpieli, to łowność im trochę spada, ale w zamian zaczynają zjadać nagie ślimaki. Już z tego jednego powodu salamandrze powinno się postawić pomnik obok warszawskiej Syrenki. Poza tym to największy i najładniejszy ogoniasty płaz Europy. (…)

Sreberkowy zawijaka
świstak tatrzański

Z wyglądu świstak przypomina trochę wiewiórkę, trochę bobra, a trochę Tomasza Karolaka w okrywie zimowej. Od tego ostatniego ma jednak znacznie dłuższy (nawet 15 cm!) i bardziej puchaty ogonek. Nic w tym dziwnego, bo świstak należy do rodziny wiewiórek, a konkretniej do podrodziny afrowiórek. Warto w tym miejscu pochwalić zoologów za sprytne przycięcie trzech literek na każdej afrowi(ewi)órce – ciekawe, co zrobili z tym całym zaoszczędzonym czasem.

Świstak podczas snu zimowego, który trwa nawet 6-7 miesięcy (trochę zazdro), potrafi obniżyć temperaturę ciała z 37 do 8 st. C. Spowalnia w ten sposób swój metabolizm, ogranicza zużycie tlenu i spowalnia bicie serca z 220 do 30 uderzeń na minutę. Istnieje dość popularna teoria na temat pokrewieństwa pomiędzy świstakiem a studentami podczas wykładu. Różnica jest taka, że świstak jak się budzi, to leci kopulować, a studenci podczas semestru letniego się nie budzą. Serio od razu po pobudce świstak bierze się do prokreowania. Dopiero kiedy się naświstaczy, zaczyna szukać czegoś do jedzenia. Robi to po to, aby młode zdążyły usamodzielnić się przed zimą – a przynajmniej takie jest jego oficjalne stanowisko w tej sprawie.

Świstak razem ze swoją świstaczą rodziną spędza 90% życia pod ziemią, w rozbudowanym systemie norek i korytarzy. Na zewnątrz wychodzi głównie po to, żeby przegryźć trochę trawy lub jakieś smakowite kłącze. Kiedy tylko dostrzeże podejrzany ruch lub – nie daj Bogu – górala, wydaje z siebie przeciągły świst i zwiewa do norki. Zapewniam was, że gdybyście całe życie spędzili w otoczeniu gości w obcisłych gaciach, którzy biegają wszędzie z siekierkami i dybią na wasze sadło, to również nabawilibyście się tików nerwowych.

Fragmenty książki Marka Maruszczaka *Głupie zwierzęta Polski i jak je znaleźć*, Znak Koncept, Kraków 2025

FOT. SHUTTERSTOCK (4)

eprasa.pl 456f2a29e8

JOLKA

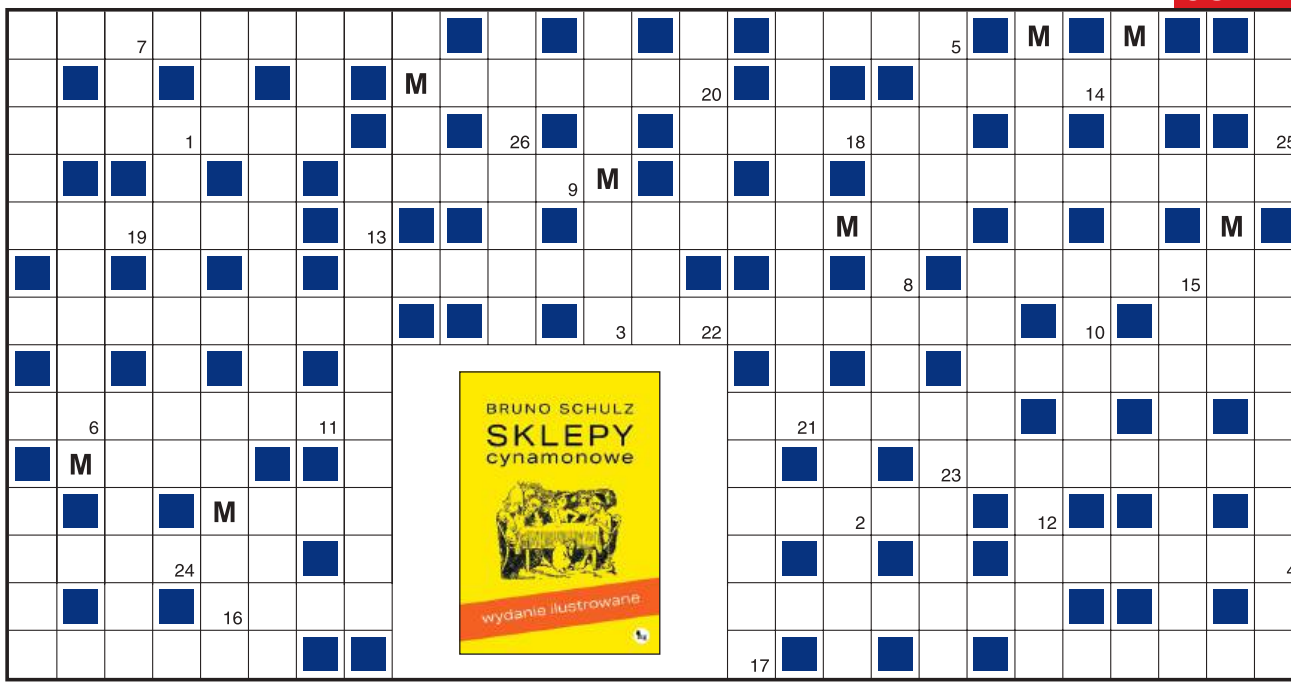

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery M ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- niemiecki producent odzieży sportowej
- pod nim bitwa zwycięska dla Oktawiana
- biała gorączka
- kto wolno myśli, ciężką nazywany
- policjantka lub kandydatka do zakonu
- o mokradłach i demoralizacji
- powtórka po owacji
- materiał budulcowy tkanek roślinnych
- drogocenna opaska na głowę
- płynie przez Kijów
- robienie na drutach albo szydełkiem
- nauka o procesach gospodarczych
- specjalista, znawca
- siać go – wprowadzać niepokój, zamieszanie
- wielki na bigos, grochówkę
- wykopany na plaży lub pipidówa
- awantura, coś oburzającego
- …mody – np. Audrey Hepburn
- sytuacja bez wyjścia, zastój
- kraj, któremu Trump grozi zbombardowaniem
- smutniejsza od łez z piosenki Wodeckiego
- pierwszy biskup na ziemiach piastowskich
- męczy po libacji
- wymierzana za przewinę
- i gruszki, i karcące uderzenia
- imię koszykarza Bryanta
- tubylec, rdzenny mieszkaniec
- reżyser „Perły w koronie”
- na parkiecie i na paznokciach
- kieliszek wina, koniaku
- i dziecko, i młody pęd
- gilgotki
- ruch wojsk lub zręczne posunięcie
- widziadło, zjawa
- …Maląg, pisowska minister rodziny
- Jędrek, co wszystko wie
- szczenięta z jednej ciąży
- zagłębienie terenu
- uratował się z potopu
- nietekstylny na plaży
- …wodne – stawek w ogródku
- zabieg kosmetyczny stóp
- opiekuje się ciężarną, rodzącą i malcem
- biała broń muszkietera
- włoska potrawa nie z makaronem
- powiększanie się, rozkrzewianie
- znaczków lub z kałasznikowa
- trzeci syn Adama i Ewy
- okrywająca coś twarda warstwa
- jak grochem o nią – na próżno
- powinny trafiać do oczyszczalni
- powiew, podmuch, dawniej oddech
- despota
- ilość mleka uzyskana od krowy
- idzie na ustępstwa, unika konfliktów
- pompa z nieba
- spec od planowania przestrzennego miast
- krzyżowe w kolanie można zerwać
- coś, co zaszło, stało się
- sprzeczka, zatarg

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1216”. Do rozlosowania książki „Sklepy cynamonowe” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 13 kwietnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1213” z nr. 12: *Dziurawej kieszeni nie napełnisz.* Nagrody otrzymują: Zuzanna Hałas z Białobrzegów, Józef Maskiewicz z Rybnika, Krzysztof Ostrowski z Mieleszyna.

eprasa.pl 456f2a29e8

Sposób na Dudę

Ciekawe rzeczy ujawnił minister Sikorski na temat umów dotyczących ambasadorów, które zawierał z prezydentem Andrzejem Dudą. Otóż powiedział, że zawarł trzy takie umowy. „Dotrzymałem ich z nawiązką – zaznaczył. – Ludzie pana prezydenta są ambasadorami w Nowym Jorku, Londynie, Kanadzie, Paryżu, Bukareszcie, Watykanie i Pekinie. A pan prezydent pierwotnie prosił o czterech. Wszystkie trzy umowy nie zostały przez pana prezydenta dotrzymane, więc ja będę prosił w najbliższych dniach na piśmie, aby prezydent już zechciał się wstrzymać od realizacji moich wniosków. Będę je wycofywał".

No i teraz zaczęły się spekulacje. Po pierwsze, kadencja prezydenta Dudy upływa 6 sierpnia. Czyli za cztery miesiące. W tym jeden wakacyjny. Faktycznie nie ma zatem sensu boksować się z Dudą o cokolwiek – ani o kogokolwiek – bo czas biegnie nieubłaganie.

Po drugie, jeśli chodzi o bój polityczny, kwestia jest rozstrzygnięta. Sprawę ambasadorskich nominacji Duda przegrał – a to dlatego, że odmawiał ich podpisania wszystkim kandydatom Sikorskiego. Także tym, którym wcześniej nominacje podpisywał, gdy jechali na inną placówkę. Nie wykorzystał sytuacji, nie mówił: lepszym podpiszę, gorszym nie. Jego opór został więc uznany za złośliwy i bezrefleksyjny.

I jest jeszcze po trzecie. Otóż Sikorski wymienił siedem placówek kierowanych przez ludzi, o których pozostanie Duda zabiegał. Miesiącami nikt ich nie ruszał, w imię nadziei Sikorskiego, że jakoś z prezydentem się dogada. Jeżeli jednak umowy nie ma, to i tych siedmiu traci Dudową ochronę. Czyli ich los jest już tylko w rękach Sikorskiego.

Chyba najlepiej zrozumiał to Jakub Kumoch, od września 2023 r. ambasador w Pekinie, a wcześniej szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta. Przyuważono go, jak się wdzięczył do Sikorskiego, co zrozumiałe, bo w Pekinie jest dopiero półtora roku, więc ma o co zabiegać. Ale Duda dowiedział się o tym i miał mówić, że już mu nie ufa…

Inna sytuacja jest z Krzysztofem Szczerskim, który ambasadorem przy ONZ jest od czerwca 2021 r., mijają mu zatem cztery lata przebywania na placówce i w zasadzie powinien zjeżdżać do kraju. Zwłaszcza że Andrzej Duda do ONZ już nie pojedzie.

A Londyn, Paryż i Ottawa? Tam ambasadorami od trzech lat są Piotr Wilczek, Jan Emeryk Rościszewski i Witold Dzielski. Z tego grona najbliższy Dudzie jest Witold Dzielski, który przez siedem lat był w Kancelarii Prezydenta dyrektorem Biura Polityki Międzynarodowej. Pewnie więc latem wróci z Kanady. Podobny los wróżony jest Adamowi Kwiatkowskiemu, ambasadorowi w Watykanie, który był sekretarzem stanu w kancelarii Dudy, a wcześniej zakładał Ruch Społeczny im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego.

A Paweł Soloch, od sierpnia 2023 r. ambasador w Rumunii, wcześniej szef BBN? Jego pozycja też wisi na włosku.

W historii MSZ deale były różne – miejsce znajdowali tam sobie ludzie różnych opcji i różni politycy. Z reguły na zasadzie dżentelmeńskich umów. Duda na żadną z takich umów się nie zdecydował, ba, nie zdecydował się nawet na jakąkolwiek grę polityczną. Za parę chwil napinania się oddał ludzi, którzy mu zaufali.

PS Wygląda na to, że prezydent poniewczasie swój błąd zrozumiał. Po twardych słowach Sikorskiego podpisał 18 nominacji ambasadorskich (Klicha ani Schnepfa w tej grupie nie ma…) i zapowiada, że podpisze kolejne. U swoich stracił nimb twardziela, dla PO jest miękiszonem. Tak to wychodzi, jak się nie ma głowy do polityki.

Attaché

Rybacy niosą połów na targ w Mogadiszu. Somalia, 2 kwietnia 2025 r.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 456f2a29e8

PENETRACJE

DUŻY FORMAT

PROF. BOHDAN SZKLARSKI,
AMERYKANISTA, UW

Wyobrażenie tego, że Europa miałaby się obrócić przeciwko Ameryce, to jest zupełne political fiction. I Amerykanie to wiedzą. I Europejczycy też to wiedzą. I dlatego nas to tak boli, bo my rozumiemy, że Trump chce użyć siły jako narzędzia, że po biznesowemu rzuca najpierw hasło, które sugeruje dalej idące oczekiwania, niż w rzeczywistości one są możliwe. Trump jest maksymalistą we wrzucaniu pomysłów, a potem jako jeden z nielicznych polityków ma tę umiejętność, że może zrezygnować, zmienić zdanie i nic go to nie kosztuje. (…) To wszystko wcześniej też było, takie rozmowy jak Trump-Zełenski-Vance, tylko działo się to za kulisami. To jest właśnie to, co Bismarck mówił o robieniu polityki, że to jest jak robienie kiełbasy, no nie chcesz tego oglądać.

TYGODNIK ANGORA

MAREK BUDZISZ,
ANALITYK

Można wydawać bardzo dużo i nie mieć zdolności wojskowych. Izrael wydaje dwa razy mniej niż Arabia Saudyjska, a mimo to ma siły zbrojne o nieporównanie lepszej reputacji. Turcja wydaje niewiele ponad 2% PKB i ma największą armię lądową w Europie, a jej żołnierze są obecni w Syrii, Sudanie, Etiopii i Libii. Niemcy wydają dwa razy więcej niż Polska, a Bundeswehra ma mniejsze zdolności od polskiego wojska. (…) Powinniśmy w poważny sposób przyglądać się, jak wygląda wojna na Ukrainie. Amerykańskie abramsy, które zostały dostarczone Ukraińcom, nie odegrały żadnej roli i z pierwszej linii frontu zostały wycofane lub zniszczone przez Rosjan. Tak więc wydawanie miliardów naszych pieniędzy na abramsy (Polska kupiła 250 tych czołgów za 4,75 mld dol.) jest wyrzucaniem pieniędzy w błoto.

Pismo.

PROF. MAREK WĘCOWSKI,
HISTORYK

Co warto czytać w czasach niepokoju?

– Polecałbym tragedie Eurypidesa, być może z naszej perspektywy najbardziej nowoczesnego twórcy tragedii starożytności, które możemy czytać w bardzo dobrym tłumaczeniu Jerzego Łanowskiego. W jego sztukach wybijają się przede wszystkim doświadczenie wojny, niewoli, śmierci. Wydaje mi się, że doświadczenie wojny to jest coś, co nas dzisiaj kształtuje. Nawet doświadczenie przeczucia wojny. Jest mniej abstrakcyjne niż zmiany klimatu, bardziej naoczne. Ale kto wie, co będzie dalej. Jak mawiali Grecy, „to wszystko jeszcze na kolanach bogów".

PANI

DANUTA STENKA,
AKTORKA

Mnie zjadł zawód. Znam ten wewnętrzny przymus – jeśli się do czegoś zobowiążę, muszę podołać. Nawet jeśli to ponad moje siły. Zaciskam zęby i nieważne, ile zarwę nocy. Tak mnie wychowano. Rzeczywiście brałam na siebie zbyt wiele, zdarzało się, że pracowałam kilka miesięcy bez jednego wolnego dnia, aż w końcu pod tym ciężarem się załamałam. I wpadłam w wieloletnią bezsenność. Moja noc trwała najdłużej trzy godziny, czasem tylko jedną. A od rana znowu w gotowości. I tak przez prawie sześć lat. Ten koszmar trudno jest zrozumieć nawet osobie, która leży tuż obok i wszystko widzi. Ja pierwsze bezsenne tygodnie przepłakałam. Bo wiedziałam, że rano muszę pójść do pracy, muszę być przygotowana i mieć otwartą głowę, a im bardziej starałam się zasnąć, tym bardziej to się nie udawało.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (3)

eprasa.pl 456f2a29e8

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

UNIBADZIJBLINŻCIS

WARANIYMGADOWDÓ

SUNYŚIĘTYONEWIĘTY

UNIK BARDZIEJ BOLI NIŻ CIOS, WIARA NIE WYMAGA DOWODÓW, SMUTNY ŚWIĘTY TO NIE ŚWIĘTY

Aby język giętki…

JAN KLATA
O ROZMOWACH Z JANEM ENGLERTEM
Za każdym razem była to merytoryczna, szczera i dla mnie poruszająca rozmowa, z której wychodziłem lepszym człowiekiem.

ANDRZEJ SKWORZ
O ANONIMOWYCH WYPOWIEDZIACH W PRASIE
Odważni dziennikarze potrzebują odważnych świadków. Nikt jednak od nikogo nie może wymagać heroizmu. Dlatego często informatorzy wolą się schować za tajemnicą dziennikarską.

ANDRZEJ STANKIEWICZ
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM
Prezes ma nad wyraz rozwinięty biznesowy talent, zwłaszcza gdy może wykorzystywać publiczne pieniądze.

MAGDALENA ŁAZARKIEWICZ O KOŚCIELE
Stał się ostoją najbardziej wstecznego konserwatyzmu obyczajowego, który prowadzi do wzmocnienia tendencji autorytarnych i populistycznych.

AGNIESZKA SZYDŁOWSKA O TRÓJCE
Pracownicy przychodzili do mojego pokoju i nadawali na siebie w sposób bezwzględny.

BOGNA SWOROWSKA O POKAZIE W LONDYNIE
Dostałam takie brawa, że czułam się uskrzydlona. Byłam jedyną siwą babką na wybiegu.

MAGDA MOŁEK O ROZWODZIE
Jeśli kawałki puzzli nie pasują, to nie stworzysz obrazka, o którym marzysz.

ELŻBIETA ZAPENDOWSKA O SYLWII GRZESZCZAK
Jest bardzo zdolną wokalistką, która śpiewa pierdoły głupie i beznadziejne.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 456f2a29e8

Anna Orbaczewska
Głośna cisza

Bez tytułu

Drzewo rodzinne

Anna Orbaczewska (ur. w 1974 r.), absolwentka Królewskiej Akademii Sztuki w Hadze (1998) i Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku (1999), zajmuje się malarstwem oraz rysunkiem, jest również autorką dekorowanych talerzy i kafli. Wystawa „Głośna cisza" to prezentacja prac malarskich, rysunków, a także instalacji ułożonej z talerzy własnoręcznie malowanych farbą naszkliwną. Artystka często porusza tematy opresyjnych relacji rodzinnych, sztuka staje się dla niej przestrzenią rozliczenia z traumami i doświadczeniami nadużyć psychicznych; w spojrzeniach sportretowanych kobiet kryją się historie pełne emocji.

Państwowa Galeria Sztuki
Sopot, plac Zdrojowy 2
do 25 maja

Bez tytułu

Bez tytułu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 456f2a29e8

FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ
Wyślij SMS o treści SIŁA pod numer 4320
TWÓJ SMS
MA SIŁĘ
Koszt SMS wg cennika operatora. Wysyłając SMS akceptujesz regulamin – fdds.pl/regulaminSMS

OD PIĘKNOŚCI Z OKŁADEK „VOGUE'A"
DO IKONY EUROPEJSKIEGO POP-ARTU

NIKI

BIOGRAFIA
Niki de Saint Phalle

FESTIVAL DE CANNES
SÉLECTION OFFICIELLE 2024
UN CERTAIN REGARD

REŻYSERIA
Céline Sallette

W ROLACH GŁÓWNYCH
Charlotte Le Bon John Robinson Damien Bonnard

W KINACH OD 4 KWIETNIA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

epiasa.pl/456f2a29e8